Błyskotliwa, ironiczna i ożywczo prawdziwa powieść o chwiejnej granicy dzielącej nas od tego, co uważa się za normę.

michael thomas ford

NOTATKI SAMOBÓJCY

NASZA KSIĘGARNIA

Michael Thomas Ford

Notatki samobójcy

Przełożyła Maciejka Mazan

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Notatki samobójcy

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Zajrzyj na strony

Dedykacja

DZIEŃ 1

DZIEŃ 2

DZIEŃ 3

DZIEŃ 4

DZIEŃ 5

DZIEŃ 6

DZIEŃ 7

DZIEŃ 8

DZIEŃ 9

DZIEŃ 10

DZIEŃ 11

DZIEŃ 12

DZIEŃ 13

DZIEŃ 14

DZIEŃ 15

DZIEŃ 16

DZIEŃ 17

DZIEŃ 18

DZIEŃ 19

DZIEŃ 20

DZIEŃ 21

DZIEŃ 22

DZIEŃ 23

DZIEŃ 24

DZIEŃ 25

DZIEŃ 26

DZIEŃ 27

DZIEŃ 28

DZIEŃ 29

DZIEŃ 30

DZIEŃ 31

DZIEŃ 32

DZIEŃ 33

DZIEŃ 34

DZIEŃ 35

DZIEŃ 36

DZIEŃ 37

DZIEŃ 38

DZIEŃ 39

DZIEŃ 40

DZIEŃ 41

DZIEŃ 42

DZIEŃ 43

DZIEŃ 44

DZIEŃ 45

Dane kontaktowe organizacji i stowarzyszeń, w których można szukać wsparcia

Strona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl

Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

Znajdź nas na Facebooku
www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Dla Abby McAden, która kazała mi to napisać,
dla Lexy Hillyer, która to poprawiła,
i dla Sarah Sevier, która to przejrzała.

DZIEŃ 1

Czytałem, że kiedy astronauci wracają na Ziemię z przestrzeni kosmicznej, nie mogą powstrzymać wymiotów. Powietrze cuchnie im gnijącym mięsem. My nie zauważamy tego smrodu, bo do niego przywykliśmy, a przecież w tym, czym oddychamy, są najróżniejsze zanieczyszczenia, chemikalia i pozostałe syfy, którymi skaziliśmy środowisko. Wtedy rozpylamy wokół siebie jeszcze inne świństwa, żeby ładniej pachniało. Zupełnie jakby nasza planeta była starym samochodem, w którym na lusterku wiesza się choinkę o woni runa leśnego.

W tej chwili czuję się jak ci astronauci. Przez jakiś czas dryfowałem w przestrzeni, oddychając czystym tlenem i rozmawiając z Człowiekiem z Księżyca. Potem runąłem w przestrzeń międzygwiezdną. Kiedyś się zastanawiałem, jak to jest być meteorytem. Teraz już wiem. Spadasz w nieskończoność, najpierw w próżni, potem pomiędzy chmurami. Całe ciało mrowi, bo przy wejściu w atmosferę ziemską zaczynasz płonąć. Ale pęd sprawia, że trwa to tylko chwilę. Zaraz potem widzisz zbliżający się ocean i zanosisz się śmiechem, dopóki woda nie zamknie ci się nad głową. W końcu dociera do ciebie, że nic ci nie grozi – przeżyłeś upadek – a wypływając na powierzchnię, wydmuchujesz miliony bąbelków w zielononiebieskiej wodzie.

Dopiero gdy się wynurzasz i nabierasz w płuca wielki haust cuchnącego powietrza, dociera do ciebie, że chcesz umrzeć – jesteś jak noworodek, który właśnie przyszedł na świat i pojął, że powinien zostać tam, gdzie mu nic nie groziło. Tak jest teraz ze mną. Unoszę się jak śmieć w oceanie i walczę z mdłościami.

Tylko że tak naprawdę to nie ocean, a szpital. Podobno trafiłem tu zeszłej nocy. Byłem nieprzytomny i kompletnie nie pamiętam, co się działo. Podsłuchałem, jak ktoś opowiadał, że prawie umarłem. Pewnie mało brakowało.

Miałem za to wrażenie, że unoszę się w przestrzeni kosmicznej. W każdym razie – przez chwilę. Pamiętam, jak pomyślałem, że w końcu się dowiem, czy istnieje życie na Marsie. Potem poczułem, jakby ktoś chwycił mnie za stopę i ściągnął z powrotem na Ziemię. Pamiętam swój krzyk, że nie chcę wracać, ale w próżni dźwięk się nie rozchodzi, więc nikt mnie nie usłyszał.

Teraz, kiedy już wiem, gdzie się znalazłem, chyba wolałbym umrzeć.

A może umarłem? Bo jest tak, jakbym trafił do piekła. Tkwię w jednym pomieszczeniu z ludźmi, którzy co pięć sekund sprawdzają, co ze mną. Mówiąc „ludzie”, mam na myśli pielęgniarki, a zwłaszcza siostrę Goody. Naprawdę nazywa się Goody, uwierzycie? I naprawdę jest dobra. Zawsze pyta z uśmiechem, czy mi czegoś nie potrzeba. Notorycznie mnie to wkurza, bo potrzeba mi samotności, a na to nie ma szans. Przez ten pokój przewija się tyle osób, jakbym był jakąś atrakcją turystyczną. Może siostra Goody sprzedaje bilety jak ci faceci w wesołych miasteczkach, którzy zapraszają na pokazy dziwolągów. Naganiacze, tak się chyba ich określa. Właśnie to robi siostra Goody. Stoi przed moimi drzwiami i nagania widzów.

Niewiele tu rozrywek. Nie mam telewizora. Ani towarzystwa (to chyba dobrze). Zero gazet i książek. Leżę w łóżku i gapię się w okno. Szyba jest wzmocniona zatopionym w szkle drutem, żebym czasem jej nie wybił i nie uciekł. Wokół widzę zadrapania i rysy, jakby pacjent, którego tu trzymali przede mną, próbował stłuc szybę, a kiedy nie zdołał tego zrobić, usiłował rozłupać framugę.

Moja sala czasy świetności ma za sobą. Biel ścian poszarzała, tynk popękał, a na suficie widzę dziwną brązową plamę, która przypomina twarz. Może to twarz Szatana. Jak już wspomniałem, myślę, że trafiłem do piekła. Kto więc ma tu na mnie patrzeć, jeśli nie diabeł? Czuwa nade mną z siostrą Goody. Dobro i Zło.

To zabawne. Dobro i Zło. A może tak naprawdę utknąłem w miejscu pomiędzy niebem a piekłem? Jak ono się nazywało? Czyściec. Tam, gdzie trafiają ludzie bez biletu bezpośrednio w górę albo w dół. I zdaje się – niemowlęta. Dorośli, z którymi nie wiadomo, co zrobić, i dzieci. Oto moje towarzystwo.

Jeśli tkwię w czyśćcu, to diabeł i Goody o mnie walczą. Czekają, aż zdecyduję, gdzie chcę iść. Co wybieram – niebo czy piekło. Hmm… trudny wybór. Tak serio, to chyba wolałbym piekło. Pewnie spotkałbym tam ciekawszych ludzi.

Skoro o tym mowa, to gorąco tu jak w piekle. Pod oknem jest grzejnik: wielki, stary, metalowy, dygoczący od przepływającej wody. Podejrzewam, że już dawno powinni go wymienić. Słowo daję, ten budynek musi mieć z tysiąc pięćset lat. Lada chwila rozpadnie się ze starości. Ale wtedy już mnie tu nie będzie.

Pada deszcz. Przez okno widzę kawałek lasu. Ponieważ jest zima, nie wygląda jak las, ale jak tłum szkieletów wznoszących ręce do nieba. Strugi deszczu spływają po szybach, więc kościotrupy znikają pod powierzchnią wody. Jakby tonęły. Ale czy szkielet, który i tak jest martwy, może utonąć? Nieważne, te upiorne drzewa mnie przerażają. Z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że trafiłem do piekła. Może powinienem wyjaśnić siostrze Goody, że znalazła się w niewłaściwym miejscu?

Jestem bardzo zmęczony. W kaloryferze coś stuka. Gorąco mi i boli mnie głowa. Ciągle wpatruję się w twarz diabła. Naśmiewa się ze mnie. Szkoda, że Goody nie każe mu się zamknąć. Może przestało ją obchodzić, co ze mną będzie.

W szpitalu na pewno chcieliby, żebym wyjaśnił, dlaczego to zrobiłem. No to wyjaśniam: a bo tak.

DZIEŃ 2

Robi się coraz lepiej.

Okazuje się, że to naprawdę szpital. Nie czyściec. Choć uważam, że to jednocześnie piekło. Na sto procent. Nie wsadzili mnie na zwyczajny oddział, tylko do psychiatryka. No wiecie, tam gdzie siedzą typki, co mają po szesnastu wymyślonych przyjaciół i ciągle się otrząsają z niewidzialnych robaków. Świry. Pomyleńcy. Kompletni popaprańcy.

A ja przecież nie zwariowałem. Nie rozumiem, czemu wszyscy robią wokół mnie takie wielkie halo. I ciekawe, kto mnie tu zamknął. Podejrzewam matkę. Zawsze miała skłonności do przesady.

Nie zamierzali mi powiedzieć, że wylądowałem w wariatkowie. Sam to odkryłem, kiedy Goody zostawiła moją kartę zdrowia koło łóżka i wróciła po coś do biurka. Ktoś mógłby jej wyjaśnić, że powinna uważać na takie papiery, o ile nie chce, żeby ktoś poznał zawartość.

Oczywiście wziąłem tę kartę – zawsze tak robię, kiedy ktoś zostawi w zasięgu ręki coś ciekawego – i w pierwszej linijce przeczytałem: „oddział psychiatryczny”. Najpierw pomyślałem, że karta należy do kogoś innego, ale były w niej moje personalia. Wyznam wam coś: widok własnego nazwiska obok słów „oddział psychiatryczny” potrafi człowiekowi zepsuć dzień.

Kiedy Goody zobaczyła mnie z kartą, nieodłączny uśmiech wreszcie zniknął jej z twarzy.

– Nie powinieneś tego czytać – oznajmiła, jakby oczekiwała, że się zawstydzę i przeproszę.

– To oddział dla wariatów? – spytałem.

Jednocześnie próbowałem przeczytać jak najwięcej, wiedziałem, że zaraz wyrwie mi kartę. Rzeczywiście, zrobiła to dwie sekundy później.

– Pora na leki – powiedziała.

– O, nie – ja na to. – Najpierw niech mi ktoś wytłumaczy, dlaczego się tu znalazłem.

– Chyba wiesz – odparła, patrząc na mnie tak, jakby była pewna, że znam odpowiedź.

– Nie zwariowałem.

– Nikt tak nie twierdzi – zapewniła mnie Goody, znów uśmiechnięta. Jakby to, co się wydarzyło przed chwilą, było tylko krótką przerwą w transmisji.

– Ale tak tu napisano – warknąłem. – Drukowanymi literami.

– Weź pigułkę – odrzekła, ignorując to, co powiedziałem. – Poczujesz się lepiej.

– Nie. Nawet nie wiem, co to za prochy.

Goody ciągle się uśmiechała. Zaczęło mnie to wkurzać.

– To lek uspokajający.

– Faszerujecie mnie prochami? Dlaczego? Co tu się dzieje, do diabła?!

Pielęgniarka cofnęła rękę z papierowym kubkiem i postawiła go na tacy przy moim łóżku.

– Powinieneś porozmawiać z doktorem Katzrupusem.

– Kac… jakim? Kacpupusem? Co to za nazwisko?

– Katzrupusem – powtórzyła. – Sprowadzę go.

Zniknęła razem z moją kartą. Gdyby o niej nie zapomniała za pierwszym razem, nie byłoby tej całej afery. Przynajmniej na razie.

Zerknąłem na pigułkę w kubeczku. Była mała i okrągła jak biedronka. Omal jej nie połknąłem, z czystej ciekawości, ale powstrzymałem się. Jeszcze Goody pomyślałaby, że potrzebuję leczenia. A przecież nie potrzebowałem.

Pielęgniarka wróciła po chwili z jakimś facecikiem: niskim, z bardzo rozczochranymi czarnymi włosami, które dawno powinien ostrzyc. Miał też parodniowy zarost. Wydawał się za młody na doktora i w pierwszej chwili myślałem, że to student. Jakbym nawet nie zasługiwał na prawdziwego lekarza.

– Jestem doktor Katzrupus – powiedział, wyciągając rękę.

– Dlaczego zamknęliście mnie w wariatkowie? – spytałem, przyglądając się jego dłoni. Nie uścisnąłem jej.

– Nie jesteś w wariatkowie – wyjaśnił doktor, cofając rękę. Poprawił zsuwające się z nosa okulary. – Tylko w szpitalu.

– Taaa. Na oddziale dla wariatów.

– To oddział psychiatryczny. A znalazłeś się tu, bo mieliśmy obawy, że coś może cię dręczyć. – Mówił bardzo spokojnie i od niechcenia, jakby

informował mnie, co zjadł na obiad. Z jakiegoś powodu to mnie cholernie rozeźliło.

– Coś może mnie dręczyć – powtórzyłem, przedrzeźniając go. Potem parsknąłem śmiechem. – Niby co?

Kacodupek zrobił dziwną minę, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Ja przeszywałem go wzrokiem.

– Czy moi rodzice są gdzieś tutaj? – spytałem. – Bo jeśli tak, to bardzo chcę wracać do domu.

– Musimy jeszcze wykonać kilka badań. I nie, nie ma tu twoich rodziców.

Pomyślałem, że to dziwne. Chciałem spytać, dlaczego gdzieś się włóczą, gdy ich dziecko wylądowało w szpitalu, ale się powstrzymałem.

– Kiepsko mi idzie na sprawdzianach – oznajmiłem. – Zwłaszcza niezapowiedzianych. Wolałbym się trochę przygotować. Nie chciałbym zaniżyć poziomu czy coś.

Doktor przyglądał mi się przez chwilę.

– Do zobaczenia – powiedział w końcu.

I wyszedł. Pielęgniarka wróciła z drugim facetem – jak Boga kocham, wampirem. Wyciągnął ze mnie parę litrów krwi, setki próbówek. Po czwartej zaczęło mi się kręcić w głowie.

W końcu człowiek pijawka i Goody zabrali się i poszli, a do pokoju wkroczył ktoś nowy. Kobieta.

– Jestem panna Pinch [1] – oznajmiła.

Nic a nic nie zmyślam. Nie wiem, co oni mają tu z tymi nazwiskami. Czy w normalnym świecie ludzie nazywają się siostra Goody, panna Pinch i dr Kacdupek? Dopadło mnie poczucie, że to jakiś sen.

– Muszę zadać ci parę pytań – zaczęła panna Pinch, przysuwając krzesło do mojego łóżka.

To był eufemizm roku. Chyba że „parę” zaczęło nagle oznaczać tysiąc pięćset sto dziewięćset.

– Brałeś kiedyś ecstasy? – spytała z uśmiechem, przechylając głowę jak ptak. Irytujący, wścibski ptaszek.

– Nie – mruknąłem, a ona odhaczyła rubrykę.

– Amfetamina? – Kiedy nie zareagowałem od razu, dodała: – Speed, amfa, feta?

– Wiem, co to jest – oznajmiłem. – I nie, nigdy tego nie brałem.

Znowu odptaszkowała rubrykę. Kokaina? Nie. Ptaszek. Alkohol? Nie. Ptaszek. Marihuana, GHB, poppersy? Nie, nie, nie. Ptaszek, ptaszek, ptaszek.

Odpowiadałem gładko, bo naprawdę nigdy nie brałem, a ona patrzyła na mnie, jakbym kłamał. Więc w końcu dla świętego spokoju przyznałem, że tak, niech będzie, parę razy zapaliłem trawę – i to ją uszczęśliwiło. Jakby na tej planecie nie mógł istnieć człowiek, który nie jara. Debilka.

– A klej? – spytała.

Skinąłem głową, a ona rozpromieniła się jak słoneczko. W każdym razie do chwili, gdy dodałem: „I jadłem ciastolinę. W przedszkolu. To brzydko, wiem. Ale już z tym zerwałem. Przysięgam. Marnie smakowała z sokiem jabłkowym”.

Muszę przyznać, że trochę mnie rozczarowała, bo nie pogniewała się bardziej. Może kiedy człowiek codziennie gada ze świrami, powoli obojętnieje. Wróciła spokojnie do pytań i odhaczania. Kiedy przebrnęliśmy przez listę wszystkich znanych nauce narkotyków, usłyszałem:

– A teraz porozmawiajmy o twoim życiu seksualnym.

– A może nie – odparłem, uśmiechając się równie szeroko jak ona.

– Czy już… – zaczęła.

– Mówię serio – przerwałem jej. – Nie. To nie pani interes.

– Chcę ci tylko pomóc – powiedziała, wciąż z uśmiechem.

– Otóż nie – warknąłem. – Wkurza mnie pani. Proszę stąd iść.

Zrobiła wielkie oczy.

– Serio – powtórzyłem. – Jazda stąd! Nic mi nie dolega. Odpowiedziałem na te głupie pytania o narkotyki i o niczym więcej nie będę rozmawiać. Więc albo sobie pani pójdzie, albo będzie tu siedzieć, a ja się zdrzemnę.

Zatrzasnęła teczkę i wstała.

– Sprowadzę doktora.

Wygląda na to, że tak tu postępują, kiedy usłyszą „nie”. Jakby lekarze byli spieszącą na odsiecz kawalerią czy czymś takim. Zatem znowu zaliczyłem wizytę dobrego, starego Kaca Dupka. Tym razem zamknął drzwi i zostaliśmy sami. Wyobraziłem sobie, że Dobra Siostra i Szczypawa stoją pod drzwiami, podsłuchując.

– Nie ułatwiasz nam zadania – powiedział lekarz.

– Przykro mi. W przedszkolu mówili, że się nie integruję.

– Chcemy ci pomóc.

– Wie pan co, wszyscy tak mówią. Ale ja podejrzewam co innego. Gdybyście chcieli mi pomóc, wypuścilibyście mnie stąd. Nic mi nie jest.

– A mnie się zdaje, że wręcz przeciwnie – oznajmił Kac Dupek.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Mam coś podpisać? Czy wtedy mnie wypuścicie?

– Niestety, ta opcja nie wchodzi w grę.

– A moi rodzice? Gdzie są? Proszę im powiedzieć, żeby mnie zabrali do domu.

– Twoi rodzice zgodzili się, abyś spędził tu trochę czasu.

– Nie możecie mnie tu trzymać wbrew mojej woli – uświadomiłem mu. – Jeśli pan nie wie, to wolny kraj. Ludzie mają tu prawa. Mam prawo do swobody wypowiedzi, posiadania broni oraz prawo do wyjścia z wariatkowa!

Jechałem na pewniaka. Przeczytałem konstytucję. W szóstej klasie. Co prawda już sporo zapomniałem, ale no naprawdę…

Kac Dupek przyglądał mi się przez chwilę, a potem powiedział bardzo spokojnie:

– Jesteś na oddziale psychiatrycznym, ponieważ próbowałeś popełnić samobójstwo. Może ci się wydaje, że czujesz się doskonale, ale to nieprawda. Jeśli nie chcesz o tym teraz rozmawiać, uszanujemy twoją decyzję. Możemy poczekać na rozmowę czterdzieści trzy dni. Chcesz mnie spytać o coś jeszcze?

Ogłuszył mnie tak, że byłem w stanie tylko się na niego gapić.

– Jak to czterdzieści trzy dni?! – wykrztusiłem wreszcie.

– Zostałeś poddany programowi czterdziestu pięciu dni – poinformował rzeczowo. – Jesteś mniej lub bardziej przytomny od dwóch dni, licząc z dzisiejszym, a to znaczy, że zostało jeszcze czterdzieści trzy.

– Co to za program?

– Ma określić przyczynę twoich problemów i wspomóc rekonwalescencję – wyrecytował tekst jak z broszury reklamowej. – Będziesz brał udział w indywidualnych sesjach terapeutycznych ze mną oraz w sesjach grupowych z innymi pacjentami.

– Innymi pacjentami? – podchwyciłem. – Jakimi znowu pacjentami?

– Młodymi ludźmi. Jutro ich poznasz.

– Po co? Będziemy razem śpiewać?

– Jeśli zechcecie. Ale na ogół pacjenci siadają w kółku i czekają, aż ktoś postanowi coś powiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– W takim razie pozostają ci czterdzieści trzy dni przyglądania się innym. Czy chcesz porozmawiać o czymś jeszcze?

– Może o środowisku? O wpływie efektu cieplarnianego na lasy deszczowe Amazonii? A może o tym, co będzie, kiedy stopnieje pokrywa lodowa? Wie pan, że niedźwiedzie polarne toną, bo nie mają na czym siedzieć?

– Może kiedy indziej. Mam obchód. Wstrzymamy badania do czasu, gdy staniesz się bardziej skłonny do współpracy.

– Powodzenia! – rzuciłem za nim.

Nawiasem mówiąc, mylił się z tym samobójstwem. To wielkie nieporozumienie. Wyjaśnię je niedługo i tyle mnie tu będą widzieli. A póki co może wezmę biedronkę. Skoro tu utknąłem, sen dobrze mi zrobi. Ciekawe, co się czuje po takim prochu. Muszę sprawdzić i opowiedzieć Szczypawie. To ją najwyraźniej kręci.

---

1. pinch (ang.) – szczypta, uszczypnięcie [wróć]

DZIEŃ 3

Jest nas pięcioro. Czubków. To znaczy takich w moim wieku. Jest też tłum dorosłych świrów, ale siedzą na swoim oddziale. My mamy własne wariackie przedszkole. Jest jak na Święcie Dziękczynienia, kiedy wszystkie dzieci są sadzane osobno przy niskim stoliku w kącie. Tyle że my nie dostajemy indyczych udek, tylko ochłapy, których nikt nie chce. Na przykład podroby.

Chcę to powiedzieć jasno: mamy tu czworo wariatów i mnie. Poznałem ich pierwszego dnia terapii grupowej. Wpierw nie chciałem w niej uczestniczyć, ale doszedłem do wniosku, że jeśli udowodnię, jaki jestem niesamowicie normalny, będą musieli mnie wypuścić.

Terapia grupowa odbywa się w świetlicy, czyli dużym pomieszczeniu z kanapami, telewizorem, grami i tak dalej. Przypuszczam, że właśnie tam zbierają się świry, kiedy nie zajmują się świrowaniem.

Usiedliśmy w kręgu na twardych, plastikowych krzesełkach. Pomarańczowych – niczym pachołki drogowe – jakby ostrzegały przechodniów: „Uwaga, rozmowy wariatów. Wskazany objazd". Poza paskudnym wyglądem te krzesełka mają jeszcze jedną wadę: są bardzo niewygodne. Po mniej więcej pięciu minutach tyłek mi zdrętwiał i wierciłem się, żeby znaleźć jakąś w miarę komfortową pozycję. Bez skutku.

Kac Dupek przedstawił mnie wszystkim następująco:

– Słuchajcie, to jest Jeff.

A oni odpowiedzieli:

– Cześć, Jeff.

Mieli identyczne głosy, zupełnie jak zombie mamroczące: „Mmm… mózg". Nikt na mnie nie spojrzał. Nie odpowiedziałem. Nie zakładałem, że zostanę tu na tyle, aby się z kimś zaprzyjaźnić.

Potem gapiliśmy się na siebie, tak jak wspomniał Kac Dupek. Nikt nie wykrztusił ani słowa, aż w końcu lekarz wskazał chudą dziewczynę z długimi, jasnymi włosami, obgryzającą paznokcie, i zaczął:

– Alice, może opowiesz Jeffowi o sobie?

– Mam na imię Alice – oznajmiła. A to ci niespodzianka. – Co powinieneś o mnie wiedzieć? Ostatni chłopak mamy ciągle przychodził do mojego pokoju nocą i sobie używał, więc raz zaczekałam, aż zaśnie, i poszłam do jego pokoju z benzyną do zapalniczek i zapałkami. Nie zginął, za to ja trochę się poparzyłam.

Podniosła ręce i zobaczyłem czerwone blizny na jej przedramionach. A ona się roześmiała. Potem zasłoniła twarz długimi włosami.

Nie wiem, czy mówiła prawdę. Mogła się przypadkiem poparzyć. A to o kochanku matki pewnie zmyśliła. No, w każdym razie nie zdziwiłbym się, gdyby kłamała. Przecież takie historie są o wiele ciekawsze. Gdybym ja był takim idiotą, żeby się podpalić, też bym teraz łgał.

Rzecz w tym, że jednak jakoś jej uwierzyłem. Nie wiem dlaczego. Co dziwniejsze, nie przerażało mnie to, co zrobiła. Potrafię zrozumieć, czemu podpaliła tego kolesia, co może dowodzi, że jestem tak samo porąbany jak ona. Z tym że ja bym tego nie zrobił. Może na tym polega różnica między wariatami i niewariatami?

Nie powiedziała nic więcej, więc zajęliśmy się jej sąsiadką. Dziewczyna była przeciwieństwem Alice: gruba, ruda, kędzierzawa i pyzata. Kiedy pochwyciła moje spojrzenie, uśmiechnęła się, jakbyśmy się spotkali w autobusie, a nie w szpitalu.

– Mam na imię Juliet – zaszczebiotała jak ptaszek z kreskówki. – Jestem dziewczyną Bone’a.

Zrobiła pauzę, jakbym powinien wiedzieć, co to za jeden ten Bone – jakiś raper, aktor czy inny celebryta – i jej pogratulować. Ponieważ milczałem, Juliet wskazała głową chłopaka obok mnie. Ten wbijał wzrok w swoje stopy.

– To Bone – oznajmiła tonem, jakby prezentowała nowy samochód. – Gramy razem w kapeli Seks i Przemoc Gratis. Bone to gitarzysta, ja śpiewam.

Bone, ubrany w biały podkoszulek, westchnął i założył ręce na piersi. Miał mnóstwo tatuaży, ale nie wyglądał na o wiele starszego ode mnie. Mnie rodzice nigdy by nie pozwolili na dziary, więc zrobiło to na mnie wrażenie. Ale te jego tatuaże nie były ciekawe. Masa płonących czaszek, gołych dziewczyn na motocyklach i tak dalej. Podejrzewam, że ufarbował sobie włosy, bo miały nienaturalnie ciemny odcień. Oczy Bone’a też były czarne. Nie potrafił skupić na niczym wzroku. Wyglądał jak postać z komiksu.

– Które z was to seks, a które przemoc? – spytałem.

– Co? – Uśmiech Juliet zbladł.

– Seks i Przemoc Gratis – powtórzyłem powoli, jakbym mówił do małego dziecka. – Które jest którym?

Juliet zerknęła na Bone'a, chyba prosząc o wsparcie, ale on ani drgnął. Przesunęła ręką po ustach, jakby chciała je wytrzeć. Ktoś zaczął się śmiać i raptem urwał.

– Eee… ale to… – zaczęła niepewnie. – To tylko, no wiesz, taka nazwa.

– Ona nie jest moją dziewczyną – odezwał się nagle Bone. Na chwilę podniósł głowę. – Tylko jej się tak wydaje. Nie gramy razem. Nawet jej nie znam, jasne?

Juliet zaczęła coś mówić, ale Kac jej przerwał w pół słowa.

– Może przejdźmy do następnej osoby – rzucił.

Ta cała sytuacja skojarzyła mi się ze zwiedzaniem. Chodzi się po jakimś zabytkowym obiekcie w małych grupach z przewodnikiem, który pilnuje, żeby nikt na pewno nie dotknął świecznika sprzed ośmiu milionów lat czy tam czego jeszcze. „Może przejdźmy do następnej osoby" to nie propozycja, bo nie można jej odrzucić. To tylko bardziej elegancka forma powiedzenia: „Wynocha stąd. Na korytarzu czeka kolejna banda chętna do oglądania świeczników".

Kac przepędził więc nas z sypialni, z której Abraham Lincoln uwolnił niewolników, do kuchni, gdzie piecze się chleb jak przed dwustu laty. A tak naprawdę skinął tylko głową do następnej osoby – dziewczyny siedzącej obok Juliet.

– Nazywam się Sadie – powiedziała. – Jestem spod znaku Wagi. Lubię słońce, kocięta i uważam, że zanieczyszczenie środowiska i ludzie emanujący złą energią to dno. Aha, usiłowałam się utopić, jeden facet mnie uratował, no i żyję.

Spojrzała mi prosto w oczy, jakby rzucała wyzwanie. Miała bardzo niebieskie oczy, jak lód na biegunie północnym. Jej włosy były czarne, krótkie i najeżone, a skóra bardzo blada, przez co kolor oczu wydawał się jeszcze bardziej intensywny. Wyglądała jak złośliwy – czy raczej psotny – chochlik.

Potem miał mówić Bone, który mruknął tylko: „Jestem Bone" i znowu spuścił głowę. Miałem nadzieję, że opowie coś więcej o tej swojej-nie swojej dziewczynie albo wyjaśni, jak to jest być postacią z komiksu. Ale on pewnie

uznał, że wyjawił już wystarczająco dużo.

No i przyszła kolej na mnie. Naprawdę nie miałem ochoty się wywnętrzać, ale numer z tajemniczym milczeniem wykorzystał już Bone. Gdybym zachował się tak samo, wyszedłbym na naśladowcę.

– Jestem Jeff – powiedziałem. – Wsadzili mnie tu, bo uważają, że tego mi potrzeba. Ale się mylą. Nie mam nic więcej do dodania.

– A o co chodzi z tymi bandażami?

Sadie wskazała na moje ręce. Zerknąłem na nie. Spod podwiniętego mankietu wystawał brzeżek gazy.

– Nic takiego – mruknąłem. – Mała ranka.

– Dobrze – powiedział Kac Dupek. – Jeff już was trochę poznał. A teraz chcę porozmawiać o prawdomówności.

Wtedy się wyłączyłem. Osunąłem się w ciepłe, mgliste miejsce, w którym wszystko jest odległe i pozbawione znaczenia, a głosy brzmią jak pomruk przelatujących daleko samolotów. Wiedziałem, że pozostali rozmawiają, ale ich nie słuchałem. Nie interesowało mnie to, co mają do powiedzenia. Prawdomówność? Bez kitu. Co za denny temat. Prawda wyglądała tak, że nie powinienem się tu znaleźć.

W końcu samoloty przestały latać, a do mnie dotarło, że spotkanie się skończyło. Wszyscy wstali. Kac podszedł do mnie.

– Nie udzielałeś się dzisiaj – zauważył.

– Przepraszam – powiedziałem. – Mam sporo do przemyślenia.

– Na przykład?

Wzruszyłem ramionami.

– Na przykład czy szaleństwo na punkcie boysbandów się skończyło. Wiem, że tak mówią, ale się mylą.

– Może cię oprowadzę – zaproponował. – To jest pokój wypoczynkowy. Możesz w nim przebywać w obecności kogoś z personelu. Na ogół dyżurują cztery osoby: dwie pielęgniarki i dwóch salowych, a w nocy dwie pielęgniarki i ochroniarz.

– Ochroniarz – powtórzyłem. – Brzmi groźnie. Ma nie wpuszczać fanów Seksu i Przemocy Gratis?

– Podajemy tu także posiłki – kontynuował lekarz, jakby nie słyszał pytania. Wskazał dwa długie stoły otoczone plastikowymi krzesłami. – Na początku

dostawałeś jedzenie do swojej sali, ale od dziś będziesz przychodzić tutaj. Wszystko przygotowywane jest w szpitalnej stołówce.

– Jedna wielka szczęśliwa rodzina – zauważyłem, kiedy ruszyliśmy korytarzem do mojego pokoju.

– Sale są jednoosobowe. Chłopcy po tej stronie, dziewczyny po drugiej. Nie wolno ci nikomu składać wizyt bez dozoru personelu. Po obu stronach korytarza znajdują się łazienki.

– Ale tam możemy się spotykać bez dozoru personelu? A może regulamin zabrania sikania w tym samym czasie?

– Otrzymasz rozkład zajęć na każdy dzień. Podczas pobytu w szpitalu masz odrabiać lekcje. Zatroszczymy się o sprowadzenie podręczników i innych materiałów dydaktycznych z twojej szkoły.

– Powiadomicie szkołę, że mnie tu zamknęliście? – Już sobie wyobrażałem, jak dyrektor Matthews ogłasza to rano. „Dziś na obiad podajemy spaghetti z klopsikami, próba cheerleaderek odbędzie się w sali gimnastycznej na drugiej przerwie, a Jeff siedzi w wariatkowie”.

– Dyrekcja dowie się tylko, że wyjechałeś na jakiś czas. To wszystko.

– Świetnie. Chociaż myślałem, że właśnie znalazłem świetny sposób na wykręcenie się od testu z matematyki.

– Jak już wspomniałem – podjął Kac – masz brać udział w sesjach grupowych, a także indywidualnych, ze mną.

– Też z dozorem personelu? No bo jakby chciał mnie pan jakoś niefajnie dotykać albo coś…

Kac wstał i podał mi kartkę.

– To rozkład zajęć na dzisiaj. Teraz masz czas wolny. Proponuję, żebyś poświęcił go na poznanie obecnych tu osób.

– Już lecę – zapewniłem go, składając świstek, na który nawet nie spojrzałem. – Świetna ekipa.

– Daj im szansę. Mogą cię zaskoczyć.

– Ależ ja wierzę! Wie pan, jak panu nie wyjdzie z leczeniem, może pan spróbować w Disneylandzie. W oprowadzaniu wycieczek pan wymiata.

– Zobaczymy się na południowej sesji – odpowiedział, nawet nie mrugnąwszy. – Mój gabinet znajduje się na końcu drugiego korytarza za pokojem wypoczynkowym. Pielęgniarka cię tam przyprowadzi.

Wyszedł, a ja spojrzałem w końcu na kartkę. Moja sesja terapeutyczna została wyznaczona na wpół do czwartej. Sprawdziłem godzinę na zegarze ściennym. Dochodziło wpół do pierwszej, co znaczyło, że muszę jakoś zabić trzy godziny do czasu, gdy mistrz sztuk magicznych Kac Dupek spróbuje otworzyć mi głowę i zobaczyć, co w niej mam. Trzy godziny wypełnione nicnierobieniem.

– O pierwszej mam terapię zajęciową.

Obok mnie stała Sadie. Pokazała mi swoją kartkę.

– Mogę zrobić tacie portfel. Zawsze o nim marzył.

– A tak liczyłem na zajęcia z łucznictwa – powiedziałem. – A tu tylko podchody i zdobywanie flagi.

Parsknęła śmiechem.

– Witaj na Obozie Czubków, gdzie uczestnicy mają świra, a instruktorzy WYMAGAJĄ, żebyś brał prochy.

– No, akurat ten uczestnik długo tu nie pouczestniczy – mruknąłem, zgniatając w dłoni moją kartkę.

– Jak to? Masz jakiś plan?

– Jasne. – Rzuciłem kulkę papieru do kosza. – Bardzo prosty. Nie jestem wariatem.

Sadie znowu parsknęła śmiechem.

– Jasne. Jak my wszyscy.

– Mówię serio.

– Ja też. Myślisz, że jestem wariatką?

– W końcu za coś tu trafiłaś, nie?

Skinęła głową.

– Tak samo jak ty. Uważasz, że tylko co do ciebie się pomylili?

Spojrzałem jej w oczy. Mówiła całkiem serio. Potem sobie przypomniałem, jak powiedziała, że chciała się utopić. To jasne, że jej odbiło. Mam się jeszcze użerać z jej świrem?

– Muszę iść do łazienki – mruknąłem. – To na razie.

DZIEŃ 4

Oto podstawowe fakty. Nazywam się Jeff. Mam trzynastoletnią siostrę Amandę i rodziców, którzy nadal ze sobą wytrzymują. Cała nasza czwórka mieszka w prześlicznym domku w prześlicznej okolicy w prześlicznym mieście podobnym do milionów innych miast. Rodzice nigdy nas nie bili, nie molestował mnie żaden ksiądz, koledzy w szkole nie dokuczali jakoś szczególnie. Nie słucham death metalu, nie mam obsesji na punkcie brutalnych gier wideo i nie odcinam dla zabawy głów małym zwierzątkom.

Mniej więcej to powiedziałem Kacowi na dzisiejszej sesji – czyli o wiele więcej niż wczoraj, kiedy siedziałem w milczeniu, aż pozwolił mi odejść. Ale dziś zaczął stukać ołówkiem w notes, przeszywając mnie spojrzeniem. Najwyraźniej w ten sposób lekarze zmuszają pacjentów do reakcji. To działa. Im dłużej się na mnie gapił, tym bardziej chciałem zacząć mówić, byle tylko przestał stukać.

Ale nie miałem ochoty opowiadać o sobie, więc obgadałem wszystkich z grupy. Było to już po naszym drugim spotkaniu, na którym okazało się, że Alice gryzie kosmyki włosów, Juliet nadal kocha Bone’a, a Bone swoje buty. Wiekopomne fakty.

– To nie miejsce dla mnie – powiadomiłem Kaca na wypadek, gdyby sam dotąd tego nie odkrył. – Ci ludzie mają nieźle narąbane w głowach. Nie powinienem przebywać w ich towarzystwie. Jeszcze się zarażę.

Przez chwilę nie komentował, tylko stukał – puk, puk, puk – aż w końcu mu powiedziałem, że jak nie przestanie, wezmę ten ołówek i wbiję go sobie w krtań. Wtedy schował go do kieszeni.

– Dlaczego uważasz, że tu nie pasujesz? – spytał.

– A dlaczego pan uważa, że pasuję? – odpaliłem.

Znowu nie odpowiedział, tylko na mnie patrzył. Niesamowite, ten facet potrafi strasznie długo wytrzymać bez mrugania. Ja też tak próbowałem, ale od razu mi wyschły spojówki. W końcu zapytałem:

– Pan jest prawdziwym doktorem? Znaczy po studiach i tak dalej?

– Jestem psychiatrą.

– Czyli nie jest pan prawdziwym lekarzem.

– Psychiatra to także doktor medycyny. W odróżnieniu od psychologa.

– Czyli uważa pan, że jest lepszy od psychologa. To niezbyt miło. Oni pewnie też się bardzo starają.

– To dwa różne zawody.

– Gdzie pan studiował? W prawdziwej uczelni czy takiej na Karaibach? – Słyszałem, że ludzie, którzy nie dostali się na studia medyczne, wyjeżdżają na Karaiby, gdzie najwyraźniej wystarczy przez cztery lata pić drinki z parasolką i siedzieć na plaży, żeby dostać dyplom.

– Studia kończyłem na uniwersytecie w Chicago, a doktorat zrobiłem w Toronto.

– Kanada. Więc jednak musiał pan wyjechać za granicę. – Pokręciłem głową, jakby bardzo mnie rozczarował. – Przykro mi, ale nie budzi pan we mnie zaufania. Potrzebuję opinii innego specjalisty.

– Od dziesięciu lat pracuję z młodymi ludźmi – oznajmił Kac Dupek. – Zapewniam cię, że mam wystarczające kwalifikacje, żeby ci pomóc.

– Od dziesięciu? – Trochę się zdziwiłem. Nie sądziłem, że jest aż tak stary. – Poszedł pan na studia w wieku dziewięciu lat? Czy przez pracę rozumie pan jakieś wakacyjne praktyki czy coś w tym stylu?

Myślałem, że powie mi, ile ma lat, ale znowu zaczął się gapić. Rozejrzałem się po jego gabinecie, omijając go wzrokiem. Oprócz biurka w pomieszczeniu stała sofa. Były też dwa krzesła, siedziałem na jednym z nich. Nie plastikowe jak te w świetlicy, tylko z tapicerką z prawdziwej skóry, która nie odgniata człowiekowi tyłka. Pod ścianą stała biblioteczka z książkami wyglądającymi na nudne i doniczką z różowo kwitnącym kwiatkiem. Wisiał obraz. Przedstawiał czarno-białego psa z martwym ptaszkiem w pysku.

W oknie nie było szyby ze zbrojonego szkła. Pewnie nie istnieje niebezpieczeństwo, że psychiatra zechce się z niego rzucić. Zastanowiłem się, czy nie spróbować wyskoczyć, ale byliśmy na trzecim piętrze i pewnie najwyżej złamałbym nogę. Dalej tkwiłbym w domu wariatów i w dodatku w gipsie, a to już moim zdaniem lekka przesada.

– Nie pasuję do nich – oznajmiłem, gdy znudziło mnie podziwianie mebli.

– Czyli do kogo? – spytał, jakby już zapomniał, o czym rozmawialiśmy.

– Do nich. – Machnąłem rękami. – Do reszty grupy. No naprawdę. Przecież

to świry.

– Czemu tak mówisz?

– Jedna usiłowała upiec faceta – zacząłem, odliczając na palcach. – Druga kocha się w chłopaku, który jej nie dostrzega i chyba nawet nie wie, gdzie się znalazł. Następna bez powodu rzuciła się do jeziora.

– I uważasz, że się od nich różnisz?

– No pewnie. Pan tak nie uważa?

– Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Jak już wspomniałem, rodzinę mam całkiem normalną. Wiadomo, czasami się o coś kłócimy, ale na ogół się dogadujemy. Jesteśmy tak nudni, że kusiło mnie, by coś zełgać, na przykład że matka zamyka siostrę i mnie w piwnicy, bo nie smakuje nam to, co ugotowała, albo że ojciec mnie ciśnie, żebym był we wszystkim najlepszy. Ale tak naprawdę tata powtarza, że on też nie miał dobrych stopni z matmy i że piątka z angielskiego rekompensuje tróję z trygonometrii. A mama zwykle kupuje obiad na wynos w Chińskim Smoku albo Meksykańskiej Gospodzie, bo kiedy usiłuje sama coś przyrządzić, od razu w kuchni wybucha pożar.

– Jest świetna – oznajmiłem. – Niesamowicie i totalnie.

– To dlaczego chciałeś się zabić?

Facet zaczynał mi działać na nerwy swoim uporem. Zrobiłem długą pauzę, żeby pomyślał, że się głęboko zastanawiam. Potem westchnąłem.

– No dobrze. To już powiem.

Kac wyprostował się nieco. Znowu wyjął ołówek i uniósł go nad notesem, jakby chciał zapisać każde słowo historycznego przemówienia.

– Zrobiłem to, bo… – zawahałem się i lekko zamrugałem, jakbym miał lada chwila wybuchnąć płaczem. – Bo… bo nie mogę żyć na tym samym świecie co Paris Hilton.

Myślałem, że doktor na mnie nawrzeszczy, ale tylko coś zanotował. Po chwili podniósł głowę.

– Nie wydaje mi się, żeby panna Hilton była odpowiedzialna za twoje kłopoty. Oczywiście może irytować, ale o ile mi wiadomo, nie spowodowała niczyjej śmierci. Więc może po prostu wyjawisz mi prawdziwą przyczynę?

– Nie ma żadnej przyczyny – oznajmiłem. Zaczął mnie wkurzać, bo chyba mnie nie słuchał. – Zrobiłem to i już. Jestem nastolatkiem. Z nudów mi odbija. Teraz już zmądrzałem i chcę do domu.

Kac spojrzał na zegarek i oznajmił, że na dziś skończyliśmy. Chciałem jak najszybciej spadać, więc kiedy dodał, że przestaną mi podawać jeden lek i że mogę się dziś czuć trochę rozkojarzony, tylko skinąłem głową i wyszedłem, nie dopytując o szczegóły.

Rzeczywiście, kiedy Goody przyniosła kubeczek pełen śmiesznych proszków, nie znalazłem wśród nich jednej niebieskiej pigułki, którą wcześniej dostawałem. Przez parę godzin czułem się dobrze. Potem ogarnęło mnie lekkie zmęczenie, a następnie poczułem się, jakby ktoś mnie kopnął w głowę. Parę tysięcy razy.

Głupio się przekonać, że twój stan zależy od jednej małej pigułki, która wygląda jak tic tac i zawiera jakąś dziwną kombinację substancji, za sprawą których myślisz, że przeżywasz przygodę życia, choć tak naprawdę stoisz goły na środku szkolnej stołówki, a wszyscy robią ci zdjęcia. To taka przenośnia. Chyba.

DZIEŃ 5

W środku nocy obudziło mnie ohydne uczucie. Miałem zły sen, jeden z tych, które ciągną się w nieskończoność, choć właściwie nic się w nich nie dzieje. Biegłem przez wielki dom. Ktoś mnie ścigał. Uciekałem po schodach i przez labirynt korytarzy, szukając wyjścia. Cały czas ten ktoś był na tyle blisko, że słyszałem jego oddech.

W domu nie było pokojów. Żadnych kryjówek. Mogłem tylko biec. W końcu dotarłem do jakichś drzwi. Ten ktoś, kto mnie ścigał – chyba jakiś stwór – wspinał się w ślad za mną po schodach, chrobocząc pazurami. Dyszał coraz głośniej, a ja nade wszystko pragnąłem uciec, zanim odkryję, kim lub czym on jest. Obracałem gałkę, ale zamek nie ustępował.

W końcu rozległo się szczęknięcie i drzwi stanęły otworem. Wybiegłem przez nie, ale nie trafiłem do żadnego pomieszczenia. Otaczała mnie czerń. Runąłem w otchłań, jakby podłoga się rozpłynęła. Spadałem tak szybko, że nie mogłem nawet krzyknąć. Tonąłem w czerni, czując przeraźliwy chłód, a wiatr wył mi w uszach.

Potem się obudziłem i spojrzałem w twarz diabła wyszczerzonego w uśmiechu i gapiącego się na mnie z sufitu.

Usiłowałem znowu zasnąć, ale chaotyczne myśli nie dawały mi spokoju. Przez głowę przelewały mi się strumienie słów, jakbym miał w niej tysiąc różnych kanałów telewizyjnych. Leżałem tak przez jakiś czas, aż w końcu doszedłem do wniosku, że jeśli czegoś nie zrobię, oszaleję. Wstałem więc i poszedłem do pokoju wypoczynkowego. Jedna z pielęgniarek z nocnej zmiany, chyba nazywa się siostra Księżyc (no dobra, pewnie nie, nie znam jej nazwiska), siedziała przy biurku zwróconym w stronę korytarza. Rozwiązywała krzyżówkę.

– Potrzebujesz czegoś? – rzuciła z rozdrażnieniem. Chyba się wściekła, bo przeszkodziłem jej we wpisywaniu hasła trzydzieści dwa pionowo.

Pokręciłem głową.

– Chcę tylko posiedzieć.

Wskazała mi głową kanapę. Początkowo nie zauważyłem skulonej Sadie, która oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Odblask ekranu migotał na jej twarzy. No naprawdę, chyba ją pogięło.

Na mój widok poklepała miejsce obok siebie.

– Siadaj – zaproponowała.

Posłuchałem, bo nie chciało mi się wracać.

Sadie oglądała jakiś czarno-biały film. Na ekranie mężczyzna i kobieta stali w staroświeckim salonie. Kobieta się denerwowała, a mężczyzna unikał jej wzroku.

– Jak możesz mnie zostawiać, Reginaldzie? – odezwała się Sadie smutnym głosikiem.

Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. Patrzyła w ekran.

– Mówiłem ci, Daphne, że wyjeżdżam do Peru, żeby odnaleźć zaginione miasto Quezelacutan – dodała, zmieniając nagle głos na niski i gniewny.

Wymyślała dialogi.

Spojrzałem na ekran. Bohaterka gwałtownie chwyciła mężczyznę za rękę.

– Zabierz mnie z sobą! – rzuciła Sadie i załkała.

Mimo woli się roześmiałem.

– Ćśśś! – syknęła Sadie. – To dramat. Nie wolno się śmiać.

– Przepraszam.

– Będziesz Reginaldem.

– Nie, dzięki. To twoja zabawa.

– Nie bądź świnia. Daj się namówić.

Nie miałem ochoty się kłócić, więc się poddałem. Na ekranie aktor usiłował wyrwać się kobiecie.

– Nie mogę cię zabrać do Peru – powiedziałem szybko, gorączkowo myśląc, co dalej. – Na łodzi brakuje miejsc.

– Przecież jestem drobna – odparła Sadie. – I nie jem dużo. Widzisz, jaka jestem chuda?

– Nie, Daphne – oznajmiłem. – Peru to nie miejsce dla kobiety, nawet chudej. Dostaniesz malarii i umrzesz.

– Ale ja mówię po peruwiańsku! – zawołała Sadie. – Nauczyłam się na pensji panny Piffingham.

Reginald się ożywił.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? – spytałem.

– Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Reginaldzie – odparła Sadie, a kobieta z filmu puściła mężczyznę i wzięła się pod boki.

Zaczęła się przerwa na reklamy. Sadie spojrzała na mnie z uśmiechem. Pokręciłem głową.

– Ale z ciebie świr – powiedziałem.

– Nieźle, co? Lubię to. Przeważnie wymyślam fajniejsze historie niż te w filmach. Tak myślę. Nigdy nie włączam dźwięku. – Znowu spojrzała na telewizor. – Nie możesz spać, tak?

Pokiwałem głową.

– Czuję się, jakby w mojej głowie mieszkały ze dwadzieścia trzy osoby.

– Tylko dwadzieścia trzy? Ty farciarzu. – Sadie zerknęła na siostrę Księżyc i pochyliła się do mnie. – Odstawili ci Lek Na Całe Zło – dodała szeptem.

– Co?

– Lek Na Całe Zło. Zaczęli ci go dawać od razu po przyjęciu, żebyś nie ześwirował i nie zrobił sobie krzywdy. Jak już się upewnili, że nic ci nie grozi, wycofali go. Grzeczny z ciebie chłopiec. Ja jechałam na nim cały tydzień.

– Wolałbym go dalej brać. Zrobiło się do bani.

– Na tym etapie chcą, żebyś sobie przypomniał, dlaczego to zrobiłeś – wyjaśniła Sadie. Zerknęła na moje przeguby. – Udało im się?

Nie zdawałem sobie sprawy, że podciągnąłem rękaw piżamy i pocierałem bandaż opasujący mi rękę. Znieruchomiałem i zasłoniłem go.

– To minie – powiedziała Sadie, odwracając się do telewizora. – To, co się dzieje w twojej głowie. Stopniowo.

W milczeniu gapiłem się w ekran.

– A ty pamiętasz? – spytałem po chwili.

Skinęła głową.

– Chciałam odpłynąć – odezwała się sennie. – Wydawało mi się, że zdołam oddychać pod wodą. Jak syrenka.

– Ale serio chciałaś umrzeć?

Roześmiała się.

– Może tak, może nie. Kto wie. A potem tamten skoczył i mnie uratował. – Spojrzała na mnie. Miała bardzo błękitne oczy. – Kto uratował ciebie?

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba sanitariusze.

Pokręciła głową.

– Nie, oni tylko zrobili, co do nich należało. Kto uratował cię wcześniej? Kto po nich zadzwonił?

– Rodzice.

– Więc to oni cię uratowali.

O tym nie pomyślałem. Miała rację. Ale czy naprawdę mnie uratowali? Może mi tylko przeszkodzili?

– To jak, powiesz, czemu to zrobiłeś? – spytała Sadie.

Wzruszyłem ramionami. Przed chwilą fajnie się bawiliśmy, ale nie byłem w nastroju do zwierzeń. Zwłaszcza że nie miałem wiele do powiedzenia.

– W porządku – stwierdziła. – Nie musisz mi mówić. Pooglądajmy telewizję.

I tak zrobiliśmy. Nadal nie włączyliśmy dźwięku. Sami też milczeliśmy. Po chwili ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Pożegnałem się i wróciłem do siebie.

Ale ciągle myślałem o Sadie i o tym, że chciała się utopić. Oto, do czego doszedłem: jak to jest, że ktoś ratuje samobójcę, a potem ma do niego pretensje za zepsuty dzień? Ciągle czuję, że ludzie chcą, bym ich za coś przeprosił. Ale nie mam za co, to oni spaprali sprawę. Nie ja.

Nie prosiłem, żeby mnie ratować.

DZIEŃ 6

W siódmej klasie w ramach zajęć z WOS-u korespondowałem z pewną dziewczyną. Chodziło o to, żebyśmy poznali ludzi z różnych stron świata i zrozumieli, że nikt z nas nie planuje zamachów bombowych lub że zostanie prezydentem. Ta dziewczyna pochodziła z plemienia Masajów w Kenii. Nie podejrzewałem, że w ogóle mają tam pocztę. Napisałem, że lubię jazdę na deskorolce, malowanie i kawałki Thieving Magpies i Fun While It Lasted. Ona odpowiedziała, że mieszka w glinianej chacie, hoduje krowy i pije ich krew z mlekiem, a co niedzielę chodzi z rodziną do wioski oddalonej o piętnaście mil, żeby pooglądać u kogoś *Buffy, postrach wampirów* i *Ostry dyżur*. W ten sposób nauczyła się angielskiego.

Wysłała mi swoje zdjęcie, na którym była cała wysmarowana czerwoną glinką i spytała, czy wszyscy Amerykanie mają baseny i jasne włosy. Pamiętam, że strasznie mi się spodobały znaczki na kopercie i że zacząłem zmyślać różne rzeczy na swój temat, bo ona wydała mi się taka interesująca, a ja byłem nudny. Napisałem, że mój ojciec jest słynnym podróżnikiem i ciągle oglądamy sztuki na Broadwayu, bo matka w nich gra. Korespondowaliśmy przez prawie cały rok szkolny. Już nie pamiętam, które pierwsze zamilkło. Pewnie ja. Skończyły mi się kłamstwa.

Dziś myślałem o tym przez całe spotkanie z Kacem. Męczył mnie, żebym mu o sobie opowiadał, więc nazmyślałem. Uznałem, że to niezła zabawa. Gra w kłamstwa.

– Jesteś tu prawie tydzień – zaczął. – Jakie masz wrażenia?

– Bardzo mi się tu podoba. Naprawdę.

Kac poprawił okulary. Robi to zawsze, kiedy się zdenerwuje albo ożywi.

– Tak?

Pokiwałem głową.

– Zdecydowanie. Czterogwiazdkowy lokal. Dałbym pięć, ale woda w basenie trochę za zimna i za długo czekałem, aż mi przyniosą kanapki do pokoju. Nie narzekam, tylko informuję.

Kac odłożył notes.

– Jeff. To się nie uda, jeśli nie zaczniesz ze mną rozmawiać.

– Przecież rozmawiam. Widzi pan, poruszam ustami. Wydobywają się z nich dźwięki. Nazywamy to mówieniem.

– Jesteś inteligentnym chłopakiem. Szkoda, że nie potrafisz spożytkować tej inteligencji we własnej sprawie.

Wiedziałem, do czego zmierza. Wykorzystywał psychologiczną sztuczkę – chciał mnie sprowokować do działania, sugerując, że czegoś nie zrobię. Żałosne. Nie do wiary, że próbował mnie na to nabrać. Dlatego postanowiłem iść na całość.

– Ma pan rację – oświadczyłem, starając się, żeby to zabrzmiało bardzo serio. Okazało się to bardzo trudne. – To pewnie dlatego, że się boję.

Kac znowu wziął notatnik i sięgnął po okulary. Wiedziałem, co myśli: „Zanosi się na przełom”.

– Czego się boisz? – spytał.

Westchnąłem ciężko, jakbym z największym trudem zdobywał się na wyznania.

– Wszystkiego – wymamrotałem. – Boję się wszystkiego.

No, to go naprawdę ruszyło. Notował, aż furczało, i kiwał głową jak te pieski w samochodach.

– A czego się boisz najbardziej?

– Chyba samotności. Tego, że nikt mnie nie rozumie.

Kac podniósł głowę.

– Myślisz, że nikt cię nie rozumie?

– Ludziom wydaje się, że mnie rozumieją, ale nie mają racji. Tutaj ukrywa się ktoś zupełnie inny, ale nikt tego nie dostrzega. – Dotknąłem piersi i znowu westchnąłem.

Ta jego mina! Bezcenna. Szkoda, że nie zrobiłem zdjęcia. Normalnie wszystko kupił. Nie wiedział, że odgrywam scenę z filmu. Choć, szczerze mówiąc, dodałem coś od siebie. Nie zerżnąłem żywcem całego *Problemu z Nicole*.

– A kogo masz w sobie? – spytał Kac.

Odczekałem chwilę. Budowałem nastrój wielkiej tajemnicy, którą zdradzę tylko jemu. Nachyliłem się i szepnąłem:

– Baletnicę.

– Przepraszam, kogo?

– Baletnicę – powtórzyłem trochę głośniej. – Mam w sobie baletnicę.

Kac wyprostował się i spojrzał na mnie dziwnie.

– Widzi pan – zacząłem gorączkowo – kiedy miałem pięć albo sześć lat, rodzice zabrali mnie na *Dziadka do orzechów*. W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego. – Zamknąłem oczy, jakbym wspominał. Nawet lekko się uśmiechnąłem. – Ta pani, co tańczyła partię Wieszczki Cukrowej, miała prześliczny kostium. Nie mogłem oderwać oczu. Chciałem być nią. – Otworzyłem oczy. – Później wyznałem to rodzicom. Śmiali się, ale ja przecież mówiłem serio. Naprawdę chciałem, i nadal chcę, nią być.

Jeszcze bardziej pochyliłem się do doktora.

– Ona jest we mnie uwięziona – szepnąłem cicho, jakbym się bał, że wróżka mnie usłyszy i się wścieknie. – I chce się uwolnić.

Kochany stary Kac stuknął ołówkiem o notes.

– Twierdzisz, że zrobiłeś sobie krzywdę, bo chcesz być baletnicą? Dobrze zrozumiałem?

– Tak. To wszystko przez nią. Ona mnie do tego zmusiła. Opętała mnie Wieszczka Cukrowa. – Dla lepszego efektu zacząłem nucić dziwną melodię, trochę przypominającą *Taniec Wieszczki Cukrowej*. Bo naprawdę widziałem *Dziadka do orzechów*. Jak wszyscy, nie?

Kac przez długą chwilę milczał. A kiedy już się odezwał, usłyszałem w jego głosie, że walczy ze zdenerwowaniem.

– Myślisz, że jestem głupi?

Pokręciłem głową.

– Nie. Pan nie może być głupi. Studiował pan w Kanadzie. Podobno mają tam o wiele wyższy poziom nauczania. A co, czuje się pan głupi?

– Są na tym oddziale osoby, które bardzo chcą się poczuć lepiej – powiedział, ignorując moje pytanie. – Jestem tu, żeby im pomóc. Nie po to, by wysłuchiwać bzdur, które pleciesz, bo nie chcesz sam przed sobą przyznać, że masz problem.

Udałem zdumienie.

– Jak to? Przecież właśnie wszystko powiedziałem. Opętała mnie Wieszczka Cukrowa. Chciała mnie zabić! Musi pan coś zrobić. Może

egzorcyzmy? Albo wieszczyzmy.

– Marnujesz mój czas. Na dziś skończyliśmy – oznajmił Kac.

– A jeśli znowu będzie chciała mnie skrzywdzić? – zatroskałem się. – Albo każe mi skrzywdzić kogoś innego? Mógłbym zacząć kręcić piruety po całej świetlicy i nie wiem, jak by się to skończyło. Mogłoby dojść do wróżkowej masakry.

– Skończyłeś?

– To zależy – odparłem normalnym tonem. – Dojrzał pan, żeby mnie odesłać do domu?

– Spędzisz tu czterdzieści pięć dni. Możesz je zmarnować, jeśli chcesz, ale nie wyjdziesz przed ich upływem.

Teraz mnie wkurzył na serio.

– Myślałem, że marnuję PAŃSKI czas – warknąłem.

– Bo marnujesz. Marnujesz też własny, a także zajmujesz miejsce jakiejś osoby, która chce pomocy. Przemyśl swoje postępowanie. Do zobaczenia jutro.

Spuścił wzrok na znak, że mam odejść, więc odszedłem. I to z zadowoleniem. Nie do wiary, że robił mi wyrzuty, że zabieram jego czas, skoro trzyma mnie tu wbrew mojej woli. Wystarczyłoby przyznać, że jestem normalny, i wypisać mnie ze szpitala. Jeśli jakiś świr potrzebuje miejsca, to z największą radością mu je odstąpię. Mam serdecznie dość ludzi uważających, że wyświadczają mi wielką łaskę.

DZIEŃ 7

Tego ranka zszedłem do świetlicy i zastałem Sadie nad kartką papieru. Wyjaśniła, że pisze do przyjaciółki.

– Nie masz najlepszego przyjaciela? – spytała. – No wiesz, takiego, któremu się zwierzasz?

– Właściwie to nie – odpowiedziałem. – Nie znam się na przyjaźni.

Spojrzała na mnie dziwnie. Potem zerknęła za zegar.

– Muszę lecieć do Katzrupusa – oznajmiła, zabierając kartkę. – Zobaczymy się jeszcze?

– Jasne. Będę odrabiać lekcje. Zamknięcie u czubków nie zwalnia z obowiązku wykucia cyklu rozwojowego żab.

Znowu nakłamałem. Nie w sprawie pracy domowej, tylko przyjaciół. Mam przyjaciółkę. Nazywa się Allie. Ale nie chciałem o niej gadać.

Tak, wiem. To dziwne, żeby najlepszą przyjaciółką chłopaka była dziewczyna, ale nic na to nie poradzę.

Poznałem Allie w siódmej klasie na WOS-ie, kiedy przyprowadziła ją sekretarka dyrektora, pani Pennyfall. Allie patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała podpalić szkołę. Jedyna wolna ławka znajdowała się koło mojej, więc musiała tam usiąść. Całą lekcję spędziła ze spuszczoną głową, bazgrząc na okładce zeszytu. Usiłowałem podejrzeć, co rysuje, ale nie chciałem, aby pomyślała, że jestem nią zainteresowany.

W końcu trochę przesunęła zeszyt i zobaczyłem, że całą jego okładkę pokryła nietoperzykami. Wyglądały, jakby się wyroiły ze środka wielką spiralną chmurą. Nie mogłem oderwać od nich oczu i Allie to zauważyła. Zasłoniła zeszyt podręcznikiem.

Po zajęciach podszedłem i powiedziałem, że świetnie jej wyszły te nietoperze.

– Nie potrzebuję przyjaciół, jasne? – warknęła. – I tak mam dość problemów.

– Jak chcesz – ja na to. – Ale ktoś powinien cię oprowadzić. Inaczej popełnisz nieodwracalny błąd i zaczniesz gadać z niewłaściwymi ludźmi, a wtedy całe twoje życie towarzyskie legnie w gruzach.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem parsknęła śmiechem. I tak się to zaczęło. Razem zjedliśmy obiad, a następnego dnia znowu usiadła obok mnie na WOS-ie. Okazało się, że mamy trochę wspólnych zainteresowań – filmy SF, kolejki górskie i inne – więc zaprosiłem ją na oglądanie *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*, które są najlepszym filmie na świecie, o wiele lepszym od *Gwiezdnych wojen*, niech sobie inni mówią, co chcą. Przyszła i tak zostaliśmy przyjaciółmi.

Jej rodzice się rozeszli. Mama przeprowadziła się z nią do naszego miasta, bo znajdowało się wystarczająco daleko od dawnego życia, ale nie na tyle, żeby córka nie mogła się spotkać z ojcem, gdyby zechciała. Jednak ona nie chciała, bo cholernie się wkurzyła na to, że zdradził matkę. Stąd ten rozwód. Mama Allie odkryła, że mąż sypia z jej przyjaciółką, i dość kiepsko na to zareagowała.

Allie widuje się z ojcem tylko wtedy, kiedy musi, na przykład w Święto Dziękczynienia. Albo czasami w lecie, jak przypomina mu się, że ma córkę i zmusza ją do wspólnego wyjazdu na wakacje ze sobą i swoją nową żoną. Nowa nieustannie podlizuje się Allie, czym ją wkurza. Ma na imię Kati – bez „e” na końcu – i ciągle powtarza: „Uważaj mnie za swoją starszą siostrę”. Allie ma ochotę puścić pawia, jak to słyszy.

Jak wspomniałem, niektórych dziwi, że przyjaźnię się z dziewczyną. Czasami sam się dziwię. Ludzie na ogół uważają nas za parę i pewnie moglibyśmy nią zostać, ale to by już było jak z filmu dla nastolatków. Chłopak i dziewczyna się przyjaźnią, są nierozłączni, nagle spoglądają sobie w oczy i – bach! – uświadamiają sobie, że przez cały ten czas łączyła ich miłość. Wszyscy się cieszą i idą na imprezę.

Allie i ja też poszliśmy raz na imprezę – taką szkolną, w ósmej klasie na wiosnę – tylko po to, żeby sprawdzić, co tak kręci ludzi. Nasze matki zrobiły z tego wielkie halo, wystroiły nas, robiły zdjęcia i tak dalej. Jedno z tych zdjęć nadal wisi u nas w salonie oprawione w ramkę. Kiedy Allie do nas przychodzi, na jego widok zawsze mówi:

– Mam włosy, jakby piorun w szczypior strzelił. Może byś to zdjął?

Ale chyba tak naprawdę się cieszy, że ono tam wisi.

Najlepsze jest to, że mogę z nią rozmawiać właściwie o wszystkim.

Chciałbym jej powiedzieć, jak się czuję w tej chwili, że nie znoszę tego szpitala, tych ludzi i ich dziwnych problemów. Wiem, że by się uśmiała.

Może mógłbym napisać list, jak Sadie, ale to nie to samo. Chcę opowiedzieć Allie osobiście, jak tu jest.

Nadal o niej myślałem, kiedy wróciła Sadie. Niesamowite, że godzina upłynęła mi tak szybko.

– Jak poszło? – spytałem.

– Wiesz, że nie wolno nam rozmawiać o sesjach. Serio, może mnie to sporo kosztować. Chcesz za to odpowiadać?

– Zaryzykuję.

Trzepnęła mnie po ramieniu.

– Dzięki za taką troskę. Rozmawialiśmy o moim tacie.

– To znaczy?

Westchnęła.

– No wiesz, o tym, że moim zdaniem mnie nie kocha i że prawdopodobnie chciałam zwrócić na siebie jego uwagę.

– A chciałaś?

Spojrzała na swoje paznokcie, ogryzione niemal do zera.

– Gdyby tak było, mogłam trochę lepiej wszystko zaplanować, zważywszy, że ojciec w tamtym czasie pojechał na drugi koniec świata wykładać o architekturze średniowiecza. Jak się dowiedział, że przeżyję, zwlekał jeszcze tydzień z powrotem, bo chciał zwiedzić najpierw pewien zamek w Hiszpanii.

Nie chciało mi się wierzyć. Ojciec wykładowca architektury? Brzmiało to jak te historie, które sam zmyślam. Ale nie wiedziałem, czy Sadie lubi kłamać. Z wariatami nigdy nie wiadomo.

– Naprawdę myślisz, że cię nie kocha? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– A po czym się to poznaje?

Kiedy nie odpowiedziałem, spojrzała mi w oczy.

– Pytam serio. Po czym?

Przez jakiś czas się zastanawiałem.

– Pewnie zakładasz, że kocha, dopóki cię nie wyprowadzi z błędu.

Pokręciła głową.

– Potrzebna mi większa pewność.

– Może po prostu spytaj?

– Skoro musisz o to pytać, to odpowiedź pewnie brzmi „nie”. Myślisz, że rodzice cię kochają?

Skinąłem głową.

– Aha. Może są trochę skrzywieni, ale mnie kochają.

– Powiedzieli ci to?

– Czasami mówią. Mama częściej niż tata, ale to chyba norma.

Sadie długo na mnie patrzyła.

– Masz farta – mruknęła w końcu.

Od tej pory nie mogłem przestać o tym myśleć. Naprawdę mam farta? Że nie umarłem? Że w porównaniu z ludźmi, których tu poznałem, żyje mi się całkiem nieźle? Może i tak, ale nie czuję się szczęśliwy. Przede wszystkim utknąłem w tej dziurze. A poza tym czy muszę chodzić cały ucieszony, bo nie wiedzie mi się aż tak beznadziejnie jak pozostałym? Nie można się porównywać z innymi. To po prostu bez sensu. Życie, które mnie wydaje się idealne – albo przyzwoite – dla kogoś innego okaże się nie do zniesienia.

Boże, zaczynam tu wariować. Mówię jak Kac Dupek. Zastanawiam się, jak by zareagował, gdybym opowiedział mu o Allie. Pewnie by spytał, czy ją kocham.

DZIEŃ 8

Kończy się mój pierwszy tydzień w Klubie pod Prochami. Zamiast imprezy czekała mnie inna niespodzianka: mama i tata przyszli w odwiedziny. A może przyszli, bo ktoś im kazał. W każdym razie kiedy wszedłem do gabinetu Kaca nastawiony na kolejną sesję babrania w moim mózgu i ich zobaczyłem, pomyślałem, że mam zwidy albo że wbiłem się na terapię ludzi podobnych do moich rodziców. Ale to byli oni. Siedzieli na kanapie.

Na mój widok mama wstała. Zrobiła parę kroków, po czym przystanęła. Może Kac zakazał jej gwałtownych ruchów, żeby mnie nie spłoszyć czy coś, bo spojrzała na niego, a potem na mnie. W końcu wykrztusiła tylko: „Cześć, Jeff” i usiadła obok ojca.

Bez słowa zająłem miejsce na dużym krześle naprzeciwko kanapy. Szczerze, co można powiedzieć rodzicom, po tym jak ostatnio widzieli cię na wpół martwego i musieli wezwać pogotowie? Po czymś takim nie można gładko przejść do pogawędek typu „co tam w szkole?”. Nie żebyśmy w ogóle się sobie zwierzali. Uściski to nie nasz styl.

– Jeff, czy chciałbyś coś przekazać rodzicom? – spytał Kac, przerywając ciszę, która trwała mniej więcej ze sto lat.

Czy w ogóle chciałem im coś powiedzieć? Owszem, tak. Przede wszystkim spytać: dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć? A potem: dlaczego musieliście wrócić wcześniej z tego głupiego przyjęcia? Dlaczego musieliście mnie zamknąć z tymi czubami?

Ale rzuciłem tylko:

– Co powiedzieliście wszystkim?

Matka splotła ręce.

– Powiadomiliśmy Amandę, że trafiłeś do szpitala, ale nie mówiliśmy dlaczego.

– Ma trzynaście lat, nie cztery. Pewnie zadawała pytania.

Znam moją siostrę. Musi wiedzieć wszystko o wszystkich: która dziewczyna

ze szkoły po raz pierwszy dostała okres i która chce kogo zaprosić na imprezę. Nie ma szans, żeby nie próbowała od rodziców wyciągnąć, co się stało.

Mama spojrzała na tatę, który spuścił głowę.

– Wyjaśniliśmy twojej siostrze, że masz pewne… problemy – mruknął.

Parsknąłem śmiechem. Ubawiło mnie, że usiłowali ukryć prawdę przed Amandą. I jestem pewien, że sprzedali jej inny tekst. Ciekawe, co zaczęła podejrzewać. Że mam raka? Guza mózgu? Nie mogłem się doczekać, kiedy się dowiem.

– A inni? – spytałem. – Co powiedzieliście w szkole?

– Że przez jakiś czas cię nie będzie – wymamrotał tata. – To wszystko.

– Ktoś dzwonił, żeby spytać, co ze mną?

– Amanda przekazała, że jesteś chory – odezwała się mama.

– Chory – powtórzyłem. Więc tak o mnie myślą: chory. Biedny, chory Jeff leży w szpitalu, a lekarze główkują, co mu dolega. Wkurzyło mnie, że wszyscy się nade mną użalają.

– A Allie? – spytałem, zaskakując sam siebie.

– Nie dzwoniła – odparła mama.

Zamilkłem.

– Czy chcielibyście powiedzieć coś Jeffowi? – spytał Kac rodziców.

– Kochamy cię – oznajmiła mama.

Pokiwałem głową. Jak już wspomniałem, nie przepadam za „czułymi” scenami.

– I chcemy, żebyś poczuł się lepiej – dodał ojciec. – I wrócił do domu.

Nie będę was dłużej zanudzać. Zresztą nie wydarzyło się wiele więcej. Ogólnie rzecz biorąc, siedzieliśmy przez czterdzieści pięć minut, milcząc, chyba że doktor nas o coś pytał. Potem nastąpiło niezdarne pożegnanie, podczas którego matka złamała domowy zakaz przytulania, a ojciec poklepał mnie po plecach. I wyszli. Kac kazał mi zostać, a kiedy wrócił, odprowadziwszy ich do wyjścia, spytał o moje odczucia.

– Mógł mnie pan ostrzec – warknąłem.

– Po co? Spotkanie z nimi sprawiło, że poczułeś się zagrożony?

– Nie, ale się ich nie spodziewałem.

– I to ci przeszkadzało?

– Kiedy ostatnio się widzieliśmy, raczej nie stałem na podium ze złotym medalem.

– Kto to jest Allie?

– Co? – Udałem, że nie dosłyszałem, w duchu przeklinając się, że wymieniłem jej imię. Mogłem przewidzieć, że się do tego przyczepi.

– Allie – powtórzył. – Pytałeś rodziców, czy dzwoniła Allie.

– A, tak. Allie. Kumpela ze szkoły.

– Opowiedz mi o niej.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma o czym opowiadać – rzuciłem, mam nadzieję, lekkim tonem. – Taka dziewczyna, z którą się trochę przyjaźniłem.

– Chciałbyś, żeby twój los ją interesował.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Nie miałem ochoty odpowiadać, ale najwyraźniej Kac na to czekał.

– Tak jakby chodziliśmy ze sobą – oznajmiłem ciężko. – Rany, ale pan wścibski. Bardziej niż moja siostra.

Kac coś sobie zapisał, ale nic nie powiedział. Nie wiem, czy mi uwierzył. Zastanawiałem się, ile czasu zostało do końca sesji. Miałem nadzieję, że niewiele.

Kac przestał pisać, jakby czytał mi w myślach.

– Na dziś to wszystko. Jutro porozmawiamy znowu. Ach, od tej pory rodzice zaczną cię odwiedzać raz w tygodniu, żeby nie było, że cię nie ostrzegałem.

Prawie stamtąd wybiegłem i przez resztę dnia czułem się dziwnie. Właściwie nie wiem dlaczego. Może dlatego, że sądziłem, że bez trudu wyrwę się z tego szpitala. Ale chyba nie pójdzie tak łatwo.

DZIEŃ 9

Dziewiąty dzień, a ja mam wrażenie, że raczej setny rok. Najgorsze, że to mi się zaczyna udzielać. W sensie świr. Zwłaszcza kiedy myślę o Sadie. O tym, że chciała się zabić.

Dziwnie to brzmi: zabić się. Jakby człowiek chciał zamordować samego siebie. Ale zabijanie ludzi to coś złego, a samobójstwo według mnie – nie. To przecież moje życie, nie? Wolno mi je zakończyć, jeśli taka jest moja wola. Nie uważam tego za grzech.

Wszyscy mają jakąś obsesję na punkcie samobójstwa. No bez przesady. Utrzymujemy przy życiu ludzi w celach śmierci tylko po to, żeby ich potem zabić. Pilnujemy więźniów, żeby nie odebrali sobie życia przed procesem. To bez sensu. Dlaczego można kogoś skazać na śmierć, ale jemu samemu nie pozwala się o niej zadecydować?

Powiem wam, co o tym myślę. Myślę, że ludzie świrują, kiedy usiłujesz się zabić, bo tracą nad tobą władzę. Nie podoba im się, że kończysz życie, kiedy chcesz, i nie czekasz na to, co ci pisane. A jeśli pisane ci jest samobójstwo? Przyszło im to do głowy?

Wiem, że się gorączkuję. Po prostu mam dość tego zamknięcia i ludzi, którzy rozmawiają ze mną o moich uczuciach. Jak dzisiaj na terapii grupowej. Kac kazał nam się dobrać w pary i zrobić takie głupie ćwiczenie, w którym jedno z nas miało patrzeć, jak drugie odgrywa swoje uczucia. Nie mogliśmy nic mówić, tylko wyrażać wszystko gestami i mimiką. Przez pięć minut. Potem zamienialiśmy się rolami.

Niestety, byłem w parze z Juliet. Ona chciała Bone’a, jak zawsze, ale Kac kazał mu ćwiczyć z Alice. Ja wolałbym Sadie, ale ona dołączyła jako trzecia do grupy Bone’a i Alice.

Juliet jarała się tą zabawą dokładnie tak jak ja. Patrzyła na mnie, jakbym był ostatnią kanapką na talerzu – z nutellą i musztardą – którą musi wziąć, żeby nie umrzeć z głodu.

– Może ty pierwsza – zaproponowałem, a ona od razu się zgodziła. Spore

zaskoczenie. Ta dziewczyna żyje, żeby zwracać na siebie uwagę. Serio. W życiu nie spotkałem nikogo z taką obsesją na własnym punkcie.

Zaczęliśmy. Na chwilę zamarła – pewnie zaglądając w głąb siebie, wczuwając się czy coś. Potem zrobiła gest, jakby trzymała pręty klatki. Zapatrzyła się na mnie niewidzącym wzrokiem ze smutną miną. I tak stała parę minut.

Przypomniało mi się, jak miałem cztery czy pięć lat i rodzice zabrali mnie do zoo. Chciałem zobaczyć niedźwiedzie, więc poszliśmy do ich wybiegu i przystanęliśmy z grupką gapiów. Pamiętam, że były brązowe – jakaś odmiana grizzly. Wszyscy wskazywali je palcami i gadali, a one chodziły, bawiły się wielkimi plastikowymi piłkami albo zanurzały w wodzie i zajmowały się jakimiś tam niedźwiedzimi sprawami. Wszystkie z wyjątkiem jednego, który przysiadł na trawie i spoglądał w jakiś punkt w oddali, ponad ludzkimi głowami. Wyglądał tak smutno, że zacząłem płakać. Rodzice myśleli, że się przestraszyłem, i zabrali mnie stamtąd. A mnie po prostu było go żal. Litowałem się, bo ten biedny miś musiał siedzieć w zagrodzie, wystawiony na spojrzenia idiotów, i wmawiać sobie, że jest gdzie indziej.

Tak właśnie wyglądała Juliet – jakby widziała miejsce, w którym pragnęła się znaleźć, ale nie mogła się tam dostać. Po chwili wyciągnęła rękę między niewidzialnymi prętami, jakby coś komuś podawała. Trzymała to w dłoni niczym prezent. Miałem ochotę go wziąć, ale przypomniałem sobie, że wolno mi tylko patrzeć. Spojrzałem Juliet w oczy. Utkwiła wzrok gdzieś za moim ramieniem. Odwróciłem się i zobaczyłem Bone'a. Patrzył na Alice, nie zauważając, że Juliet wyciąga do niego rękę.

Zupełnie mi jej nie żal. To żałosne kochać kogoś, kto nie jest tobą zainteresowany. Juliet powiedziała nam, że znalazła się tutaj z powodu zaburzeń odżywiania. Na chudą to ona nie wygląda. Spytałem Sadie, czy kiedykolwiek słyszała, żeby Juliet rzygała w łazience, a ona twierdzi, że nie. Dlatego uważamy, że jest inna przyczyna, o której Juliet nie wspomniała. Na razie. Bo na pewno ją zdradzi. Ale tak naprawdę mnie to nie obchodzi. Jeśli się jednak okaże, że jej wielkim problemem jest niespełniona miłość do Bone'a, to będę wściekły jak cholera. Co za strata czasu.

Jakąś minutę później Kac kazał nam się zamienić i Juliet usiadła bez słowa. Podniosłem się z krzesła i stanąłem bezradnie. Czułem się niewiarygodnie głupio. Juliet czekała na moją scenkę, ale w głowie miałem pustkę. Wciąż widziałem jej twarz, potem pysk niedźwiedzia, a później te dwa obrazy

nałożyły się na siebie, jakby Juliet miała maskę zwierzęcia albo zwierzę maskę dziewczyny.

Ciągle nie miałem pomysłu. Tak naprawdę nie wiem, co czuję. Przez cały tydzień niewiele się nad tym zastanawiałem. Nawet teraz o tym nie myślę. Mówię coś, bo tego ode mnie oczekują w szpitalu. Jest jak z tą zabawą w podkładanie dialogów z Sadie – ktoś gra rolę, ale kwestie wymyśla inna osoba.

I wtedy się wkurzyłem. Wkurzyłem się, że rodzice mnie znaleźli. Że nie zrobiłem tego porządnie. Że Kac zmusza mnie do głupich zadań, w których robię z siebie idiotę na oczach Juliet.

Stałem jak kołek, a wewnątrz aż kipiałem. Ale wyglądałem jak skamieniały. Nie mogłem nawet drgnąć. Sterczałem tak przez pięć minut, do czasu gdy Kac kazał nam skończyć.

Ale dopiero wtedy się zaczęło. Musieliśmy opowiedzieć partnerowi, co dostrzegliśmy. Ja oznajmiłem, że zobaczyłem kogoś uwięzionego. Trudno by się nie domyślić. Juliet strasznie się ucieszyła. Nie dlatego, że ją zrozumiałem, ale ponieważ uznała się za świetną aktorkę. Ciągle pytała: „A podobało ci siebie, jak zrobiłam…?”. Zapewniałem, że wypadła świetnie, bo wolałem, żeby ciągle gadała o sobie. Wtedy nie starczyłoby nam już czasu na mnie.

I prawie się udało. Kac ogłosił, że zostały tylko dwie minuty, a my nie powiedzieliśmy o mnie ani słowa. Juliet jednak spojrzała na mnie i rzuciła krótko:

– Ty coś ukrywasz.

Myślałem, że podejrzewa, że coś zabrałem, więc odparłem:

– Nieprawda.

– Prawda – ona na to. – Masz w środku coś, czego nie chcesz nikomu pokazać.

Na szczęście w tym momencie zajęcia się skończyły. Juliet natychmiast pobiegła sprawdzić, co porabia Bone, a ja tkwiłem bez ruchu. Sadie stanęła obok mnie.

– Jak wam poszły te wygłupy? – spytała.

– Kiepsko – mruknąłem, starając się nie myśleć o tym, co powiedziała mi Juliet.

Sadie prychnęła.

– Zagramy w karty?

– A będziemy musieli mówić o uczuciach?

– Nie, do diabła. Jeśli choć słowem wspomnisz, co przeżywasz, znajdę sobie innego kumpla do pokera.

Dokładnie tego potrzeba mi najbardziej: ludzi, którzy niczego ode mnie nie chcą.

DZIEŃ 10

Tej nocy znowu nie mogłem spać. Przyzwyczaiłem się już do funkcjonowania bez niebieskiej pigułki, więc nie miałem koszmarów ani nic. Poszedłem do pokoju wypoczynkowego. Pomyślałem, że w końcu napiszę list do Allie albo pomogę siostrze Księżyc w rozwiązywaniu krzyżówki. W środku zastałem Sadie. Siedziała na kanapie i czytała gazetę.

– Czy ty nigdy nie sypiasz? – spytałem.

– Wiedziałeś, że tylko z połowy zapłodnionych komórek jajowych rozwijają się płody? – zapytała, odkładając pismo. – Z tego tylko osiemdziesiąt procent przychodzi na świat. Pozostałe ciąże nie są donaszane. – Zaczęła odliczać na palcach. – To znaczy, że na sto zapłodnień rodzi się tylko czterdzieścioro dzieci.

– Niezbyt duże szanse przetrwania – zauważyłem.

– W tym zestawieniu nie uwzględniają dzieci z wadami wrodzonymi – dodała Sadie. – To kolejne dziesięć procent, więc ostatecznie mamy tylko trzydzieści procent szans na to, że urodzi się zupełnie zdrowe dziecko.

– To pewnie zależy od tego, co się uważa za zdrowie.

Pokiwała głową.

– Jeśli tak na to spojrzeć, masz zero szans, że będziesz normalny. Ale zastanów się. Od samego początku los jest przeciwko tobie. Cud, że w ogóle przychodzimy na świat.

– I teraz czujesz się głupio, że chciałaś się zabić?

Wzruszyła ramionami.

– Nie myślałam o tym w ten sposób. Ale tak, chyba trochę tak.

– Żałujesz?

Sadie spojrzała za okno. Padał śnieg. Niezbyt gęsty, pojedyncze płatki. Normalnie miałbym nadzieję, że przerodzi się w śnieżycę i zajęcia w szkole zostaną odwołane. Ale kiedy człowiek i tak nie może wyjść, zamiecie tracą znaczenie.

– Nie wiem, czy żałuję – odpowiedziała Sadie. – Gdybym tego nie zrobiła, pewnie nadal siedziałabym w moim pokoju, rozpaczając i pisząc kiepskie wiersze.

– Ludzie na ogół nie uważają samobójstwa za dobre wyjście.

– Może nie. A ty? Żałujesz, że… zrobiłeś, co zrobiłeś?

– Żałuję, że mi przeszkodzili.

– Co ci się tak nie podoba w życiu? Z tego, co mówiłeś o rodzinie, nie wydaje się taka zła.

– Nie jest zła. Nie mam z nią żadnego problemu.

– W takim razie z czym?

– Ze sobą.

– A co z tobą nie tak?

– Nic. Po prostu jestem skomplikowany.

Sadie przewróciła oczami.

– Wszyscy uważają, że są skomplikowani. Ale tak naprawdę istnieje tylko kilka problemów. Do którego się przyznajesz? Niska samoocena? Strach przed niepowodzeniem? Kompleks męczennika? Wierz mi, po trzech terapeutach i paru pobytach w szpitalu mam pełną wiedzę na każdy z tych tematów.

Zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, że ma takie doświadczenie.

– Myślałem, że to twój pierwszy raz – zdziwiłem się.

– Drugi. Za pierwszym razem źle się tu czułam, więc mnie odesłali. Ale nie rozmawiamy o mnie, tylko o tobie. No to gadaj.

– Mam lepszy pomysł – powiedziałem. – Pooglądajmy coś.

Włączyłem telewizor i zacząłem skakać po kanałach. W końcu zatrzymałem się na takim, na którym na bank mogłem znaleźć kretyński film o anorektyczce lub o kobiecie, która dostaje amnezji i zapomina, że ma złą bliźniaczkę, albo może o rodzinie, która wynajmuje psychopatyczną opiekunkę do dzieci. Czasami nawet trafia się film, w którym jest to wszystko naraz. A wierzcie mi, nie można przegapić historii o anorektycznej złej bliźniaczce z amnezją, która wynajmuje chorą psychicznie opiekunkę do dzieci.

– Chcesz się pobawić w dialogi? – spytałem Sadie.

– Jasne – zgodziła się, więc wyłączyłem dźwięk.

Parę minut rozgryzaliśmy, kim są bohaterowie. Na ekranie była jakaś

nastolatka i starsza kobieta, chyba jej matka. Siedziały w restauracji, jadły ociekające tłuszczem hamburgery i o coś się kłóciły.

– Ja biorę matkę – oznajmiła Sadie. – Alison, wiem, że coś przede mną ukrywasz – zaczęła matczynym tonem.

Alison to prawdziwe imię Allie i przez sekundę zadawałem sobie pytanie, czy Sadie nie wybrała go umyślnie. Ale nie mogła przecież wiedzieć. To pewnie tylko zbieg okoliczności.

– A skąd ten pomysł? – odparłem, starając się mówić jak wściekła nastolatka.

– Znalazłam twój dziennik. I przeczytałam go.

– Jak mogłaś!

– Musiałam. I nie żałuję. Jak inaczej mogłabym poznać prawdę…

– O czym? Co chciałaś wiedzieć?

– O Chrisie. Tak, tak. Wiem o Chrisie.

– Zamierzałam ci powiedzieć.

Sadie pokręciła głową.

– Bardzo mnie rozczarowałaś. Jak mogłaś ukrywać przede mną taką sprawę? Jestem twoją matką. Jeśli spotykasz się z chłopcem, powinnaś o tym ze mną pomówić.

– Chris nie jest chłopcem – palnąłem ku własnemu zaskoczeniu.

Sadie spojrzała na mnie.

– Co?

– Chris nie jest chłopcem – powtórzyłem. – Chris to dziewczyna.

Sadie nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Tego nie przewidziałam – powiedziała prawdziwym głosem. – Dobre. Myślałam, że wymyślisz tylko ciążę.

– No wiesz, nastoletnia lesbijka… to zawsze zażera – wyjaśniłem skromnie. – Masz dość?

Przytaknęła.

– Chyba wyczerpaliśmy temat. Poza tym trochę mi się chce spać. Idę do łóżka. A ty?

– Ja jeszcze posiedzę – oznajmiłem. – Do zobaczenia jutro.

Po jej odejściu gapiłem się w telewizor. Nie włączyłem dźwięku.

Dziewczyna i kobieta wsiadły do samochodu i gdzieś pojechały. Nadal się kłóciły. Patrzyłem, jak bezgłośnie poruszają ustami. A im dłużej patrzyłem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że dokładnie tak zachowuje się większość ludzi. Poruszają ustami, ale nie mówią nic ważnego. Tylko słowa, słowa, słowa…

Tego właśnie oczekiwał ode mnie Kac: słów. Ale jak wielokrotnie mu powtarzam, nie ma o czym gadać.

DZIEŃ 11

Ja nie mogę, co się działo – cyrk w cyrku. Począwszy od śniadania. Dziś mieliśmy dzień naleśnikowy, który przypada raz w tygodniu, i wszyscy się napchali. Wiem, to dziwne, jarać się naleśnikami, ale w porównaniu z owsianką i spaloną na kamień jajecznicą to po prostu uczta.

Podali też kiełbaski. To od nich się zaczęło.

Wszyscy jedli, nie zwracając uwagi na innych, nakręceni sporą dawką cukru. Nagle Alice wzięła kiełbaskę i zaczęła nią machać. Wyglądała, jakby dyrygowała orkiestrą, którą słyszy tylko ona. Symfonia Serdelkowa świr-moll.

Potem zaczęła mówić:

– A ta świnka się spaliła. Ta świnka się spaliła. Ta świnka robiła: „kwi-kwi-kwi" przez całą drogę do domu.

I roześmiała się – tak dziwnie, jakby ją ktoś dusił.

Juliet, która siedziała obok, usiłowała ją objąć i uspokoić, ale Alice ryknęła:

– Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj świnki, bo cię spalę!

I znowu się rozchichotała.

Mówię wam, zrobiło się totalnie dziwnie. Przyszły pielęgniarki i usiłowały uspokoić Alice, ale ona tylko coraz głośniej krzyczała.

Wszyscy siedzieliśmy i wytrzeszczaliśmy oczy. No bo co mieliśmy zrobić? Odbiło jej. Ciągle krzyczała: „Ta świnka się spaliła! Kwi, kwi, kwi! Kwi, kwi, kwi!". Zawodziła jak cierpiąca świnia.

W końcu pielęgniarki sprowadziły sanitariusza, który unieruchomił Alice ręce za plecami. Ale ona nie przestawała kwiczeć. Jednocześnie płakała i się śmiała. Wyprowadzili ją z jadalni. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, bo ciągle potrząsała głową.

– Przez całą drogę do domu! – wykrzykiwała między kwiknięciami. – Przez całą drogę do domu!

A najdziwniejsze było to, że kiedy ją wyprowadzili, wszyscy po prostu wrócili do naleśników. Jakby nic się nie stało. Może nie przejęli się, bo sami też są wariatami. Może to tutaj codzienność. Ale nie dla mnie.

– Co jej się stało? – spytałem siedzącą naprzeciwko Sadie.

Wzruszyła ramionami.

– Kto wie. Po prostu się załamała.

– Tak zwyczajnie?

– No pewnie – oznajmiła takim tonem, jakby wiedziała na ten temat wszystko. – Kiedy byłam tu poprzednio, jeden taki obudził się ze świadomością, że jest Świętym Mikołajem. Wyniósł w poszewce wszystkie drobiazgi z pokoju i zaczął je rozdawać jak prezenty na Boże Narodzenie.

Bone zachichotał.

– Świetne!

– Dziwne – mruknąłem. Popatrzyłem na Bone'a. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, za co go tu wsadzili. Mógłbym popytać, ale właściwie mnie to nie obchodziło. Poza tym działo się wystarczająco dużo dziwnych rzeczy. Obejdę się bez jego tajemnic.

– Nieważne – podjęła Sadie. – Tak ją nafaszerują prochami, że o wszystkim zapomni. – Wzięła kiełbaskę i machnęła nią w moją stronę. – Kwi, kwi, kwi! Kwi, kwi, kwi!

Bone nie wytrzymał.

– Kwi, kwi, kwi! – dołączył do Sadie.

Pomyślałem, że zachowują się wrednie. Ale przecież Alice ich nie słyszała. Poza tym może u wariatów to normalne, skąd mam wiedzieć.

Tylko Juliet się nie śmiała. Siedziała, skubiąc naleśniki, z kamienną miną.

Potem, na zajęciach grupowych, Kac podjął temat tego, co się wydarzyło.

– Czy z Alice wszystko w porządku? – spytała Juliet.

To głupie, bo niby jak ma być „w porządku". Alice odbiło. Ale Kac odpowiedział:

– Będzie w porządku.

W porządku? Ta dziewczyna podpaliła faceta swojej matki, który robił z nią nie wiadomo co. Trafiła do szpitala psychiatrycznego. Obecnie uważa się za świnkę, która kwiczała w drodze do domu. Mnie to wygląda wręcz na definicję pojęcia „nie w porządku".

– Martwisz się o Alice, Jeff? – spytał mnie Kac.

Bardzo dobre pytanie. Muszę mu to przyznać. Nie przyjaźniłem się z Alice, ale trochę jej współczułem. Przecież to nie jej wina, że zwariowała, nie? Po prostu przytrafiło jej się trochę niedobrych rzeczy.

– Chcę tylko wiedzieć, czy to zaraźliwe – mruknąłem.

Kac poprawił okulary, czyli wściekł się na mnie.

– Chyba znasz odpowiedź.

– Ale to dobre pytanie – odezwała się Sadie. – A jeśli Alice dopadło coś w rodzaju wirusa, który zaatakował jej mózg?

Spojrzałem na nią, bo nie byłem pewien, czy nie mówi serio. Mrugnęła do mnie.

– Alice nie ma żadnego wirusa – oznajmił Kac.

– Ale istnieją wirusy, które mogą spowodować uszkodzenia mózgu, prawda? Na przykład jak te od choroby wściekłych krów.

Kac westchnął.

– Tak, istnieją. Ale nikt tu nie ma żadnego wirusa.

Kichnąłem – tak na niby.

– O kurczę – powiedziałem. – Chyba coś mnie bierze. – I zakwiczałem. – Choroba wściekłych świń!

– Kwi, kwi, kwi! – odezwał się Bone. Kac spojrzał na niego. – Kwi, kwi, kwi! Przeszło na mnie!

Sadie kichnęła i również zaczęła kwiczeć. Oboje bardzo się starali nie śmiać. Ja też.

Wtedy Juliet wstała z miejsca.

– Cicho! – wrzasnęła. – Zamknijcie się!

Ucichliśmy. Jeszcze nigdy tak nie krzyczała, więc nas zaskoczyła. Juliet patrzyła strasznym wzrokiem, z zaciśniętymi pięściami, drżąc, jakby chciała nam rozwalić głowy samą siłą umysłu.

– Przestańcie się z niej nabijać – dodała cicho. – Przestańcie. To nie jest śmieszne.

I znowu usiadła, spuszczając głowę.

Może miała rację. No ale bez przesady. Jak się zastanowić, ktoś wrzeszczący, że jest świnką, która robi „kwi, kwi, kwi”, może budzić rozbawienie. Jasne, współczułem Alice, ale to nie powód, żeby siedzieć jak

na pogrzebie. Człowiek musi się śmiać.

Nieważne. W niczym nie przypominam Alice. Ani nikogo z nich. Więc przepraszam, jeśli reaguję ironią, kiedy mają takie jazdy.

DZIEŃ 12

Alice odeszła. Powiedział nam to Bone przy śniadaniu.

– Przewieźli ją do Morning View – oznajmił między jedną łyżką owsianki a drugą. – Pielęgniarki mówiły.

– Co to jest Morning View? – spytałem.

– Tam wysyłają wszystkich świrów, którym się nie polepszy – wyjaśnił Bone. – To już po niej. Nigdy jej nie wypuszczą. Pewnie kwiczała całą drogę.

– I została tylko czwórka – odezwała się Sadie.

Spojrzałem na nią.

– Co?

– I została tylko czwórka – powtórzyła. – Znacie ten wierszyk?

I zaczęła recytować śpiewnie:

Raz dziesięciu żołnierzyków obiad sobie zajadało.
Jeden na śmierć się udławił i dziewięciu pozostało.
Raz dziewięciu żołnierzyków długo się nie kładło do snu.
Jeden zasnął już na zawsze i zostało tylko ośmiu.
Ośmiu małych żołnierzyków się wspinało po drabinie,
Jeden trochę się pośliznął i już siedmiu jest jedynie.
Siedmiu małych żołnierzyków drwa rąbało w zagajniku.
Jeden ciachnął siebie przez pół i jest sześciu żołnierzyków.
Sześciu małych żołnierzyków poszło bawić się z pszczołami.
Jeden dał się im pożądlić i już pięciu tylko mamy.
Pięciu małych żołnierzyków do piwnicy szło z podwórka.
Jeden sobie spadł ze schodów i została tylko czwórka.

Urwała.

– I tak dalej, aż wszyscy powymierają – wyjaśniła, smarując tosta masłem. – Na razie jest nas czwórka.

– Co się dzieje z resztą żołnierzyków? – spytał Bone.

Sadie odgryzła z uśmiechem kęs chleba.

– Przekonamy się.

– Macie źle w głowach – odezwała się Juliet.

Siedziała o parę krzeseł dalej, nad talerzem z zimną jajecznicą na bekonie. Nie tknęła jej. Patrzyła na nas i nagle się rozpłakała.

– Dlaczego się tak ohydnie zachowujecie?

Sadie odłożyła grzankę i wytarła usta serwetką.

– Może dlatego, że musimy sobie z tym jakoś poradzić.

Juliet pokręciła głową.

– Po prostu się boicie! Boicie się, że skończycie jak Alice.

– Ja nie – wyrwało mi się i wszyscy na mnie spojrzeli. – Na pewno nie stanę się taki jak Alice.

– Już się stałeś – oznajmiła Juliet, patrząc na moje dłonie, które oparłem o blat. Właściwie gapiła się na moje przeguby, nadal obandażowane. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Położyłem ręce na kolanach.

– Wiem, że nic nie uratuje Alice przed szaleństwem.

– A ciebie co uratuje?! – palnęła Juliet.

Szczerze mówiąc, zacząłem się jej trochę bać. Początkowo myślałem, że po prostu żyje w świecie iluzji. No wiecie, ta sprawa z Seksem i Przemocą i Bone'em. Ale teraz sądzę, że dolega jej coś gorszego. Chyba wydaje jej się, że potrafi przejrzeć człowieka na wylot. Wygaduje te swoje głupoty i naprawdę w nie wierzy.

Myli się co do mnie. Może się gapić, ile zechce, ale nic nie zobaczy. Wszyscy rozumieją, że Alice odwaliło. Nie mówię tego, by jej dokopać, zwyczajnie tak sprawy stoją. Natomiast ja po prostu miałem bardzo zły dzień i teraz ponoszę konsekwencje.

– Nie słuchaj jej – odezwała się Sadie. – Moim zdaniem będzie następna. – Przyjrzała się Juliet. – Jak to się stanie? W jaki sposób odejdziesz?

Juliet wstała i przysunęła krzesło do stołu tak gwałtownie, że o niego uderzyło. Wybiegła, odprowadzana śmiechem Sadie i Bone'a. Po sekundzie

do nich dołączyłem.

– Odleciała – powiedział Bone.

– Zdecydowanie – zgodziła się Sadie. – Ciekawe, dlaczego ją tu przywieźli. To gadanie o bulimii to jakaś lipa.

– Ja wiem – oznajmił Bone. – Chyba myślała, że ją pokocham czy coś, jeśli się przede mną otworzy. – Przewrócił oczami.

– No i? Dawaj! – zaciekawiła się Sadie. – Jaki problem ma nasze maleństwo?

– Prochy.

– No weź!

Bone pokiwał głową.

– Nie ściemniam. Heroina i tak dalej. Zdaje się, że parę razy przedawkowała.

– Ożeż ty… Imponujące, muszę przyznać. Myślałam, że chodzi o jakieś dziewczyńskie sprawy. Że się pocięła czy coś… – Sadie zerknęła na mnie. – Bez urazy.

– Nie wiedziałem, że istnieje ranking.

– Jak to?

– No, ranking tego, co jest bardziej, a co mniej wariackie.

– No pewnie, że jest. – Sadie usiadła wygodniej. – Najpierw masz zwykłe ofiary depresji. Seryjna produkcja i na ogół straszna nuda. Potem bulimiczki i anorektyczki. Troszkę bardziej interesujące, choć na ogół po prostu nie mają nic lepszego do roboty. Dalej zaczynają się naprawdę ciekawe sprawy: piromani, schizofrenicy, ludzie z zaburzeniami dwubiegunowymi. Nigdy nie wiadomo, jaki numer wywiną. A potem narkomani. Kompletna tragedia, bo prawie na bank wrócą do nałogu, jak tylko stąd wyjdą.

– Więc narkomani znajdują się na szczycie drabiny wariatów?

Sadie pokręciła głową.

– O nie. Samobójcy.

Zaskoczyła mnie.

– Dlaczego?

– Każdy może oszaleć. Po prostu coś ci się przestawia i już. Ale samobójstwo to coś zupełnie innego. Jak bardzo trzeba się znienawidzić, aby chcieć się zlikwidować?

– Może robisz to też dlatego, że coś się przestawia w głowie – podsunąłem.

– Może czasem. Ale przeważnie chodzi o coś więcej.

– No nie wiem… – wtrącił Bone. – Nie widzę nic fajnego w samobójstwie. – Nie odpowiadaliśmy, więc dodał: – Choć nie próbowałem. Tylko tak mówię.

– Mówisz, bo właśnie nigdy nie próbowałeś – odparła Sadie. Przez chwilę siedziała w milczeniu, z niewidzącym wzrokiem, jakby wspominała coś cudownego. – Nie wiesz, co to za uczucie. Co znaczy podjąć decyzję: przejść od myślenia do działania. Ludzie na ogół tego nie potrafią.

– Czyli należy ci się złoty medal?! – prychnął Bone. – Wariatka.

Sadie spojrzała mu prosto w oczy.

– Dokładnie, wariatka – potwierdziła i dodała ze śmiechem. – Ale medalem muszę się podzielić z Jeffem.

Rzuciła mi znaczące spojrzenie.

– No co? – spytałem.

– Ty też wygrywasz. Usiłowałeś się zabić.

Wiem, że wszyscy tak uważali. No bo co innego mogli myśleć, skoro mam te bandaże. Ale słowa Sadie trochę mną wstrząsnęły. Pokręciłem głową.

– Po prostu się wygłupiłem.

Odwróciła się ode mnie.

– No pewnie.

Ciekawe, czy się ze mnie nabijała. Chyba jednak tak. Nie sądzę, żeby chciała się ze mną podzielić medalem. Ma ochotę na tytuł królowej świrów. A może po prostu wie, że ja tu nie pasuję.

Nie jestem tym jej żołnierzykiem.

DZIEŃ 13

Następnego dnia znowu było nas pięcioro. Całkiem jakby przed szpitalem stała kolejka czubków tylko czekających, aż zwolni się jakieś miejsce. Jak w tych niby-fajnych klubach, gdzie w drzwiach czeka palant w ciemnych okularach i ma listę gości, a banda pozerów podlizuje mu się, żeby ich wpuścił. Ale on wybiera tylko najpiękniejszych. W tym przypadku pewnie przepuścił samych najbrzydszych.

Więc – jak już powiedziałem – zrobiło się nas pięcioro. No, może czworo i pół.

Już wyjaśniam. Kiedy na sesji grupowej dołączyła do nas ta nowa, pomyślałem, że ma siedem czy osiem lat. Naprawdę ma dwanaście. Jest tak mała i chuda, że wygląda jak pierwszoklasistka. Nazywa się Martha. Usiadła, tuląc do siebie pluszowego króliczka. Obejmowała go wpół i opierała brodę o jego łepek między długimi, oklapłymi uszami. Nie odezwała się ani słowem. Kac ją przedstawił, ale na tym się skończyło.

Później, podczas indywidualnej sesji, spytałem o nią.

– Nie potrafi mówić?

– Potrafi. Tylko na razie tego nie robi.

– Dlaczego?

– Wiesz, że nie mogę z tobą rozmawiać o jej przypadku.

– Oj, no niech się pan przełamie… Jak mam się do niej zbliżyć, skoro nic o niej nie wiem?

– Zauważyłem, że spędzasz dużo czasu z Sadie.

– Co jest, szpiegujecie nas? Pielęgniarki nas filmują? Siostra Goody ukrywa w koku kamerę?

– Czujesz się szpiegowany?

Kolejna sztuczka psychiatrów – odpowiadanie pytaniem na pytanie. Zmuszają cię tym do mówienia. Postanowiłem wykorzystać ją przeciwko niemu.

– Dlaczego pan tak uważa?

Kac autentycznie się uśmiechnął.

– Wiesz, że cię nie szpiegujemy. Pilnujemy was, ale nie szpiegujemy.

– To miłe z waszej strony. Ale i tak niewiele tu możemy zdziałać.

– Wydajesz mi się dziś rozgniewany – oznajmił Kac, nie zwracając uwagi na moje wymądrzanie się. – Złościsz się na coś?

Kiedy to powiedział, uświadomiłem sobie, że naprawdę jestem zły. Do tej pory tego nie zauważyłem. A teraz wściekłem się jeszcze bardziej, bo on zorientował się pierwszy.

– Nie – warknąłem.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Już myślałem, że tak nam minie całe spotkanie, ale Kac miał inny pomysł.

– Czy Sadie ci kogoś przypomina? – spytał. – Jakąś przyjaciółkę?

Wiedziałem, do czego zmierza. Chciał ze mnie wyciągnąć informacje o Allie. Miałem ochotę skopać się za to, że się przed nim wygadałem.

– Ona nie przypomina Allie – oznajmiłem, żeby wiedział, że go przejrzałem.

– Czym się od niej różni?

– No na przykład tym, że Allie nie siedzi zamknięta na oddziale dla wariatów.

– Tylko tym?

– Myśli pan, że tu wylądowałem przez Allie, co?

– Myślę, że wylądowałeś tu, bo zrobiłeś sobie krzywdę.

– Ale z powodu Allie, tak się panu wydaje?

– A to prawda?

– Nie.

– Jesteście sobie bliscy?

– Czy nie możemy pomówić raczej o układzie sił w mojej dysfunkcyjnej rodzinie? Albo o moim strachu przed bliskością?

– Czy Allie jest twoją dziewczyną?

– Czy możemy przestać o niej mówić?! – prawie krzyknąłem. – Jezu, co się pan tak przyczepił do tego tematu?

Kac zapisał coś w tym swoim głupim notesie. Myślałem, że już mu się

to znudziło, ale najwyraźniej byłem w błędzie.

– Czy łączyła cię z Allie intymność?

A co go to obchodzi? Miałem ochotę go uderzyć. Przykro mi to przyznać, ale serio zacząłem się już do niego przekonywać. Jednak kiedy mnie o to spytał, zrozumiałem, że to obleśny staruch. No wiem, ma tylko jakieś trzydzieści pięć lat, ale i tak jest obleśnym staruchem. Po prostu chciał posłuchać, jak nastolatki się do siebie dobierają.

– Zboczony pan czy co? – spytałem. – Może by sobie pan po prostu obejrzał pornosa? Lubi pan słuchać o seksie?

Nie odpowiedział. Nie liczyłem też na to specjalnie. Przyłapałem go na gorącym uczynku i pewnie się zawstydził. Powinien. Niektóre tematy to prywatna sprawa.

– Ile razy mam panu powtarzać, że nie mam żadnego problemu? – spytałem.

– Jeśli nie masz, to nie powinno ci sprawić kłopotu wyjaśnienie mi, dlaczego chciałeś się zabić – oznajmił. – Potrafisz to zrobić?

– Oczywiście. Gdybym chciał. Ale nie chcę. Nie panu.

– Prosisz o innego terapeutę? Mogę to załatwić.

Omal się zgodziłem, ale dotarło do mnie, że będę musiał od nowa odpowiadać na te wszystkie głupie pytania. A Kaca przynajmniej trochę już ułożyłem, choć akurat teraz nieco się znarowił. Z kolejnym terapeutą musiałbym zaczynać od nowa.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Nie chcę.

– To dla mnie zaszczyt.

– Ale odmawiam rozmowy o Allie, seksie i wszystkich sprawach, w które nie powinien się pan wtrącać – uprzedziłem. – Żebyśmy się dobrze zrozumieli.

– Więc zastanów się, o czym chcesz porozmawiać. Zaczniemy od jutra.

– Nie mogę się doczekać – mruknąłem, wstając. – Aha, niech pan wreszcie idzie do fryzjera.

Odwracając się, zobaczyłem kątem oka, jak Kac dotyka swoich włosów. „Jeden punkt dla Jeffa” – pomyślałem, zamykając drzwi.

W pokoju wypoczynkowym zastałem tę nową dziewczynkę – Marthę. Siedziała na kanapie, nadal trzymając na kolanach króliczka. Patrzyła przez okno na padający śnieg.

Chciałem wrócić do siebie, ale jakiś impuls kazał mi do niej podejść. Kiedy

usiadłem obok, nawet na mnie nie spojrzała. Chciałem się z nią przywitać. W końcu wiem, co człowiek czuje pierwszego dnia w wariatkowie.

– Ładnego masz króliczka – zagaiłem.

Martha przestała głaskać uszy zabawki i spojrzała na mnie.

– Ma jakieś imię?

Przytaknęła, ale nic nie powiedziała.

– To twój przyjaciel, prawda? – spytałem, a ona znowu kiwnęła głową.

– Ja też mam przyjaciółkę. Ma na imię Allie i mówię jej o wszystkim. Ty też możesz powiedzieć wszystko króliczkowi?

Martha przytaknęła i przytuliła królika, jakby go chroniła.

– Na pewno umie słuchać – dodałem. – Nie musisz się odzywać, jeśli nie chcesz. Posiedzimy sobie razem.

Mała ukryła twarz w króliczym futerku, ale widziałem, że się uśmiecha. Siedzieliśmy tak z godzinę. Ja coś tam jej opowiadałem, nic ważnego, a ona słuchała. Chyba się cieszyła, że ma towarzystwo. Człowiek musi się czuć trochę samotny, mając za przyjaciela tylko pluszowego królika.

DZIEŃ 14

Dziś zdjęto mi bandaże. Nie wiedziałem, że to zaplanowano, więc przeżyłem lekki szok, kiedy Goody zaprosiła mnie po śniadaniu do pokoju zabiegowego i wyjęła nożyczki. A jeszcze większy wstrząs zaliczyłem, kiedy zobaczyłem szwy. Nie wiem, czego się spodziewałem – może taśmy klejącej – ale na moich przegubach widniały czarne krzyżyki, jak malutkie szyny. Albo ślady zwierząt. Jakby po moich rękach przebiegła mysz z zabłoconymi łapkami.

Te szwy też mi wyjęto. Trochę bolało, bo już wrosły w ciało. Ale Goody świetnie sobie radzi z nożyczkami i pęsetką. Teraz mam tam tylko czerwonawe blizny. Pewnie zostaną na zawsze, choć Goody twierdzi, że z czasem zbledną.

Nie wiem, czy chcę, żeby zbladły. Pewnie mówię teraz jak rasowy świr, ale nie chcę zapomnieć, jak się wtedy czułem, choć bolało. Jeśli zapomnę o bólu, mogę zapomnieć też, że samobójstwo to w ogóle debilny pomysł.

Mama opowiedziała mi kiedyś coś podobnego o swoim porodzie. Trwał jakieś szesnaście godzin. A chodzenie z ogromnym brzuchem w samym środku letnich upałów bawiło ją raczej średnio. W sumie poród nie okazał się tym wzniosłym przeżyciem, o którym wszyscy głędzą. Po wszystkim oznajmiła więc ojcu, że nigdy więcej nie zdecyduje się na dziecko.

Ale najwyraźniej zapomniała, jak bardzo ją bolało, bo dwa lata później urodziła moją siostrę. Tylko tym razem zaplanowała wszystko tak, żeby poród wypadł w zimie. Mogła ukrywać brzuch w fałdach ubrań i nie przeszkadzało jej, że ciągle jest jej gorąco. Ledwie zaczęły się skurcze, kazała sobie podać tony środków przeciwbólowych. Zresztą Amanda pojawiła się na świecie zaledwie po dwóch godzinach, co mama mi wypomina, kiedy chce we mnie obudzić poczucie winy. Wówczas ja się odcinam, że nikt jej nie zmuszał do zachodzenia w ciążę.

Nie, nie porównuję porodu do samobójstwa. Mam tylko na myśli, że jeśli zapomni się, jak coś bolało, można to zrobić drugi raz. Co nie zawsze jest najlepszym pomysłem.

Nawiasem mówiąc, nawet nie wiem, czy chcę mieć dzieci, choć to nie ja muszę je urodzić. To zbyt ryzykowne.

Bo jeśli dziecko okaże się po prostu złe? Albo głupie? Nie można go oddać do sklepu ani odstąpić. Trzeba się z nim długo męczyć.

Wiem, że można sobie teraz kupić test i sprawdzić, czy dziecko urodzi się z trzema rączkami albo niedorozwinięte, ale badania nie wykrywają wszystkiego. Na przykład obłędu. Albo upodobania do obciachowych piosenek i ciuchów. Nie wiadomo, czy dziecko wyrośnie na osobę, z którą ma się ochotę przebywać. To ryzykowne. Dla mnie zbyt ryzykowne.

Zresztą na dzieci się nie zanosi. Mam dopiero piętnaście lat. Wiem, że wszędzie się roi od piętnastoletnich rodziców, ale ja jestem inny. Nie chcę sobie spaprać życia jeszcze bardziej. Więc żadnych dzieci. Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy.

Jak to się stało, że od wyjmowania szwów przeszedłem do tematu dzieci? Czasami moje myśli biegną dziwnymi torami. A może to przez prochy, którymi mnie faszerują. Kac twierdzi, że to tylko antydepresanty, żadna ciężka chemia. No ale na pewno nie są to tic taki.

Po wyjęciu szwów poszedłem pokazać się Sadie. Wiem, że trochę się spłoszyłem, kiedy o nich wspomniała, ale tylko ona nie traktowała mnie dziwnie z ich powodu, a to mi się całkiem podobało.

Spytała, czy może dotknąć moich blizn, a ja się zgodziłem. Pogłaskała je, bardzo delikatnie, jak szczeniaczka, jakby się bała, że je rozkrwawi na nowo.

– Ja takich nie mam – powiedziała prawie z żalem.

– Pamiętasz coś z…? – spytałem. Zastanawiałem się nad tym od jakiegoś czasu, ale nie odważyłem się wcześniej spytać. No ale teraz, kiedy ona dotykała moich blizn, pomyślałem, że chyba w sumie mogę.

– Pamiętam, że było zielono i cicho. Początkowo płuca mnie paliły. Ale potem ból minął i zrobiło się bardzo spokojnie. Miałam wrażenie, że frunę. A później ocknęłam się na trawie. Sam robił mi sztuczne oddychanie, a wokół stali gapie.

Sam to facet, który ją uratował. Widział, że wskoczyła w ubraniu do jeziora, i uznał, że to trochę dziwne. A kiedy długo nie wypływała, rzucił się na ratunek i ją wyciągnął.

– Dzwonił do mnie parę razy – dodała Sadie. – Żeby sprawdzić, co u mnie.

Potem musiałem iść na spotkanie z Kacem. Wyglądał jakoś inaczej, ale

początkowo nie załapałem dlaczego.

– Obciął pan włosy – powiedziałem, kiedy wreszcie to do mnie dotarło.

– Tak.

Czekałem, kiedy powie, że miałem rację z tym fryzjerem, ale on od razu zaczął terapię. Przypomniał, że następnego dnia przyjeżdżają rodzice. Potem spytał, jak mi się układa z innymi pacjentami. Oznajmiłem, że fajnie, i to go zadowoliło.

Zacząłem się niepokoić. Szło mi za łatwo. W końcu Kac zauważył:

– Widzę, że zdjęto ci bandaże.

Jakby nie wiedział. Goody w życiu by ich nie usunęła bez jego zgody. Spojrzałem na swoje ręce, jakbym do tej pory nie zauważył zmiany, i powiedziałem:

– Aha, chyba tak.

– Co poczułeś na widok ran? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie nie zrobię już kariery jako model od zbliżeń rąk. Muszę się przyzwyczaić do tej myśli.

Kac gapił się na mnie tak długo, że dodałem:

– Nie, no nie widzę problemu. To tylko blizny.

Zdaje się, że usiłował wyczuć, do jakiego stopnia go oszukuję. Rzecz w tym, że wcale nie kłamałem. Widok tych blizn naprawdę mnie nie ruszał. Wyglądały o wiele lepiej tak niż ukryte pod bandażami. Poza tym jeśli włożę T-shirt z długimi rękawami, nie będę musiał na nie patrzeć.

– Dobrze – powiedział Kac, ale chyba nie całkiem go przekonałem. – No to na dzisiaj koniec.

W sumie dzień był udany. Przede wszystkim namówiłem Kaca do obcięcia włosów, co uważam za gigantyczne osiągnięcie. Oprócz tego zdjęli mi bandaże i jakoś to zniosłem. Chyba mogę uznać z ręką na sercu, że po raz pierwszy, odkąd się tu znalazłem, poczułem się mniej więcej dobrze.

DZIEŃ 15

Dziś znowu zjawili się moi rodzice. Tym razem poszło nam o wiele lepiej. Przynajmniej tak mi się zdaje. Dziwne było tylko to, że mama ciągle patrzyła na moje przeguby. Sam zapomniałem już o bliznach i włożyłem podkoszulek z krótkimi rękawami. Chciałem skrzyżować ręce na piersi, ale uznałem, że to zbyt agresywna poza, więc tylko splotłem dłonie przed sobą i starałem się nie pokazywać blizn. Ale mama nie odrywała od nich oczu.

Na początku sesji Kac poprosił, żeby rodzice podali powody, dla których są ze mnie najbardziej dumni. Chyba czujecie, jaki byłem zachwycony, ale w sumie nie wyszło tak makabrycznie. Ojciec powiedział, że zawsze go cieszyły moje postępy w szkole, co jest bardzo w jego stylu, neutralne i niezbyt czułostkowe. Mama – że napawa ją dumą wszystko, co robię. Kac kazał jej skonkretyzować, co najbardziej, a mnie się chciało śmiać, ale się powstrzymałem. A ona wymyśliła, że jestem dobrym człowiekiem.

Nie wiem, co to właściwie znaczy – dobry człowiek. Może to ktoś, kto zawsze trzyma się zasad. Ale można zachowywać się jak dupek pomimo zasad, prawda? Szczerze mówiąc, najwięksi znani mi dranie ściśle stosują się do reguł głównie dlatego, by potem ci wytykać, że sam tego nie robisz.

A może dobry człowiek to ktoś, kto zawsze robi szlachetne uczynki. To na pewno nie ja. Wyleciałbym ze skautów, bo nie pomagałbym staruszkom przechodzić przez ulicę i tak dalej. Nie żebym był draniem, po prostu inni ludzie nie są dla mnie najważniejsi.

Trochę żałuję, że Kac nie kazał mamie jeszcze bardziej uściślić wypowiedzi, ale chyba uznał, że już więcej z niej nie wyciśnie. Więc poprosił, żebym wymienił dwie rzeczy, za które najbardziej chciałbym podziękować rodzicom. Trochę niesprawiedliwie, bo ja musiałem wymyślić dwie, a oni tylko po jednej, ale dałem radę.

Najpierw podziękowałem za zapewnienie mi wszystkiego, czego potrzebowałem, na przykład ubrań, jedzenia i domu. Po drugie – że nigdy mi nie weszli na samoocenę. Myślałem wtedy o Sadie i o ojcu, który zawsze

jej coś zarzucał. Myślałem też o Alice i chłopaku jej matki. Trudno mi uwierzyć, że ktoś pozwala, aby skrzywdzono jego dziecko w ten sposób, choć pełno tego w gazetach i telewizji. Dopóki nie poznałem Alice, zawsze uważałem, że takie rzeczy spotykają „innych" – ludzi, których nie znam. Pewnie ci „inni" są liczniejsi, niż mi się wydaje.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę i rodzice powiedzieli, że mają niespodziankę. Przyprowadzili Amandę. Kac chciał pogadać z nimi na osobności, więc kazał mi przejść do pokoju za ścianą, który wyglądał prawie jak jego gabinet – tylko bez obrazka z psem i martwym ptaszkiem. Pewnie urzęduje w nim inny psychiatra, chociaż pomieszczenie sprawiało wrażenie, jakby od dawna nikt do niego nie wchodził.

A tam czekała Amanda. Kiedy wszedłem, poderwała się z miejsca i chwyciła mnie w ramiona.

– Uważaj – powiedziałem. – Najpierw mama, teraz ty… Te uściski zaczynają mnie przerażać.

– Ty bydlaku! – rzuciła, ale bez złości. – Przestraszyłeś mnie. Nigdy więcej tego nie rób.

Nadal nie wiedziałem, czy zna prawdziwy powód, dla którego znalazłem się w szpitalu, więc trochę się denerwowałem. Znowu usiłowałem ukryć nadgarstki, chowając ręce w kieszenie dżinsów.

– W porządku – oznajmiła Amanda. – Powiedzieli mi. Zresztą plam krwi na wykładzinie nie da się ukryć. Dużo jej było.

– Pokazali ci to?

Pokręciła głową.

– Sama się zakradłam. Najpierw próbowali mi wmówić, że skaleczyłeś się nożem introligatorskim przy otwieraniu CD.

Przewróciła oczami, a ja parsknąłem śmiechem. To zupełnie w stylu moich rodziców. Mogłem sobie wyobrazić, jak Amanda wydziera z nich prawdę.

– Na pewno wszystko z tobą dobrze? – spytała.

– Jasne. Wszystko gra.

Rzuciła mi spojrzenie świadczące, że jej nie przekonałem, ale nic nie powiedziała. Bardzo chciała uwierzyć, że jest już dobrze, i choć pewnie miała milion pytań, nie zadała żadnego.

Dopiero wtedy zauważyłem kolor jej włosów.

– Ufarbowałam – wyjaśniła.

– Co ty powiesz.

Raczej rzucało się to w oczy. Jej włosy są złotaworude, takie jak ma tata. Teraz ich odcień się pogłębił. Nie bójmy się powiedzieć wprost: stały się czerwone. Jak wiśnia.

– Spoko – odezwała się w końcu. – To tylko szampon koloryzujący. Ale nie mów mamie. Myśli, że to tak na stałe.

Znów się roześmiałem. Fajne uczucie. Nie śmiałem się, odkąd tu trafiłem.

– Dobrze, nie powiem – obiecałem. – Dlaczego ją znowu dręczysz?

Amanda pokręciła głową.

– Bez powodu. Dla zabawy.

To właśnie uwielbiam w Amandzie. Robi coś, bo tak sobie postanawia. Wiem, że nie powinno się podziwiać młodszych sióstr, ale chyba już się przyzwyczailiście, że nie postępuję zgodnie z zasadami.

Usiadła na sofie, a ja na krześle naprzeciwko.

– Co mówią w szkole? – spytałem. Serce zabiło mi mocniej. Na ogół nie rusza mnie, co ludzie myślą, ale wylądowanie w szpitalu to chyba coś trochę poważniejszego od nagłego ataku pryszczy albo tego, że nosisz obciachowe buty.

– Zależy, kogo spytać – oznajmiła Amanda. – Najpopularniejszą teorią jest ospa wietrzna, choć słyszałam już, że masz raka, zapalenie wyrostka robaczkowego i może nawet guza mózgu. A, przez jakieś półtora dnia krążyła wieść, że uciekłeś, bo rodzice nakryli cię na braniu.

– Fantastycznie. Ktoś wie, co naprawdę się stało?

– Jeśli tak, to nie ode mnie. Ja trzymam się wersji z ospą.

Wtedy zadałem jej jedyne pytanie, które mnie naprawdę interesowało.

– Widziałaś ostatnio Allie?

– Uhm – mruknęła Amanda, ale takim tonem, jakby nie chciała ciągnąć tematu. Oczywiście ją zmusiłem.

Dziewczyny spotkały się w stołówce jakiś tydzień po tym, jak wylądowałem w szpitalu. Moja siostra uznała, że Allie pewnie chce wiedzieć, czy wszystko ze mną dobrze. Nie mogła powiedzieć, co dokładnie się stało, ale postanowiła ją zagadnąć.

– Ledwie kiwnęła mi głową – oznajmiła Amanda. – Siedziała z jakimś chłopakiem i chyba w ogóle nie miała ochoty się do mnie odzywać.

Wyjaśniłem, że pokłóciliśmy się o jakiś drobiazg i Allie niedługo się z tym upora. Wiem, że Amanda tego nie kupiła, ale na razie dała spokój. Jak już wspomniałem, siostrzyczka jest super. Choć oczywiście jej tego nie powiem. Muszę ją jakoś dyscyplinować, bo niedługo wejdzie mi na głowę.

– Musisz stąd szybko wyjść – dodała Amanda. – Oni mnie wykończą.

Miała na myśli rodziców. Wyobrażałem sobie, jak się teraz z nimi żyje. Nie zdziwiłbym się, gdyby zainstalowali w pokoju Amandy kamery. Teraz zrozumiałem, skąd te czerwone włosy. Znając Amandę, pewnie ufarbowała je po to, żeby rodzice zaczęli się zamartwiać.

– Przykro mi – powiedziałem. Szczerze. To przecież nie jej wina, że się tu znalazłem.

– Dam radę – zapewniła mnie.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, jakby skończyły nam się tematy. Ale nie czuliśmy się niezręcznie ani dziwnie. Było nawet miło. Amanda traktowała mnie jak zawsze, jakbym nie zrobił niczego głupiego. Potem drzwi się otworzyły i weszli rodzice. Nie wiem, co Kac im nagadał, ale znowu się uśmiechali od ucha do ucha, jak clowni w cyrku. Brakowało im tylko balonów.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – odezwała się mama. Zrobiła ruch, jakby znowu chciała mnie objąć, ale stanąłem za Kacem i powiedziałem tylko:

– Dobra, to na razie.

Nikt inny nie próbował mnie uścisnąć, choć Amanda zrobiłaby to, gdyby nie widzieli nas rodzice – i nie miałbym nic przeciwko temu. W końcu wszyscy pożegnali się i wyszli. Pewnie ulżyło im, gdy opuścili te progi – ja na pewno odetchnąłbym, gdybym był na ich miejscu.

To wszystko przypomniało mi o pani Christensen. Ma z siedemnaście milionów lat. Jest przyjaciółką babci i mieszka w domu opieki, bo cała jej rodzina nie żyje. W każde Boże Narodzenie jedziemy do niej z wizytą. Wieziemy jej keks i prezenty, na przykład kapcie, czekoladki i takie tam. Spędzamy z nią godzinkę, najdłuższą w historii. W domu pachnie starością i choć wiszą w nim świąteczne dekoracje, jest w nim ponuro. Pani Christensen zawsze traktuje nas jak swoją prawdziwą rodzinę, choć przecież nią nie jesteśmy. Zawsze myślę tylko o tym, żeby stamtąd uciec.

Pewnie tak samo czuli się rodzice i Amanda w szpitalu. Nie dziwię się – sam chciałbym zostawić ten keks i spadać.

DZIEŃ 16

Wczoraj rodzice dali mi przesyłkę od babci. A dokładnie – zostawili ją u Kaca, który przekazał mi ją dzisiaj. Pewnie wcześniej obwąchały ją psy tropiące narkotyki, a personel przepuścił ją przez jakiś skaner, na wypadek gdyby babcia włożyła tam coś zakazanego. Na przykład heroinę. Albo pornosy.

Dostałem ciastka z czekoladą, krówki z masłem orzechowym i dolara. Babcia zawsze dodaje dolara do wszystkiego, co wysyła siostrze i mnie – do pocztówek, listów, wszystkiego. Pewnie to jakiś obyczaj starszych pań. Tata mówi, że kiedy pisała do niego i jego brata, też zawsze dawała im po dolarze, dopóki nie urodziły im się własne dzieci. Teraz wysyła pieniądze nam. Pewnie uważa, że tacie są już niepotrzebne.

Poczęstowałem ciastkami i cukierkami wszystkich, ale tylko dlatego, że w przeciwnym razie zeżarłbym je sam i by mnie zemdliło. Poza tym dziś mieliśmy wieczór filmowy. Pozwolili nam obejrzeć DVD o takim facecie, który mieszkał w lesie na Alasce z niedźwiedziami grizzly. To była prawdziwa historia. Co roku wyprawiał się w dzicz i chodził za drapieżnikami, dopóki nie zapadły w sen zimowy. Aż pewnego dnia został zagryziony.

Niby straszne – zostać pożartym żywcem. Ale gość naprawdę uwielbiał te miśki. Kochał w nich nawet totalnie niefajne zachowania: kiedy walczyły o jedzenie albo zabijały młode rywala. Całkiem jakby były jego rodziną, facet wybaczał im potknięcia, wiedząc, że nie mają na nie wpływu. Gdyby mógł, przebaczyłby pewnie niedźwiedziowi, który go zjadł.

W filmie wypowiadało się mnóstwo osób. Przeważnie mówiły, że nie rozumieją, dlaczego facet spędzał tyle czasu ze zwierzętami. Niektórzy podejrzewali, że sam nie wiedział, kim jest. Ale chyba nie mieli racji. Moim zdaniem kochał przebywać w towarzystwie niedźwiedzi, bo wśród nich nie czuł się źle.

No nie, jasne, że trochę mu odbiło. Trzeba mieć źle w głowie, żeby przez całe życie włóczyć się za zwierzętami. Ale próbuję go zrozumieć. Niedźwiedzi

nie obchodziła jego dziwaczność ani to, że za dużo pił i wpakował się w narkotyki (zdaje się, że sporo brał). Nie wypytywały głupio, jak się czuje, albo dlaczego zrobił to, co zrobił. Przy nich mógł być sobą.

Właściwie dziwne, że pozwolili nam oglądać akurat ten film. Ale chyba każdego coś w tym dokumencie poruszyło. Juliet zaczęła płakać, kiedy okazało się, że strażnicy leśni zabili niedźwiedzia, a potem rozpruli mu brzuch, żeby sprawdzić, czy są tam szczątki tego faceta. Ja sądzę, że zabili miśka, bo się go bali. Tak to już jest, ludzie likwidują to, co budzi w nich strach.

Oto moje wnioski: po pierwsze, wszyscy powinni wbić sobie do tych zakutych pał, że jeśli będą się pchać do grizzly, istnieje spora szansa, że skończą jako przekąska. Po drugie: ludzie są do dupy.

No i znowu, od krówek do niedźwiedzi. Słowo daję, czasami mam wrażenie, że w mojej głowie siedzi małpa z pilotem, która przełącza kanały. Przed chwilą jadłem ciastka z czekoladą i nagle – bach! – niedźwiedzie.

Wracając do filmu, jak powiedziałem, wielu z nas znalazło w nim jakieś odniesienia do siebie. Trafiliśmy do tego szpitala, bo ktoś – rodzice, lekarze, ludzie, którzy rzekomo nas kochają – bali się nas. Zamknęli nas w klatce, żeby ludzie mogli się gapić z bezpiecznej odległości na świry. O rany, porąbane to wszystko.

Ciekawe, co by zrobił Kac, gdybym na następnej sesji grzebania w głowie po prostu go ugryzł?

DZIEŃ 17

Powiadomić prasę i telewizję: dziś Martha się do mnie odezwała.

Siedziałem na kanapie. Coś czytałem, a ona ni z tego, ni z owego położyła mi rękę na przegubie i powiedziała:

– Freks.

Byłem tak wstrząśnięty, że zaniemówiłem. Wytrzeszczyłem oczy. A ona znowu dotknęła mojej ręki.

– Freks – powtórzyła i kiwnęła głową. Dotknęła piersi i znowu powiedziała to słowo.

Początkowo chciałem zawołać Kaca, ale potem doszedłem do wniosku, że jak zacznę panikować, wystraszę Marthę. Więc milczałem, a ona pogłaskała blizny na moich przegubach.

– Freks – mówiła raz po raz. – Freks.

Nie wiedziałem, czy chodzi jej o moje nadgarstki, rany, czy coś innego. Czułem się jak bohater filmu science fiction, który próbuje porozumieć się z obcym. „Freks” mogło znaczyć zarówno: „Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy”, jak i: „Złożę ci w żołądku jajo, z którego wykluje się moje dziecko, więc lepiej zmów paciorek”.

Martha znowu dotknęła piersi – tam, gdzie jest serce – i powtórzyła parę razy „freks, freks, freks”. Tak po prostu. Prawie jakby śpiewała piosenkę.

I nagle zrozumiałem. Wszystko nabrało sensu. Mówiła o bólu. O moich bliznach i swoim sercu. „Freks” znaczyło dla niej coś strasznego. Kto wie, dlaczego wybrała akurat to słowo. Nieważne. Odkryłem jego znaczenie.

Tak to właśnie wyglądało. Nie nastąpiła wielka wzruszająca scena ani nic podobnego, Martha nie opowiedziała mi nagle historii swojego życia i nie wyjaśniła, dlaczego woli milczeć. Ale i tak było fajnie.

Potem opowiedziałem o wszystkim Kacowi. Myślałem, że podskoczy pod sufit z wrażenia, a on tylko skinął głową z uśmiechem.

– Wiedział pan? – spytałem, ale zaprzeczył.

– Nie. Powinieneś być z siebie dumny. Otworzyła się przed tobą.

– Niby z czego mam się cieszyć? Nic nie zrobiłem. To ona mówiła.

– Przekonałeś ją, że może z tobą bezpiecznie rozmawiać.

Nieważne. Nie chciało mi się psuć mu humoru i tłumaczyć, że to nic szczególnego. Nie zamierzam robić wielkiej sprawy, bo Martha powiedziała do mnie „freks". Nadal nie wiem, dlaczego zaufała akurat mnie. I dziwne wybrała słowo. Freks. Ból. Pewnie chodziło jej o to, że boli ją serce. Czy kiedykolwiek zdoła opowiedzieć o swoich przeżyciach, czy też schowała się w sobie tak głęboko, że to wszystko, co od niej usłyszę? Jak w przypadku Alice.

A z innej beczki: zapomniałem, że wczoraj były urodziny Allie. Choć to właściwie nie moja wina. Łatwo tu stracić poczucie czasu. Dni zlewają się, jakby ciągle trwał jeden i ten sam. Ale dziś przypadkiem spojrzałem na datę w gazecie leżącej w dyżurce pielęgniarek i uświadomiłem sobie, co przegapiłem. Allie skończyła szesnaście lat. Ja mam urodziny w lecie, więc jest ode mnie o pół roku starsza. Ale to jej nigdy nie przeszkadzało. Zawsze mówiła o sobie „stara kobieta".

Zastanawiam się, jak spędziła urodziny. Nie, właściwie to się nie zastanawiam. Wiem. Z Burke'em, swoim chłopakiem. Pewnie zabrał ją do kina albo na pizzę. Na pewno dał jej jakiś głupi prezent, który w normalnych okolicznościach nie spodobałby się jej, ale teraz zachwycała się, jakby nigdy nie widziała nic piękniejszego.

Allie tak przy nim głupieje, że rzygać się chce. Dotąd nigdy taka nie była. Przed nikim nie udawała osoby, którą nie jest. A potem pojawił się Burke i wszystko się zmieniło. Wszystko.

Nie wiem, jak można się stać innym człowiekiem z dnia na dzień, ale z Allie tak właśnie było. Jakby miała w sobie zupełnie obcą dziewczynę, która pewnej nocy wyrwała się na wolność. Jeszcze do niedawna wszystko robiliśmy razem. I nagle koniec. Allie przekreśliła wszystko.

A najgorsze, że to nie związek na całe życie. No bo, litości, przecież ona ma piętnaście lat. No dobra, szesnaście. I co z tego? Przecież nie wezmą ślubu. Nawet jeśli wytrzymają razem parę lat – a nie wytrzymają – ona zacznie studiować na jednej uczelni, on na drugiej i wkrótce o sobie zapomną. Tak jest zawsze. Związki nastolatków są bez sensu, bo nie mają przyszłości. Można by pomyśleć, że to jasne, ale nie. Ludzie nieustannie się zakochują i myślą, że ich uczucie przetrwa. Allie i Burke, dwa serca złączone, klucz rzucony

w morze.

Nieważne.

Wszystkiego najlepszego, Allie. Mam nadzieję, że urodziny ci się udały.

DZIEŃ 18

Jak powiedziała Sadie: „I została tylko czwórka”. Znowu.

Dziś Kac ogłosił na terapii grupowej, że to ostatni dzień Bone’a w szpitalu. Juliet zbladła, ale nic nie powiedziała. Już za nim tak nie szaleje, odkąd śmiał się z Alice.

Fajnie mu, że wychodzi. Na sesji mówił, że trochę się boi. Dziwne, że w ogóle coś z siebie wydusił. Nigdy wcześniej o sobie wiele nie mówił. A dziś – tak.

Okazuje się, że rodzice nie chcą, żeby wracał do domu. Uważają, że znowu narobi sobie kłopotów. Jak zwykle nie wyjaśnił, o jakie kłopoty chodzi, ale już się przyzwyczaiłem, żeby nie pytać. Jak wszyscy. Chyba podoba nam się tajemniczość Bone’a. Dzięki temu możemy wymyślać najróżniejsze historie o jego przeszłości.

Zamieszka u starszego brata i jego żony, którzy mają stację benzynową w miasteczku w Arizonie. Bone będzie tam pracował, dopóki nie zdecyduje, co chce zrobić, kiedy dorośnie. Boi się, że ludzie usłyszą o jego pobycie w szpitalu psychiatrycznym i wezmą go za jakiegoś psychopatę. Że wszyscy będą na jego widok przechodzić na drugą stronę ulicy. „Nie rozmawiaj z tym wariatem, skarbie. Jeszcze cię ugryzie!”.

Kiedy coś takiego wyznaje koleś z tatuażami, brzmi to trochę zabawnie. Tatuaże przecież rzucają się w oczy. Szaleństwo, nie? Na miejscu Bone’a bardziej bym się martwił, że ludzie wezmą go za gangstera.

Później, po sesji z Kacem, poszedłem do pokoju wypoczynkowego. Bone siedział na kanapie, oglądając jakiś talk–show – jeden z tych, w których prowadząca jest tak rozćwierkana, że masz ochotę ją czymś zdzielić. Mowa była o ludziach, którzy wyglądają tak dziwnie, że przyjaciele chcą ich zmienić.

Jakaś dziewczyna narzekała, że jej siostra ubiera się jak punkówa. Twierdziła, że ludzie śmieją się z niej na ulicy i uważają ją za satanistkę, która odgryza łebki kociętom, czy coś w tym stylu. Prowadząca ciągle kiwała głową, marszcząc brwi. Potem przyprowadzili tę „punkówę”, która okazała się

gotką. Miała nienaturalnie czarne włosy, biały podkład i usta umalowane szminką czerwoną jak krew. Była grubawa i wyglądała jak Robert Smith z The Cure. Nawet mi się spodobała.

Publiczność w studio zaczęła buczeć na jej widok, jakby zamordowała najlepszą przyjaciółkę albo przespała się z nową żoną ojca. Prowadząca zapytała, dlaczego tak się ubiera, a ona odparła: „Bo lubię". Widzowie znowu zaczęli hałasować, a jej siostra krzyknęła: „Ludzie uważają ją za lesbijkę!". Gotka zakryła twarz dłońmi, jakby strasznie się wstydziła.

Po przerwie na reklamy, które wyjaśniły nam, jak świeżo się poczujemy po użyciu podpasek ze skrzydełkami, w talk–show zaczęły się metamorfozy. Ci wszyscy biedacy, których bliscy uważali za zbyt dziwnych, zostali zawleczeni za kulisy, a kiedy wrócili, wyglądali jak ofiary Bonpriksu.

Gotkę zostawili na koniec. Wbili ją w sukienkę w kwiatki i dodali wielkie wiszące kolczyki i pantofelki z paseczkiem. Jej siostra się rozpłakała, a widzowie zaczęli bić brawo na stojąco. Dziewczyna nie wyglądała już cudacznie. Potem usiadła, a na ekranie zaczęły się wyświetlać jej zdjęcia, poczynając od niemowlęctwa i kończąc na liceum. Widzowie roztkliwiali się nad tymi najwcześniejszymi, na których miała złote loczki i wielkie oczy. Ostatnia fotografia przedstawiała ją jako gotkę i z widowni dobiegł syk.

Dziewczyna była totalnie zgnębiona. Prowadząca spytała, jak jej się podoba nowy wizerunek. Odpowiedziała, że wcale, na co wszyscy się wściekli, jakby osobiście zapłacili za jej metamorfozę. Jakiś gość wstał i wycedził:

– Nigdy bym cię nie zaprosił na randkę, gdybyś wyglądała jak dawniej.

Dziewczyna przyjrzała mu się i spytała spokojnie:

– A skąd pewność, że pozwoliłabym ci się zaprosić? – A w stronę siostry rzuciła: – Więc teraz ci się podobam? Nie jestem już dziwadłem, bo wyglądam jak ty? Wiesz co? Wal się. – Oczywiście wypikali ostatnie słowa, bo to program nadawany w porze największej oglądalności, a jak wszyscy wiemy, żaden Amerykanin nie przeklina.

Facet miał minę, jakby gotka kopnęła go w jaja, a jej siostra zaczęła się zanosić szlochem. Dziewczyna spojrzała na nich.

– Żal mi was – powiedziała i wyszła ze studia.

Prowadząca znowu zaczęła się uśmiechać i puścili reklamę wieprzowiny, najzdrowszego mięsa świata.

Było świetnie. Bone i ja popłakaliśmy się ze śmiechu. Na koniec Bone

rzucił:

– Jezu Chryste, że też ludzie oceniają cię po wyglądzie.

Popatrzyłem na tatuaże na jego rękach. Widziałem je już przedtem – trudno ich nie zauważyć – ale nigdy się im dobrze nie przyjrzałem. Dopiero teraz dostrzegłem, że między płonącymi czaszkami i sercami znajdują się postaci z *Alicji w Krainie Czarów*: na jednym ramieniu Czerwona Królowa i Mysz, na drugim – Szalony Kapelusznik i Marcowy Zając. Na przedramieniu miał podobiznę Alicji z szyją wydłużoną po zjedzeniu magicznego grzyba.

– To ty? – spytałem, wskazując ją.

Bone parsknął śmiechem.

– Nie. To jestem ja.

Podniósł koszulę i pokazał mi tatuaż na plecach – Białego Królika w kamizelce, spoglądającego na zegarek. Wyglądał jak ilustracja z książki. Obok pierwszego królika stał drugi, odwrócony do niego plecami, w skórzanej ramonesce i butach motocyklowych, palący cygaro.

– To ja – wyjaśnił Bone. – Zawsze pędzę. Zawsze jestem spóźniony. Kazałem go zrobić na plecach, bo wtedy nikt niepowołany go nie zobaczy. Tatuaże na ramionach może zobaczyć każdy. Ale te, które mają dla mnie znaczenie, są ukryte.

– Dlaczego masz dwa króliki? – spytałem.

– Yin i yang. Mrok i światło. Jeden grzeczny, drugi nie.

– Który jest który?

Bone znowu się roześmiał.

– Każdy zawiera pierwiastek tego drugiego. Łączą przeciwieństwa. Jak ja.

Powiedziawszy to, wyszedł, zanim zdążyłem spytać o coś więcej. Rzeczywiście był jak Królik uciekający przed Alicją.

Przez jakiś czas myślałem o gotce z telewizji. A raczej o dokładnie odwrotnej sytuacji: że jeśli ludzie uznają cię za normalnego, to takim się stajesz.

Pewnego razu Allie i ja urwaliśmy się z lekcji i poszliśmy na zagraniczny film *Los Diablos*. Opowiadał o mieszkańcach wioski, którzy znaleźli jarzącą się niebieską kulę i odłupali z niej kawałek, żeby sprawdzić, co jest wewnątrz. Okazało się, że to substancja radioaktywna i wszyscy umarli. Tak się chyba często zdarza, kiedy człowiek za bardzo się zapędzi w poszukiwaniu prawdy. Trzymasz coś pięknego, jarzącego się błękitem, ale ze środka wypływa

trucizna, która cię zabija.

Tak na marginesie: prawda jest przereklamowana. Samoloty spadają z nieba. W autobusach wybuchają bomby rozrywające dzieci na miliony kawałków. Dwunastoletni gwałciciele strzelają swoim ofiarom w głowę, żeby ich nie wydały. Nie mogę już oglądać wiadomości ani czytać gazet. Mam wrażenie, że ten ktoś, kto siedzi w niebie, ma wielki wór jakiegoś paskudztwa – jak przeterminowany magiczny pył wróżek – i parę razy dziennie go wysypuje, doprowadzając wszystkich do obłędu.

DZIEŃ 19

Obudziłem się rano. Szalała zadymka. Normalna burza śnieżna. Za oknem było tak biało, jakby szpital unosił się w chmurach. Pięknie. Te upiorne szkielety drzew wyglądały, jakby żonglowały kłębkami waty.

Goody i druga dyżurna pielęgniarka nie mogły przyjechać, zasypało drogi, więc siostra Księżyc musiała zostać wraz z resztą nocnej zmiany i nie była zadowolona. Wszyscy chcieli iść do domu i się wyspać. Kac także nie zdołał się przebić, więc mieliśmy dzień wolny. Cieszyliśmy się z powodu śniegu, czym doprowadzaliśmy personel do szału.

To Sadie zaproponowała, żeby wyjść na zewnątrz. Juliet rzuciła pomysł, że z tego śniegu można by zrobić świetnego bałwana i ani się obejrzeliśmy, a Sadie już pytała, czy moglibyśmy wszyscy wyskoczyć na dwór na jakiś czas.

Początkowo siostra Księżyc odmówiła. Ale potem jej koleżanka z nocnej zmiany (siostra McCutcheon, która zawsze wygląda, jakby czegoś zapomniała), zaofiarowała się, że nas przypilnuje. Wtedy Księżyc zdecydowała, że możemy wyjść, pod warunkiem że będą nam towarzyszyć dwaj sanitariusze i że nikt nie oddali się od grupy.

Nie wychodziłem na dwór, odkąd mnie tu przywieźli. Nie wolno nam nawet szerzej uchylić okna. Dlatego ucieszyłem się, że wreszcie pooddycham świeżym powietrzem. I dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że nie mam odpowiedniego ubrania. Rodzice przywieźli mi dżinsy, podkoszulki i inne takie, ale zapomnieli o ciepłych butach i kurtce. Przecież nie zanosiło się na to, że będziemy chodzić na wycieczki krajoznawcze. Zresztą inni także nie mieli okryć.

Ale w szpitalu znalazło się parę zapasowych. Nie wiem, czy należały do byłych pacjentów, i nie chciałem pytać. Bo jeśli tak, to dlaczego tu zostały? Na takie pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

W każdym razie opatuliliśmy się w te kurtki, szaliki i rękawice. Nie wszystko pasowało idealnie, ale jakoś sobie poradziliśmy. Nie mogłem się pogodzić tylko z jednym: że moja kurtka jest jaskrawożółta. Jak obsikany

śnieg. Trudno, w końcu nie wybierałem się na bal.

Zeszliśmy gęsiego na dół. Dwa razy prowadzono nas przez drzwi zamykane na klucz i czuliśmy się jak więźniowie przenoszeni z jednego więzienia do drugiego. W końcu dotarliśmy na duży dziedziniec otoczony czterema skrzydłami szpitala. Ledwie stanęliśmy, Sadie zgarnęła trochę śniegu, zgniotła go w śnieżkę i rzuciła nią w Juliet. Kulka się rozpadła. Juliet natychmiast się zrewanżowała, ale nie trafiła w Sadie, tylko w sanitariusza.

W parę sekund rozpętała się prawdziwa wojna na śnieżki. Nie tworzyliśmy drużyn – każdy walczył przeciw każdemu.

Myślałem, że siostra McCutcheon każe nam przestać, ale ona tylko się odsunęła i patrzyła na nas z lekkim uśmiechem. Zapisałem w pamięci, żeby od tej pory traktować ją milej. Nie żebym dotychczas zachowywał się jakoś wrednie, ale rozumiecie, możliwe, że czasem dałem jej w kość.

Walnąłem jednego sanitariusza w plecy, a kiedy się z niego śmiałem, ktoś mnie trafił śnieżką w skroń. Odwróciłem się i zobaczyłem Marthę, uśmiechniętą od ucha do ucha.

Kiedy się zmęczyliśmy, Juliet zaczęła lepić bałwana. Zrobiła małą kulkę ze śniegu i zaczęła ją toczyć po dziedzińcu. Sadie i ja pomogliśmy jej z brzuchem i głową. Martha patrzyła z boku, co robimy. Podszedłem do niej.

– Chcesz zobaczyć orzełka?

Spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami i pokiwała głową. Znalazłem przestrzeń, gdzie śnieg nie był jeszcze zadeptany, i się położyłem. Zacząłem poruszać rękami i nogami tak, że kreśliłem nimi półkola, a potem wstałem i spojrzałem na ślad, który odcisnąłem.

– Widzisz? Orzełek. Chcesz takiego zrobić?

Skinęła głową i rzuciła się na ziemię. Zamachała dziko rękami i nogami, po czym wstała. Jej orzełek wyszedł trochę krzywy, jakby spadł z nieba, ale wyglądał naprawdę fajnie. Martha aż się roześmiała. Chyba nigdy dotąd nie słyszałem jej śmiechu. Poczułem się jak w święto.

– Zróbmy ich więcej – zaproponowałem.

Położyliśmy się obok siebie i odcisnęliśmy kolejne orzełki. Chciałem wstać, ale Martha wzięła mnie za rękę i przytrzymała. Miała na dłoniach czerwone mitenki i poczułem przez rękawiczkę uścisk jej palców. Leżeliśmy tak przez parę minut, patrząc na niebo i padające na nas płatki śniegu. Przez chwilę miałem wrażenie, że fruniemy w przestrzeni kosmicznej, a te płatki

to śmigające wokół gwiazdy.

To mi się skojarzyło z astronautami i atmosferą, która wydaje im się cuchnąca. Odetchnąłem głęboko i napełniłem płuca zimnym powietrzem. Nie śmierdziało. Przeciwnie.

W końcu wstaliśmy i pomogliśmy pozostałym lepić bałwana. Przynieśliśmy marchewkę na nos, a siostra McCutcheon dała nam dwa ciasteczka, z których zrobiliśmy oczy. Juliet zdjęła fioletowy szalik znaleziony w szpitalu i okręciła nim szyję bałwana.

– Jak go nazwiemy? – spytała Sadie.

– Może Frosty? – zaproponowała Juliet.

– Zbyt oczywiste. To powinno być coś wyjątkowego. Jak on.

– To może Kac – podsunąłem.

Sadie parsknęła śmiechem, ale Juliet spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Nie łapię – powiedziała.

Nie oświeciliśmy jej. Tylko Sadie wspomniałem o ksywce, jaką wymyśliłem dla doktora, i nawet mi się podobało, że mamy wspólny sekret.

– Może Bone? – rzuciła Juliet.

– Co: Bone? – nie zrozumiała Sadie.

– Bałwan. Może nazwiemy go Bone. Albo Boney. Brzmi podobnie jak Frosty.

Sadie uniosła brew.

– Bałwan Boney. Ironiczne. – Zerknęła na Juliet. – I porąbane. Fajne.

Juliet uśmiechnęła się od ucha do ucha. Sadie spojrzała na mnie i Marthę.

– Wszyscy się zgadzamy? – spytała.

Przytaknąłem. Martha też.

– Zatem Boney. Witaj na świecie, Boney.

Przez jakiś czas staliśmy wokół niego. Potem Juliet zaczęła nucić, a później śpiewać na melodię piosenki Bałwanek Frosty:

– Bałwanek Boney to walnięty, chory gość. Tatuaże miał, głupio się śmiał i zajarać lubił dość…

Sadie i ja parsknęliśmy śmiechem. A Sadie podchwyciła:

– W tej oranżadzie, którą wypił, było coś, bo jak wypił ją, porąbało go i miał w głowie samo zło.

– Wspaniale – pochwaliłem.

– Twoja kolej.

Zastanowiłem się, usiłując sobie przypomnieć kolejną zwrotkę z piosenki o Frostym. Dawno jej nie słyszałem. Trochę to potrwało, ale w końcu zaśpiewałem, fałszując:

– Był w wariatkowie i odzywać nie chciał się. Doktor pytał: „Czemu nie?”, a on na to…

Urwałem, bo nie miałem pomysłu, co dalej.

– …pocałuj mnie w de – dokończyła Juliet. – Powiedział: „Pocałuj mnie w de”.

Sadie przybiła jej piątkę. Komentarz Bone’a byłby dokładnie taki. Wszyscy padliśmy na śnieg, zaśmiewając się tak gwałtownie, że miałem obawy, czy siostra McCutcheon nie pomyśli, że dostaliśmy jakiegoś ataku. Nawet Martha się śmiała, choć pewnie nie do końca czaiła, dlaczego nasza piosenka jest zabawna.

Potem wszyscy poszliśmy do szpitala, zdjęliśmy zaśnieżone ubrania i usiedliśmy w pokoju wypoczynkowym przy gorącej czekoladzie. Całkiem jak te cholerne idealne rodziny, które widuje się w świątecznych reklamach.

DZIEŃ 20

Trochę się przeziębiłem po tym wczorajszym tarzaniu się w śniegu. Ale nie żałuję, bo było warto wyrwać się z zamknięcia na jakiś czas. Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem, że bałwan na dziedzińcu nadal stoi. Na głowie siedział mu kardynał i dziobał marchewkowy nos, a jakieś zwierzaki – pewnie wiewiórki – zabrały ciastka. Ale Boney nadal prezentował się całkiem nieźle.

Mało tego: nie jestem już jedynym facetem w grupie. Mamy nowego. Pewnie osoba, która komponuje listę gości, uznała, że potrzebujemy na naszej imprezie nowej twarzy.

Koleś nazywa się Rankin. To wielki facet. Przypomina mi chłopaków ze szkolnej drużyny futbolowej, którym się wydaje, że są kimś, bo potrafią kopać piłkę. Szczerze mówiąc, nie przepadam za takimi gostkami. Kiedy skończą liceum, nikogo nie będzie już obchodzić, ile zdobyli goli, punktów czy czego tam, więc usiłują wykorzystać na maksa tych parę lat sławy. Problem w tym, że pozostali muszą ich znosić, co jest totalnie niesprawiedliwe.

– No… – odezwał się po tym, jak Kac go przedstawił. – Jestem Rankin. Cześć. – Podniósł rękę i lekko pomachał, po czym uśmiechnął się głupio, jakby miał świadomość, że robi z siebie idiotę.

Kac przez chwilę milczał, ale Rankin nic już nie dodał. Zastanawiałem się, czy ja pierwszego dnia wyglądałem na równie zagubionego. Teraz mogłem się uważać za weterana. Starego wyjadacza. Byłem ciekaw, czy Rankin uważa mnie za wariata – ja tak pierwszego dnia oceniłem Sadie, Bone’a i innych.

– Chciałbyś nam o sobie coś opowiedzieć? – spytał w końcu doktor.

– No pewnie – odparł Rankin, jakby ktoś zapauzował mu umysł, a Kac właśnie wcisnął guzik „play”. – Gram w futbol.

Parsknąłem cichym śmiechem, naprawdę cichym, ale wszyscy usłyszeli i spiorunowali mnie wzrokiem. Rankin zmarszczył brwi.

– No co? – rzucił.

– Nic – mruknąłem. – Tylko właśnie sobie pomyślałem, że wyglądasz jak kark.

– A… dzięki. – Uśmiechnął się. Chyba uznał to za komplement. Parę sekund milczał, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Potem rzucił: – Czasami łapię doła.

Omal znowu się nie roześmiałem. Gość był jak dziecko. „Czasami łapię doła”. No pewnie dlatego, że ciężkie jest życie króla popularności, nad którym wszyscy skaczą, kiedy tylko wygra jakiś głupi mecz. Co za idiota.

Mimo wszystko miło nie być jedynym chłopakiem w grupie. Choć minął dopiero dzień po odejściu Bone’a, zaczęło doskwierać mi bycie w mniejszości. Trochę się bałem, że Sadie, Juliet i Martha zmuszą mnie do zabawy w dom, wyprawianie przyjęcia dla lalek albo do malowania paznokci. Nie żebym zaraz pomyślał, że zakumplujemy się z Rankinem czy coś.

Ciekawe, za co go tu wsadzili. Wiem – mówił, że czasami mu smutno. Jak wszystkim. Ale w tym jego zakutym łbie musi się dziać coś jeszcze. Spróbuję odkryć co, choć tak naprawdę niewiele mnie to obchodzi. Świr to świr. Ktoś nim jest albo nie. Inni tu są wariatami, a ja nie. Proste.

Już przestałem przekonywać Kaca, że mi nie odbiło. Jutro mijają trzy tygodnie, odkąd tu jestem. Prawie połowa odsiadki. I wiem, że nie wypuszczą mnie za dobre zachowanie. Dlatego chodzę na sesje i gadam cokolwiek. Niech Kac sobie myśli, co chce.

Dziś chciał porozmawiać o przyjaciołach.

– Masz jakichś? – spytał.

– Co to są przyjaciele?

– Ludzie, z którymi lubisz spędzać czas. Ludzie, którym się zwierzasz.

– Niewidzialni się liczą? Jeśli tak, mam pana Zbysia Misia i elfa Chichota Czubka.

– Pozostańmy przy prawdziwych – powiedział Kac.

Chyba już przywykł do mojego sposobu bycia, bo nawet nie poprawił okularów ani nie stuknął ołówkiem.

– Pan Zbysio Misio poczuł się urażony sugestią, że nie istnieje – oznajmiłem. – Płacze. Powinien go pan przeprosić.

Kac podrapał się w głowę, ale nie odpowiedział.

– No dobra – odezwałem się po jakiejś minucie. – Jasne, że mam

przyjaciół.

– Opowiedz mi o nich.

– Po co? Co oni mają do rzeczy?

– Ciekawią mnie, to wszystko. Chciałbym wiedzieć, co uważasz za ważne w przyjaźni.

– Kasa przyda się zawsze. I dobre kontakty.

– Myślałem raczej o cechach charakteru. Co cenisz w innych?

– Prawdziwą cnotę, która krytyk się nie boi.

– A co powiesz o szczerości? – spytał Kac.

Kiedy pozwalam sobie na sarkazm, kompletnie mnie ignoruje. No nie wiem, może powinienem się obrazić.

– Szczerość jest przereklamowana.

– Jak to?

– Człowiek szczery musi mówić przyjaciołom wszystko. A czasem lepiej tego nie robić.

– Podaj jakiś przykład.

– Na przykład przyjaciółka pyta, czy w jakichś dżinsach wygląda grubo. Jeśli potwierdzę, to mnie znienawidzi.

– Nawet jeśli mówisz prawdę?

– Zwłaszcza. Prawdziwy przyjaciel skłamie, że dżinsy leżą świetnie.

Kac zapisał coś w notesie.

– Robi pan notatki do poradnika? Bo mam mnóstwo pomocnych wskazówek.

– Więc uważasz, że twoja przyjaciółka nie chciałaby wiedzieć, iż źle wygląda w dżinsach?

– Ona to wie. Chce tylko, żebym jej poprawił samopoczucie. To jedna z tych rzeczy, których się nie mówi, jak to, że się nie znosi chłopaka przyjaciółki. Albo kumpeli – dodałem szybko.

– Czy to nie jest nieuczciwość? – podsunął Kac. – A jeśli dana osoba nie pasuje do twojej przyjaciółki? Nie powinieneś tego powiedzieć?

– Ludzie zawsze twierdzą, że chcą znać prawdę, ale przeważnie kłamią. Ilu rodziców chce wiedzieć, że ich dzieci uprawiają seks albo palą? Nawet jeśli pytają, oczekują odpowiedzi, że wszystko gra. I w nią uwierzą.

– A ty uważasz, że to zdrowe?

– To pan tu jest lekarzem. Niech pan mi powie.

– Interesuje mnie twoje zdanie.

Zwlekałem przez chwilę z odpowiedzią.

– Uważam, że ta bródka, którą stara się pan zapuścić, wygląda idiotycznie – oznajmiłem.

Kac drgnął. Potem zerknął w lusterko na ścianie.

– Widzi pan? – dodałem. – Szczerość wcale nie jest taka fajna, prawda?

DZIEŃ 21

Parę lat temu, podczas wiosennych ferii tata zabrał nas na Hawaje. Nauczyliśmy się tam nurkować. Było dość fajnie, choć kiedy po raz pierwszy zszedłem pod wodę na basenie, żeby poznać działanie sprzętu, bałem się, że zabraknie mi powietrza i utonę. Ale się przyzwyczaiłem.

Muszę wam powiedzieć, że w głębinie można zobaczyć niesamowite rzeczy. Nasz instruktor oznajmił, że woda zajmuje około siedemdziesięciu procent Ziemi, a tylko niespełna jeden procent ludzi schodzi pod powierzchnię. Wiele osób nigdy nie zobaczy tego, co ty, kiedy nurkujesz.

Najbardziej spodobała mi się pewna ryba, która ciągle podpływała i uderzała pyszczkiem w moją maskę. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak się zachowywała, ale kiedy się wynurzyliśmy, instruktor wyjaśnił, że walczyła ze swoim odbiciem.

Przypomniałem sobie o tym wszystkim w szpitalu – bo czuję się tu jak nurek otoczony ławicą bardzo dziwnych ryb. Choćby tak, jak dziś.

Na sesji grupowej Kac (który, nawiasem mówiąc, zgolił bródkę – kolejny punkt dla mnie) dał nam kompletnie debilne zadanie. Najpierw podzielił nas na dwie grupy. Znowu znalazłem się w drużynie z Juliet, a Sadie z Rankinem. Martha była widzem, bo raczej trudno od niej wymagać, żeby się rozgadała. Mieliśmy wybierać karteczki z trzech pudełek. Pierwsza określała miejsce, druga – sytuację, a na trzeciej znajdował się tekst do wypowiedzenia.

Mieliśmy wymyślić skecz z uwzględnieniem tych wszystkich elementów. Dostaliśmy dziesięć minut na opracowanie zadania. Pozwoliłem Juliet wylosować karteczki. Nasza scenka rozgrywała się w teatrze, dotyczyła kogoś, kto o czymś zapomniał, a kwestia brzmiała: „A może ciasteczko?”.

Przeczytaliśmy to wszystko i oboje jęknęliśmy. No bo jak to połączyć? No, ale na tym właśnie polegała trudność. Poszliśmy w kąt sali i zrobiliśmy burzę mózgów.

To Juliet wpadła na pomysł, żeby mąż zapomniał imienia żony. Genialne. Zadziałało jak złoto. Ja grałem męża. Wykombinowaliśmy, że podczas

antraktu spotykamy moją koleżankę z pracy, ja mam jej przedstawić żonę, ale z jakiegoś powodu nie mogę sobie przypomnieć jej imienia.

Poprosiłem Marthę, żeby wystąpiła w roli tej znajomej. Nie musiała nic mówić. Stała tylko, a my udaliśmy, że na nią wpadamy. Ja nawijałem, jaka fajna jest sztuka, żeby uniknąć przedstawienia żony Marcie, a Juliet przez cały czas udawała, że wyjada ciasteczka z torebki. I tak wprowadziliśmy kwestię: żona ciągle proponowała mi kolejne ciastko.

No dobrze, może nie brzmi to jakoś porywająco, ale uwierzcie mi, byliśmy dobrzy. Przynajmniej tak uważamy.

Sadie i Rankin lepiej poradzili sobie ze scenką, ale na naszą obronę muszę powiedzieć, że im przypadł fajniejszy materiał. Akcja ich skeczu rozgrywała się na statku kosmicznym, chodziło o to, że się zgubili, a tekst brzmiał: „Jak toto się tu dostało?”.

Oboje usiedli niczym piloci na krzesłach ustawionych jedno przy drugim. Sadie grała dowódcę, a Rankin – początkującego nawigatora, który odbywa swoją pierwszą podróż kosmiczną. Pomylił trasę i kłócił się z kapitanem. Nagle w kabinie pojawiła się mucha, a jej brzęczenie rozdrażniło ich jeszcze bardziej. Wtedy Rankin powiedział: „Jak toto się tu dostało?” i otworzył okno, żeby wypędzić paskudztwo. Ponieważ byli w kosmosie, próżnia wysysała ich na zewnątrz, co odegrali, turlając się z krzykiem po podłodze.

Rozumiecie teraz, o co mi chodziło z tymi dziwnymi rybami? Czasami ludzie wyglądają normalnie, ale pewnego dnia robią coś kompletnie zaskakującego – i lądują w miejscu takim jak ten szpital. Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto mnie zna, podejrzewał, że zrobię to, co zrobiłem.

A jednak zrobiłem.

DZIEŃ 22

Dziś znowu mieliśmy *Rozmowy w toku*, znane także jako cotygodniowa wizyta moich rodziców. Spotkanie z nimi nie znajdowało się na szczycie mojej listy wymarzonych rozrywek, ale nie miałem wiele do gadania. Zresztą alternatywa nie istniała.

Tematem dzisiejszego posiedzenia było: „Dlaczego?". A dokładnie: „Dlaczego Jeff zrobił to, co zrobił?". Nie uważam tego za najbardziej porywający temat dyskusji, ale nikt mnie nie pytał o zdanie.

Najwyraźniej przed moim przyjściem Kac z rodzicami uknuli jakiś plan, żeby wreszcie wydobyć ze mnie prawdę. Najpierw Kac spytał ich, jak zachowywałem się w domu. Potem poprosił o opisanie, co poczuli, kiedy mnie wtedy znaleźli.

Mama natychmiast zmieniła się w fontannę łez. Powiedziała, że weszła na piętro i zobaczyła kałużę krwi na podłodze. Początkowo sądziła, że zrobiłem jej jakiś kawał, i roześmiała się, choć wydał się jej okrutny. Kiedy nie zareagowałem, wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć, a ojciec ją usłyszał i przybiegł sprawdzić, co się dzieje.

Nie twierdzę, że mama zmyśla, ale… zawsze mówiła, że gdyby nie została prawnikiem, byłaby aktorką. Serio. Parę lat temu występowała nawet w pewnej rozpaczliwie amatorskiej inscenizacji Skrzypka na dachu. Wypadła całkiem nieźle. Dlatego uważam, że ma talent do dramatyzowania. Oczywiście rozumiem, że znalezienie własnego dziecka w takim stanie może zepsuć człowiekowi humor. Ale miałem wrażenie, że mama próbowała wzbudzić we mnie jeszcze większe poczucie winy.

Ojciec nie płakał, ale powiedział, że nigdy nie przeżył nic straszniejszego niż ten wieczór, kiedy zobaczył, jak leżę na podłodze. Potem opisał, jak zrobił opaski uciskowe z podartego prześcieradła i był przy mnie aż do przyjazdu karetki. Podobno powtarzał, że mnie kocha, na wypadek gdyby to mi pomogło przeżyć.

Wstrząsnęło to mną bardziej niż szlochy matki. Ojciec nie jest skłonny

do sentymentów. To taki facet, który na luzie ogląda film, na którym wszyscy inni zalewają się łzami, a on tylko rzuca komentarz w rodzaju: „Nie do wiary, jakie wielkie usta ma ta Julia Roberts”. Serio. Nic go nie rusza. Jak tych kowbojów ze starych westernów.

Słuchając rodziców, przypomniałem sobie rozmowę z Sadie o tym, kto mnie uratował. Miała rację, że rodzice, a nie sanitariusze. Gdyby mama nie weszła na górę, sprawdzić, co u mnie, i gdyby tata nie wiedział, co robić, naprawdę bym umarł. Trzy tygodnie temu wydawało mi się, że tego chcę. Teraz zmieniłem zdanie. Nie całkiem, ale na tyle, żebym docenił to, co zrobili. Ale nie zamierzałem im o tym mówić.

Potem Kac spytał, co poczułem, kiedy słuchałem rodziców. Co miałem odpowiedzieć? „Ojejku, jejku, tak mi przykro, że was przestraszyłem, i dzięki, że mi przeszkodziliście”? To by było idiotyczne, jak scena w telewizyjnym filmie, w którym dziewczyna, która uciekła z domu i poszła zarabiać na ulicę, wybucha rozpaczliwym płaczem, gdy matka przepędza parasolką jej alfonsa.

Nie mogłem powiedzieć, jak byłem wdzięczny. To znaczy jestem. Wdzięczny. Mniej więcej. W dobre dni.

Ale przeprosiłem, że się przeze mnie martwili. Wyglądało mi to na sensowny kompromis między kamiennym milczeniem zamkniętego w sobie nastolatka a szlochem i załamaniem nerwowym. Wyraziłem żal, że się o mnie bali, i zapewniłem, że już nic złego sobie nie zrobię.

To ostatnie mogłem sobie darować, bo to jedno z tych stwierdzeń, na które lekarz reaguje jak kot na mysz.

Kac spytał:

– Czy czujesz się dziś inaczej niż tamtej nocy? Czy coś się zmieniło od tamtego czasu?

O rety. Ale mnie podszedł. Znowu wróciliśmy do wielkiego „Dlaczego?”. Ja miałem pokazać, jak głęboko wejrzałem w samego siebie, a oni otrzymać wyjaśnienie, co się stało. Ale, jak ciągle powtarzam, żadna wielka przyczyna wszystkiego nie istnieje.

No ale musiałem coś powiedzieć, więc zdecydowałem się na takie wytłumaczenie:

– Chyba nauczyłem się, że choćby nie wiadomo jak straszna wydawała się sytuacja, mam wokół siebie ludzi, którzy mnie kochają.

Nie zdziwi mnie, jeśli w tej chwili pójdziecie zwymiotować. Ja bym tak

zrobił. Ale tekst brzmi przekonująco, nie? Na miejscu moich rodziców byście to kupili. Zrobiło mi się trochę głupio, kiedy spojrzałem na mamę. Naprawdę jej ulżyło, jakby przez cały czas się zamartwiała, że chciałem się odmeldować z obawy, że ona mnie nie kocha. Ale to przecież nie ten przypadek. Miłości rodziców jestem pewny. Oni nie mieli z tym nic wspólnego.

Zdaje się, że Kac wyczuł, że usiłuję im wcisnąć kit, bo zaczął mnie bardziej naciskać.

– Czy teraz postąpiłbyś inaczej? – spytał.

Miałem ochotę odpowiedzieć: „Tak, zamknąłbym drzwi na klucz". Zmęczyło mnie już wysilanie się, żeby inni poczuli się lepiej. Przykro mi, że ich wystraszyłem. Przykro mi, że rodzice się martwili. Ale to przeszłość. Czy nie możemy przestać jej roztrząsać?

Zastanawiałem się parę chwil, aż trochę mi przeszło, i powiedziałem:

– Porozmawiałbym z kimś.

Nie dodałem z kim. Dzięki temu każdy mógł pomyśleć, że chodzi mi o niego.

Zdaje się, że wybrałem właściwą odpowiedź, bo Kac skończył to bliskie przesłuchanie trzeciego stopnia i zajął się czymś innym. Niczym ciekawym, więc nie będę was zanudzać opisem. Chodziło o wypracowanie lepszych metod komunikacji. Bla, bla, bla.

Ucieszyłem się, kiedy spotkanie dobiegło końca i mama z tatą wyszli, a jeszcze bardziej – gdy wróciłem do siebie. Po stokroć wolałem pisać na angielski pracę o Władcy much, niż spędzić kolejną godzinę z doktorem i rodzicami. Jeśli mam wybierać między analizowaniem symboliki świńskiej głowy na kiju a rozmową o moich uczuciach, łeb wygrywa, nie ma bata.

DZIEŃ 23

Dziś wydarzyło się coś totalnie dziwnego. Nawet nie wiem, czy powinienem o tym pisać, ale jeśli tego z siebie nie wyrzucę, jeszcze mi to utkwi w głowie, a tego wolałbym uniknąć.

Jest koło trzeciej nad ranem. Obudziłem się jakiś czas temu, bo zachciało mi się siku. Poszedłem do łazienki na końcu korytarza. Wygląda jak szkolna: umywalki, toalety i prysznice w jednym wielkim pomieszczeniu. W jednej kabinie leciała woda. To trochę dziwne, bo ludzie na ogół biorą prysznic rano. Nie wolno nam się włóczyć po nocy, chyba że musimy – no wiecie, do ubikacji.

Właściwie nic się nie działo. Trafiliśmy tu, bo coś z nami nie tak, więc prysznic w środku nocy nie jest jakimś szczytem dziwactwa. Nie przejąłem się lecącą wodą i zacząłem sikać. Wtedy usłyszałem jęk.

Zatrzymałem strumień – co, nawiasem mówiąc, jest bardzo trudne – i zacząłem nasłuchiwać, czy to nie buczenie w rurach albo coś podobnego. Odgłos się powtórzył i z całą pewnością wydał go facet. Poza mną jest tu tylko Rankin, więc byłem pewien, że to on – chyba że któryś z sanitariuszy z nocnej zmiany nagle zapragnął zadbać o higienę osobistą. Wyglądało na to, że z Rankinem nie jest najlepiej.

Nie wiedziałem, czy zagadnąć, czy dać mu spokój. Jednak odgłosy stały się jeszcze wyraźniejsze. Pęcherz mi pękał, więc się wysikałem do końca, a potem podszedłem do kabiny. Nie chciałem wystraszyć Rankina, dlatego nic nie mówiłem. Jeśli człowiek bierze prysznic w środku nocy i marnie się czuje, raczej nie chce brać udziału w powtórce sceny z Psychozy, kiedy ktoś mu nagle odsuwa zasłonkę.

Zasłonki nie zakrywają całej kabiny. Po obu stronach zostają luki, jakby folia skurczyła się od pary. Nie są na tyle duże, by trzeba się martwić, że cały świat ogląda twój tyłek, ale jak się ktoś postara, może coś wypatrzeć.

Przez tę szczelinę zobaczyłem Rankina. Aż za dobrze. Widziałem, jak porusza ręką przy biodrach. Rozumiecie, o co chodzi. Nawet kłęby pary nie

zasłaniały tego, co się działo.

Chciałem spadać, ale nie mogłem. Bałem się, że jeśli choćby drgnę, on mnie usłyszy i pomyśli, że podglądam. Bicie własnego serca wydawało mi się głośne jak łomot bębna. Stałem i się gapiłem, choć pragnąłem odwrócić wzrok i uciec z tej łazienki.

Nie żebym nigdy dotąd nie widział faceta, któremu stoi. Czasami w szkole po wuefie pod prysznicem któremuś z kumpli się tak zdarzało i inni wtedy wytykali go palcami i nazywali ciotą. Niemniej wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że chłopakom takie rzeczy się zdarzają. Nie mamy na to wpływu.

Sam też robiłem to, co Rankin. Mam piętnaście lat, więc to oczywiste. Facet, który się wypiera, że to robi, kłamie. To tak, jakby się miało najfajniejszą grę wideo i nigdy się w nią nie grało. Na świecie nie ma takich debili.

Ale jeszcze nie widziałem, jak ktoś inny to robi. To jedna z tych rzeczy, których lepiej sobie nie wyobrażać w kontekście innych osób, bo jeśli już zaczniesz, przy każdym powitaniu będziesz myśleć, czego dotykała czyjaś ręka. W te rejony po prostu lepiej się nie zapuszczać.

A teraz pół metra ode mnie Rankin zasuwał, jakby był sam we własnym pokoju, z zamkniętymi na klucz drzwiami i włączonym stereo, które zagłusza odgłosy. Coraz bardziej się podniecał i wiedziałem, co będzie dalej. Widziałem jego lekko odwróconą twarz. Oczy miał przymknięte, usta rozchylone. Uznałem, że pora spadać, dopóki jest taki nakręcony. Teraz nie dostrzegłby nawet, gdyby przez łazienkę przejechał pociąg.

Zwlekałem za długo. Rankin otworzył oczy. Spojrzał wprost na mnie. Najpierw mrugnął parę razy, jakby myślał, że mu się przywidziało. Potem kiwnął mi głową z lekkim uśmiechem, jakbyśmy się minęli w korytarzu.

– Cześć – rzucił.

Ja też skinąłem głową.

– Cześć – powiedziałem.

„Cześć”, tak po prostu. Co za idiota. Rankin nie dodał nic więcej, więc się odwróciłem i odszedłem.

Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby ktoś mnie przyłapał w takiej sytuacji. Prawdopodobnie dostałbym zawału. Ale na pewno nie powiedziałbym po prostu „cześć”.

A teraz ciągle mam przed oczami Rankina. To najgorsze. Nadal widzę tę jego poruszającą się rękę. Czuję się jak pedał. Nie mogę przestać o tym

myśleć.

Po co ja tam poszedłem? Dlaczego musiałem to zobaczyć? Wiele bym dał, żeby tego dziś nie widzieć. Ani dziś, ani nigdy.

A może nie powinienem tak dramatyzować? Przecież Rankinowi to obojętne, więc czemu ja się przejmuję? Muszę zapomnieć. Tak, właśnie tak. Pójdę spać i zapomnę.

DZIEŃ 24

Wiecie, że hinduiści wierzą, iż po śmierci człowiek powraca na ziemię w innym wcieleniu, a jeśli w poprzednim życiu narozrabia, to wraca jako stworzenie na niższym poziomie rozwoju, żeby naprawić swoje błędy? Jeśli mają rację, to wcześniej musiałem konkretnie wkurzyć Boga czy kogo tam. W przeciwnym razie dzisiejszy dzień nigdy by się nie przydarzył. Zaszło coś gorszego niż zeszłej nocy.

Jakoś udało mi się zapomnieć, że widziałem Rankina pod prysznicem. Przy śniadaniu, kiedy patrzyłem, jak wsuwa owsiankę, prawie uwierzyłem, że to był tylko sen. Potem mieliśmy sesję grupową. Kac zarządził, że znowu mamy połączyć się w pary. Żołądek od razu mi się ścisnął. Zamknąłem oczy i liczyłem, że zostanę przydzielony Sadie albo przynajmniej Juliet.

Ale oczywiście nietrudno się domyślić, co się wydarzyło. I z czasem było tylko gorzej, o ile to możliwe. Zadanie polegało na wyjmowaniu z pudełka karteczek z pytaniami typu: „Z czego jesteś najbardziej dumny?” lub: „Gdybyś mógł w sobie coś zmienić, co by to było?”.

Mieliśmy wylosować pytanie i porozmawiać o nim z partnerem. Bardzo, bardzo chciałem dostać coś łatwego, na przykład: „Wyraź sens życia w najwyżej trzech słowach”. Tymczasem trafiło mi się: „Co najbardziej żenującego ci się przytrafiło?”.

Przysięgam na Boga, pytanie naprawdę tak brzmiało. Czasami mam wrażenie, że w górze siedzi ktoś, kogo jedynym zadaniem jest zrobienie ze mnie kompletnego debila. Serio, na pewno przydzielili mi jakiegoś anioła – a raczej demona – który codziennie rano zadaje sobie pytanie, w jaki jeszcze sposób może mi zrujnować życie. Dziś udało mu się na piątkę z plusem.

Wylądowałem w parze z Rankinem. Nie patrzyłem na niego, tylko jakoś tak obok. I oczywiście widziałem tylko tę jego wielką łapę poruszającą się w górę i dół. Potem zacząłem się gapić na jego rozporek i w końcu musiałem przenieść wzrok na jego twarz. No i tu mnie czekało zdziwko, bo gość w ogóle nie miał problemu z sytuacją.

Patrzył na swoją karteczkę, jakby tekst zapisano japońskimi krzaczkami czy coś. Gapił się, gapił, gapił i w końcu spojrzał na mnie i przeczytał:

– O czym myślisz, kiedy się brandzlujesz?

Teraz na pewno uważacie, że zmyślam, ale przysięgam, że nie. Dokładnie to powiedział. Siedziałem, wytrzeszczając oczy, pewien, że źle usłyszałem. Potem Rankin uśmiechnął się szeroko i zaczął chichotać.

– Mam cię! – zawołał.

Miałem ochotę go uderzyć. Serio. Nie mogłem uwierzyć, że to powiedział. Ale jemu się to wydawało cholernie zabawne. Szczerzył się jak idiota i aż się trząsł ze śmiechu.

– Zamknij się wreszcie! – wrzasnąłem.

Trochę wyhamował.

– Przepraszam. Ale żebyś widział swoją minę!

– Co masz naprawdę na kartce? – spytałem.

– Bo co? Nie chcesz znać odpowiedzi na tamto pytanie?

– Raczej nie.

– No dobrze. – Rankin znowu spojrzał na karteczkę i odczytał prawdziwy tekst: – Jaką chwilę swojego życia uważasz za najtrudniejszą?

Pomyślał trochę i westchnął.

– Pewnie tę, w której powiedziałem tacie, że nie będę już grać w futbol.

– Myślałem, że to lubisz.

– Lubię. Ale nie chcę już grać w drużynie.

– Czemu?

Rankin pokręcił głową.

– Bo nie. Co masz na swojej kartce?

– Chwileczkę. Nie możesz po prostu powiedzieć: „Bo nie”. Mamy gadać o tych głupotach. Chcę wiedzieć, dlaczego odechciało ci się być wielkim panem futbolistą.

Rankin pochylił głowę. Przez sekundę myślałem, że mnie walnie z byka, ale siedział nieruchomo. Kiedy się wyprostował, zobaczyłem, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Wiesz, jak to jest, kiedy wszyscy oczekują od ciebie najlepszych wyników?

Pokręciłem głową.

– To akurat nie mój problem – oznajmiłem. – Do niczego nie mam talentu. W każdym razie do niczego ważnego.

– A ja tak. Dobrze rzucam i łapię piłkę i odsuwam ludzi, kiedy staną mi na drodze. To mój talent.

– No i co za problem? Wszyscy kochają sportowców, nie? – Przyznaję, że powiedziałem to ciut sarkastycznie, bo Rankin zachowywał się jak dupek i ciągle nie mogłem mu wybaczyć, że tak zabawił się moim kosztem.

– Jasne – mruknął, prychając. – Wszyscy cię kochają. Jak wygrywasz. Wtedy noszą cię na rękach. Ale jak przegrasz, stajesz się głupim osiłkiem, który nie potrafi nawet trafić w piłkę.

Naprawdę nie ruszał mnie jego los. Zabrzmi to okropnie, ale chciałem jeszcze po nim pojeździć. Wszyscy wiedzą, że tacy jak on trzęsą całą szkołą. Według mnie te głupie karki nie mają żadnych zmartwień oprócz brania udziału w durnej grze, co nie wydaje się jakimś wielkim poświęceniem.

– Wiesz, jak zareagował ojciec, kiedy mu powiedziałem, że chcę odejść?

– Przecież mnie tam nie było. Musisz mnie wtajemniczyć.

– Że jeśli przestanę grać w futbol, on przestanie mnie uważać za syna.

– Niemożliwe. Skąd mu przyszło do głowy coś tak debilnego?

– Powiedział, co czuł. Tylko tyle we mnie widzi, futbolistę. Takiego jak jego ojciec. Tym się zajmują faceci w naszej rodzinie.

– Przecież jesteś jego dzieckiem – wymamrotałem, nadal z niedowierzaniem.

– Które ma grać w futbol. – Rankin parsknął śmiechem. – Myślisz, że dlaczego tu trafiłem?

– Bo czasem łapiesz doła – powtórzyłem jego słowa z pierwszego spotkania.

– Tak, ale to nie jest prawdziwa przyczyna.

– To dlaczego tak powiedziałeś?

– Daj spokój. Nikt tu się nie przyznaje do prawdy. Przynajmniej nie na początku. Nikt nie chce wyjść na największego świra. Ty tak nie zrobiłeś?

– Jak?

– Nie skłamałeś?

– To dość trudne, kiedy się ma to – mruknąłem, pokazując mu przeguby.

– Ale nie wiadomo, dlaczego to zrobiłeś.

– Fakt. Zatem obaj skłamaliśmy. Dlaczego cię tu wsadzili?

– Bo ojciec chce wiedzieć, czemu mi odbiło.

– Wysłał cię do wariatkowa, bo nie zamierzasz dłużej grać w piłkę? To chyba żart.

– Nie. Tak zrobił.

– Odjazd. Mega.

Rankin pokiwał głową.

– No. A twoje pytanie?

Przeczytałem je.

– I chyba znasz odpowiedź – dodałem, wiedząc, że prawdopodobnie robię się czerwony jak cegła.

– Twoje blizny…

Wytrzeszczyłem oczy. Naprawdę nie czaił? „Nie, nie blizny – chciałem odpowiedzieć – tylko to, że cię zaskoczyłem pod prysznicem”.

Rankin albo nie uważał tego za coś żenującego, albo usiłował udawać, że nic się nie stało. W grę wchodziła raczej pierwsza opcja. Naprawdę nie widział problemu.

Ja odwrotnie. Wolałbym, żeby ktoś zobaczył, jak się tnę, niż gdyby miał mnie przyłapać na czymś takim. Powiem wam w zaufaniu, ten Rankin ma chyba ciut poprzestawiane priorytety.

DZIEŃ 25

Powiedziałem Sadie, że widziałem Rankina pod prysznicem. Nie zamierzałem, ale nie mogłem przestać o tym myśleć i doszedłem do wniosku, że jeśli komuś wszystko wyznam, obraz przejdzie z mojej głowy do cudzej. Rozumiecie, jak w tym filmie *Ring*, w którym bohaterzy muszą przekazywać sobie przeklętą kasetę z filmem, żeby upiorna dziewczyna nie wyszła z telewizora i ich nie zabiła. Wiedzą, że dziewczyna zabije osobę, której przekażą kasetę, ale i tak to robią, bo wolą odsunąć od siebie śmierć.

Nie żeby wspomnienie Rankina miało taką moc rażenia, ale jednak nieźle utrudniało mi życie. Tak bardzo, że nie mogłem spać. Poszedłem do pokoju wypoczynkowego i zastałem w nim Sadie. Ona chyba nigdy się nie kładzie. Pewnie całymi nocami ogląda telewizję.

– Dziwne to było – zakończyłem.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Bo dziwne.

– Weź przestań. Jakbyś też tego nie robił.

Omal się nie zacząłem wypierać, ale przecież by nie uwierzyła. No bo, litości… Założę się, że nawet papież to robi.

– Ale Rankina w ogóle nie ruszyło, że go podejrzałem.

– Dużego ma?

– Co?

– No wiesz. To duży chłopak, więc pewnie wszystko ma duże.

– Właściwie nie zauważyłem.

Sadie uśmiechnęła się ironicznie.

– Zauważyłeś.

– Nieprawda! – zaprotestowałem.

Przewróciła oczami.

– Nie ściemniaj. Faceci zawsze sprawdzają. Porównują. No to jak,

ma większego niż ty?

– Ty zboczuchu!

– Co z wami, faceci? Dziewczyny zawsze się porównują.

– Wielkie mi coś. Przecież te wasze się tak nie różnią… – Tym razem to ja spojrzałem mniej więcej w kierunku jej, no wiecie, części intymnych.

– Skąd wiesz? – odpaliła. – Ile ich widziałeś?

– Dużo.

– Na przykład Allie? – spytała.

Zamarłem. Poczułem, że się czerwienię, co mnie totalnie wkurzyło.

– Dobra, widziałem. Kawałek organu. Szczęśliwa?

– Mówimy teraz o Allie czy Rankinie? – spytała Sadie, znowu szczerząc zęby.

– Nie powinienem w ogóle o tym wspominać.

– Wyluzuj. Wróćmy do sprawy. Dlaczego to tobą tak wstrząsnęło?

– A jeśli… – zacząłem.

– Jeśli co? – spytała Sadie po chwili milczenia.

– Jeśli on chciał, żebym go zobaczył?

Sadie parsknęła śmiechem.

– No i co z tego?

– To dość obleśne.

– Błagam, przecież nie prosił, żebyś mu pomógł czy coś. Wlazłeś, gdzie nie trzeba, i tyle.

– Ale jego nie ruszyło, że na niego patrzyłem.

– A dlaczego miałoby ruszyć? To nic takiego. Wy, chłopaki, zawsze obnosicie się z tymi waszymi, dotykacie się i w ogóle. Jakbyście byli z nich tak dumni, że musicie je ciągle pokazywać.

– Jasne. Jak psy na wystawie. Czasami organizujemy nawet dla nich konkursy talentów.

Sadie pokręciła głową.

– Faceci są porąbani. Panikujecie, że ktoś was weźmie za gejów, jeśli na siebie spojrzycie. Dziewczyny tak nie mają.

– Jak to?

– No… ćwiczyłeś kiedyś całowanie na koledze?

– No co ty!

– Widzisz? A dziewczyny ciągle to robią.

– Tak?

– Jasne. Całowałam się z koleżankami. Czasami nawet robiłam więcej.

– Więcej…?

– No wiesz, trochę się dotykałyśmy i tak dalej. Żadnej wielkiej lesbijskiej akcji, nic w tym stylu. Ale nawet jeśli… nie widzę w tym nic złego. Z właściwą dziewczyną pewnie bym mogła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Szczerze mówiąc, trochę zacząłem się jej bać.

– Faceci takich rzeczy nie robią – powtórzyłem.

Sadie parsknęła śmiechem.

– Robią, tylko się nie przyznają. Wierz mi, naprawdę robią.

No, nie sądzę. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby chłopaki z mojej szkoły poszli ze sobą na całość na domówce. Ale może? Na pewno klepią się po tyłkach w szatni i na boisku. Nawiasem mówiąc, zawsze uważałem, że to jakieś dziwne. Faceci tak się boją, że ktoś ich weźmie za cioty, ale futboliści bez oporów się obmacują.

Nie chciałem już o tym myśleć, więc zmieniłem temat. Zaproponowałem, żebyśmy pobawili się w podkładanie dialogów. Chciałem odciągnąć myśli Sadie od tego całego seksu.

Nie wyszło. Jak tylko zaczęliśmy, dotarło do mnie, że szykują się kłopoty. Akurat leciał bardzo kiepski horror dla nastolatków. Akcja rozgrywała się na obozie letnim, jak zawsze, gdzie ktoś bez wyraźnej przyczyny kasował jednego instruktora po drugim.

Na ekranie pojawiły się dwie osoby: facet i dziewczyna. Jak to bohaterowie tanich horrorów dla młodzieży – postanowili rozbić namiot w lesie, choć nieopodal stały bardzo przyzwoite domki kempingowe. Leżeli w rozpiętych śpiworach i rozmawiali. Idealna scenka do naszej zabawy.

– Spróbujmy inaczej – zaproponowała Sadie. – Ja będę facetem, ty dziewczyną.

Nie czekała na moją zgodę, od razu zaczęła.

– Heather, w tych lasach nikogo nie ma.

– Ale, Sean, ja coś słyszałam – odpowiedziałem, kiedy dziewczyna

poruszyła ustami.

Sean położył jej rękę na policzku.

– To tylko wiatr – oznajmiła Sadie.

Dziewczyna nie wydawała się przekonana.

– Poczułabym się lepiej, gdybym mogła wejść do twojego śpiwora – szepnąłem jej głosem.

Sean rozpiął śpiwór, a dziewczyna wyszła ze swojego.

– Nie przestraszysz się, że sypiam nago? – zagadnęła Sadie.

– Och… – westchnąłem, starając się zachowywać jak zaskoczona panna. – Szkoda, że nie ogoliłam nóg.

– Nie szkodzi – mruknęła Sadie niskim głosem. – Lubię kobiety z drapiącymi łydkami. To mnie podnieca.

Oboje się roześmialiśmy. Potem zrobiłem coś nieplanowanego. Położyłem rękę na jej dłoni. Serce mi trzepotało jak oszalały motyl i niewiele brakowało, a bym się wycofał. Sadie mnie powstrzymała. Nie skomentowała tego w żaden sposób, nawet na mnie nie spojrzała. Jakby się wszystkiego spodziewała.

Siedzieliśmy tak do końca scenki.

– Jesteś taki ciepły – powiedziałem głosem Heather.

– Bo ty mnie rozgrzewasz – wymamrotała Sadie.

– Och, Sean… Czuję się przy tobie bezpieczna…

– Na tyle, żeby iść na całość? – podchwyciła Sadie.

Zawahałem się, jak dziewczyna z filmu. Kiedy znowu poruszyła wargami, rzuciłem:

– Chyba tak.

W tej samej chwili ścianę namiotu przebił nóż. Chłopak i dziewczyna krzyknęli i próbowali uciec, ale zaplątali się w śpiworach. Zabójca uderzał raz po raz, a krew bryzgała na wszystkie strony.

– Tyle na temat pierwszego razu Heather – odezwała się Sadie normalnym głosem. – Zmarła jako dziewica. Jaka szkoda.

Nadal trzymała mnie za rękę. Teraz, kiedy już nie graliśmy, wydawało mi się, że to trochę dziwne. Ale żadne z nas nie zabrało dłoni. Czułem, że powinienem coś powiedzieć, tylko nie umiałem znaleźć właściwych słów.

Siedzieliśmy tak aż do końca filmu. Nawet nie pamiętam, co się działo. Myślałem tylko o tym, jaka ciepła jest ręka Sadie. Bałem się, że spoci mi się

dłoń. Całkiem zapomniałem o Rankinie i w sumie o wszystkim. Jakby pole magnetyczne emanujące od dziewczyny wymazało wszystko z mojej głowy.

– No dobrze, na dziś dość telewizji.

Omal nie podskoczyłem, kiedy rozległ się głos siostry Księżyc. Całkiem o niej zapomniałem. Przez chwilę czułem się, jakbym siedział z Sadie w salonie w domu. Ale kochana siostrzyczka sprowadziła mnie na ziemię.

Przypomniałem sobie także, że nie powinienem dotykać Sadie. Zabrałem rękę w chwili, gdy pielęgniarka podeszła do telewizora, by go wyłączyć.

– Do łóżek! – rozkazała.

Mruknąłem coś do Sadie na pożegnanie i nie patrząc na nią, ruszyłem do siebie.

– Hej! – zawołała mnie cicho.

Odwróciłem się. Obejrzała się ostrożnie za siebie, po czym szybko pocałowała mnie w usta.

– Dobranoc – powiedziała.

DZIEŃ 26

O rany. Kac nie może się o tym dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć, bo Sadie i ja będziemy mieć kłopoty.

Po tym jak Sadie pocałowała mnie wczoraj wieczorem, wróciła do siebie. Nic więcej się nie wydarzyło. Ale ja ciągle zastanawiałem się nad możliwymi scenariuszami. Im dłużej to roztrząsałem, tym bardziej żałowałem, że do niczego nie doszło. Przed oczami ciągle widziałem Rankina, zatem wolałem już myśleć o Sadie.

Nie wytrzymałem i wstałem. Przekonywałem siebie, że pójdę tylko do łazienki. Zrobiłem siku i zastanawiałem się, czy się nie wykąpać, by ochłonąć, ale prysznic przecież kojarzył mi się z Rankinem. Uznałem więc, że po prostu wrócę do swojej sali.

Ale na korytarzu natknąłem się na Carla. Do tej pory o nim nie wspominałem, bo nie było takiej potrzeby. Carl patroluje korytarze co pół godziny, żeby uniemożliwić nam robienie tego, czego nie powinniśmy. Nie jest sanitariuszem, nie ma żadnych zadań związanych z opieką medyczną nad pacjentami. To raczej nocny stróż.

Poza Carlem jest jeszcze jeden, Frank. Zmieniają się co drugą noc. Frank jest średnio serdeczny. Po prostu robi obchód i niemal się nie odzywa. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby go ruszyło, gdyby znalazł któreś z nas martwe na podłodze. Poszedłby dalej i już.

Ale sprawa z Carlem ma się inaczej. Carl jest sympatyczny. Pewnie ma co najmniej sześćdziesiąt lat. Przypomina mi dziadka. Zresztą sam jest dziadkiem. Wiem, bo pokazywał mi zdjęcia wnuków. Zawsze wiadomo, kiedy nadchodzi, bo przy każdym kroku brzęczy kluczami. Można by pomyśleć, że to wkurzające, ale ja wolę słyszeć, jak mija mój pokój.

– Hej, brachu! – zawołał na mój widok. Do wszystkich się tak zwraca. Pewnie to taki zwyczaj dziadków, bo mój mówi identycznie. – Nie możesz spać?

– Musiałem tylko… eee… siku – wyjaśniłem.

Carl zadzwonił kluczami.

– Znam to. Im starszy się robisz, tym częściej musisz. Ja w nocy chodzę cztery razy. Mam pęcherz jak przeciekający dach.

– Aha – mruknąłem. No bo co można odpowiedzieć na taki tekst? „To może powinien pan nosić pieluszkę”?

– Wracaj do wyra – poradził Carl. – Ja idę na jakiś czas do tamtych państwa.

Chodziło mu o oddział dla dorosłych. Carl zawsze mówi o pacjentach jak o sąsiadach. Pewnie nie chce nas urazić – w przeciwieństwie do Franka, który kiedyś, robiąc obchód, pogwizdywał piosenkę ze *Zwariowanych melodii*.

– To na razie, brachu – rzucił Carl, odchodząc.

– Na razie – odparłem.

Chciałem wrócić do siebie, ale coś mnie podkusiło i spojrzałem w kierunku sal dziewczyn. Carl odszedł i wiedziałem, że nie wróci przez co najmniej pół godziny. O ile siostra Księżyc zostanie w dyżurce pielęgniarek, miałem trzydzieści minut swobody.

Ruszyłem, zanim zdążyłem to przemyśleć. W dziesięć sekund dotarłem do drzwi Sadie, jeszcze szybciej znalazłem się za nimi. Potem podszedłem do jej łóżka. Leżała na plecach. Ręce oparła na brzuchu, włosy rozsypały jej się po poduszce. Miała otwarte usta, ale nie chrapała. Po prostu spała.

Pochyliłem się i pocałowałem ją, jak w filmach. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie rozmarzonym wzrokiem.

– Cześć – powiedziała sennie.

– Cześć. Mogę wejść do twojego śpiwora?

W milczeniu zrobiła mi miejsce i uniosła koc. Położyłem się obok niej.

– Carl wróci za pół godziny.

Słowo daję, aż do tej chwili nie do końca zdawałem sobie sprawę, co zrobię. Dotknąłem piersi Sadie. Nawet przez podkoszulek poczułem ich kształt.

Zamarłem. Wtedy położyła swoją dłoń na mojej, jak wtedy, gdy siedzieliśmy na kanapie.

– W porządku… Możesz udawać, że jestem Allie – szepnęła.

Wsunęła moją rękę pod swój podkoszulek. Miała ciepłą skórę. Trafiłem na sutek i lekko go ścisnąłem. Sadie westchnęła cicho. Potem pokierowała moją dłoń w dół. Gdy dotknąłem krawędzi majtek, zawahałem się. Serce

mi tak łomotało, że Sadie musiała to czuć.

– W porządku – powtórzyła.

Wsunąłem palce pod materiał i dotknąłem włosów. Zdziwiłem się, że są tak szorstkie jak moje. Myślałem, że dziewczyny mają tam mięciutkie futerko, jak królicza sierść czy coś. Dziwne wrażenie. No i przyzwyczaiłem się, że w dole powinno być coś jeszcze.

Sadie jęknęła cicho i pocałowała mnie w szyję. Poczułem, że mi staje, ale nie wiedziałem, co dalej. W filmach w tym momencie następuje ściemnienie. A przecież nikt nie daje ci instrukcji obsługi. Myślałem, że kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będę wiedział, jak się zachować. Tymczasem nadeszła, a ja czułem się totalnie zagubiony.

Sadie sięgnęła do moich bokserek. Odsunąłem ją i odwróciłem się na bok.

– Co się stało? – spytała.

– Słyszę brzęk kluczy. To Carl!

– Ja nic nie słyszę. To pewnie tylko wiatr.

Znowu zaczęła mnie dotykać, ale już mi przeszło.

– Przepraszam… – powiedziałem. – Muszę iść.

Nie zaczekałem na jej reakcję, po prostu uciekłem do siebie. Oczywiście Carla nie było na korytarzu. Pobiegłem do swojej sali, jakby mnie diabli gonili, i padłem na łóżko.

DZIEŃ 27

Nie mogłem unikać Sadie w nieskończoność. Raczej nie ma się tu gdzie zaszyć. Szczerze mówiąc, wpadłem na nią od razu przy śniadaniu.

– Cześć – zacząłem, co jest tak niesamowicie inteligentnym tekstem, że już możecie oklaskiwać mój geniusz.

– Cześć – powiedziała. – Dobrze ci radzę, nie dotykaj muffinków. Wyglądają, jakby były z jagodami, ale są z rodzynkami. Ohyda.

Mówiła całkiem zwyczajnie, jakbym wczoraj w nocy nie zaliczył totalnej porażki. Pewnie chciała być po prostu miła i udawała, że nic się nie stało.

– Przepraszam za tamto – dodałem.

Na szczęście nikt oprócz nas jeszcze nie przyszedł, więc nie musiałem się martwić, że ktoś podsłucha. No, chyba że gdzieś tu poukrywano mikrofony, co – nawiasem mówiąc – wydaje mi się bardzo prawdopodobne.

– Ale że co? – spytała Sadie, grzebiąc łyżką w owsiance.

– No wiesz… – wymamrotałem niepewnie. – Że nie mogłem…

– A, to. – Sadie machnęła ręką, jakby opędzała się przed muchą. – Nie przejmuj się. Tak się wygłupialiśmy, nie? To nie nasz miesiąc miodowy.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że to nie … no wiesz… z twojego powodu czy coś.

– Wiem, wiem. Nie pomyślałam tak. To z twojego powodu.

– Wielkie dzięki. – Jakby mi dała w twarz.

– Nie zrozum mnie źle… – dodała szybko na widok mojej miny. – Chodzi o to, że powodem są twoje uczucia do Allie.

– Do Allie? – powtórzyłem głupio.

– Jasne. Kochasz ją, a ona ciebie nie. Albo coś w tym stylu. Nie do końca to rozgryzłam.

– Nie, to nie to. Ona jest tylko moją przyjaciółką.

– Przyjaciółką… – Sadie zrobiła palcami cudzysłów. – No dobrze, więc

jesteście przyjaciółmi. Ale to nie znaczy, że nie chcesz czegoś więcej. Więc w czym problem?

– Nie było żadnego problemu. Przynajmniej dopóki nie pojawił się Burke.

– Jaki znowu Burke?

– Chłopak Allie. – Po raz pierwszy od przybycia do szpitala wypowiedziałem jego imię na głos. Paliło mnie w język.

Sadie pokiwała głową.

– Już łapię. Jesteś zazdrosny, bo Burke ma Allie, a Burke zazdrości tobie, bo przyjaźnisz się z Allie. To takie typowe męskie zachowanie. On pewnie się wkurza, bo uważa, że ona spędza z tobą więcej czasu niż z nim.

– Dokładnie.

– A ona, jak to dziewczyna, uważa, że jej chłopak jest najważniejszy na świecie, więc powiedziała ci, że nie może się już z tobą spotykać tak często jak kiedyś.

– Coś w tym stylu.

– Boże, czasem mi wstyd za dziewczyny. Ten palant pewnie ją rzuci po miesiącu, a ona zostawia dla niego przyjaciela, który zadręcza się, że ona woli chodzić z innym. Co za głupia suka.

Nie odpowiedziałem. Allie nie jest głupia i nie jest suką. Choć wolałbym w to wierzyć, bo łatwiej zapomniałbym, co się między nami wydarzyło. Ale tego nie mogłem powiedzieć Sadie, bo pomyślałaby, że coś ukrywam. I miałaby rację.

– Dlatego to zrobiłeś, tak? – spytała Sadie po chwili. – Bo straciłeś przyjaciółkę?

– Mniej więcej. Nie wiem właściwie czemu, może myślałem, że wtedy będzie jej żal albo co. Głupie, nie?

– Nie głupie. Smutne. Zwłaszcza że ona nie zasługuje na takiego przyjaciela.

Sadie wstała i przytuliła mnie; kompletnie się tego nie spodziewałem. Jak już powiedziałem, moja rodzina nie specjalizuje się w przytulaskach. Amanda mnie objęła, ale to można uznać za przejaw przejściowego szaleństwa. Normalnie nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Nawet Allie przytuliła mnie najwyżej parę razy, a u niej w rodzinie to coś naturalnego. Pewnie noszę jakiś niewidzialny dla mnie znak z napisem: „Zakaz przytulania”.

Ale Sadie go olała. Objęła mnie ze wszystkich sił i pogładziła po plecach.

Nie wiedziałem, jak zareagować, więc zrobiłem to samo. Poskutkowało, bo mnie puściła.

– Przykro mi, że to cię spotkało. Ale wiesz co? Nie potrzebujesz jej. Pora, żebyś znalazł przyjaciół, którzy dostrzegają, jaki jesteś wspaniały.

– Może.

– Nie ma „może”. – Sadie wzięła mnie za ręce. Dotknęła kciukami moich przegubów i poczułem, jak pociera nimi moje blizny. Pozwoliłem jej na to.

– Chcę, żebyś zrozumiał, że możesz mi powiedzieć wszystko. Dosłownie wszystko – oznajmiła.

– Dzięki – mruknąłem. – I wzajemnie.

– Ale z was słodka para.

Odwróciłem się i spojrzałem na szczerzącego się w uśmiechu Rankina. Niósł talerz pełen jajecznicy, kiełbasek i tostów. Ja bym tyle nie zjadł przez cały dzień.

Rankin usiadł przy stole, Sadie wróciła na swoje krzesło. Szczerze mówiąc, trochę mi ulżyło, że ten gość nam przerwał. Cieszyłem się, że Sadie się nie wściekła i miło, że powiedziała to, co powiedziała, ale wykorzystałem już limit darmowych zwierzeń, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Rankin skupił się na śniadaniu, kompletnie nas ignorując. Wpatrywał się w talerz, jakby rozwiązywał jakiś problem matematyczny. W końcu wziął kiełbaskę i odgryzł jej czubek.

– Ostrożnie, Rankin – odezwała się Sadie, mrugając do mnie. – Wiesz, co mówią o bawieniu się swoją kiełbaską.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Daj spokój… – powiedziałem bezgłośnie.

Ale Rankin nie zrozumiał żartu. Zmarszczył brwi i oznajmił:

– Ja się nie bawię, ja jem. – Włożył resztę porcji do ust i zaczął przeżuwać.

Sadie spojrzała na mnie i zachichotała.

– Dziwni jesteście jacyś – mruknął Rankin i zabrał się do jajecznicy.

DZIEŃ 28

To, co się dziś wydarzyło, nie było snem. Choć bardzo bym tego chciał. To rzeczywistość. Czuję się teraz gorzej niż wtedy, kiedy przestali mi dawać Lek Na Całe Zło. O wiele gorzej. Prawie tak źle jak tej nocy, kiedy… zrobiłem, co zrobiłem.

Wczoraj poszedłem do łóżka koło jedenastej. Choć między mną a Sadie wszystko wróciło do normy, nadal czułem się głupio. Chciałem to po prostu przespać. Wiecie, jak to jest: wieczorami wszystko wydaje się fatalne, a rankiem umie się już znaleźć rozwiązanie. No, to nie zawsze prawda. W każdym razie nie w tym przypadku.

Śniło mi się, że biegnę jakąś ulicą, przy księżycu w pełni. Srebrne gwiazdy lśniły na niebie, była ciepła, piękna letnia noc. A ja po prostu biegłem. Potem rozłożyłem ręce, jak w dzieciństwie, kiedy udawałem samolot, a wiatr uniósł mnie w powietrze.

Pofrunąłem, ale inaczej niż w dotychczasowych snach. Czułem się niczym latawiec niesiony wiatrem ponad miastem. Wyglądało jak miniaturowa makieta z migoczącymi światełkami i samochodami przypominającymi świetliki. Cudowny, napawający spokojem widok. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Potem nagle sen przeskoczył o parę kadrów. Zacząłem spadać. Obudziłem się i przez chwilę miałem wrażenie, że naprawdę spadłem. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co mnie wyrwało ze snu. Potem zdałem sobie sprawę, że ktoś leży obok mnie. Ta osoba zdjęła ze mnie koc. Światło księżyca wpadało przez okno, lśniło na czyjejś nagiej skórze. Poczułem między nogami dotyk dłoni. Miałem erekcję.

– W porządku – ktoś szepnął mi do ucha.

Przez chwilę myślałem, że to Sadie i że tym razem dam radę.

Ale to był Rankin. To on leżał w moim łóżku, nagi. Sytuacja wydała się tak absurdalna, że pomyślałem, że nadal śnię. Ale czułem rękę Rankina. Czułem też jego oddech na szyi.

– No co ty?! – wykrztusiłem.

– Podoba ci się? – spytał.

– Przestań… – poprosiłem, ale nie mogłem nawet drgnąć, jakbym skamieniał. Przez chwilę wydawało mi się, że to mi się śni, że zaraz obudzę się i obok mnie nie będzie nikogo. Zamknąłem oczy.

Rankin przesunął dłonią po moim brzuchu. Miał szorstkie palce. Ale i tak łaskotało. Kiedy położył mi rękę na piersi, poczułem jego odciski od gry w futbol.

– Bardzo szybko bije ci serce – zauważył.

Pochylił się i pocałował mnie w szyję.

Chciałem mu powiedzieć, żeby przestał. Żeby wynosił się z mojego łóżka i pokoju. Ale głos jakby ugrzązł mi w gardle. Ciągle przełykałem ślinę, ale nadal nie mogłem wykrztusić choć słowa. „Obudź się – powtarzałem sobie. – Obudź się, obudź się, obudź się”.

– Możesz mnie dotknąć, jeśli chcesz – odezwał się Rankin.

Ramiona miałem wyciągnięte wzdłuż ciała – prawe przylegało do jego brzucha. Czułem skórę, a pod nią mięśnie. Rankin przysunął się bardziej i dotknąłem opuszkami jego ciała. Potwornie się bałem. Chciałem się znaleźć gdzie indziej, ale właściwie czułem też ciekawość.

Rankin naparł na mnie. Był twardy. Wyciągnąłem rękę. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może po prostu obawiałem się, co będzie, jeśli nie spróbuję… Udawałem, że nadal śnię.

Przez ciało Rankina przeszedł dreszcz i na chwilę zastygliśmy. Czułem jego tętno. Zacząłem poruszać dłonią. On znowu sięgnął między moje nogi i zrobił to samo. Żaden z nas się nie odzywał. Od czasu do czasu Rankin muskał wargami moją szyję. Nie wiem, jak długo się to wszystko działo. Miałem wrażenie, że całe godziny. Potem Rankin wyprężył się i jęknął. Moją rękę oblał gorący lepki płyn, a on chwycił mnie mocniej. Po paru sekundach i ja doszedłem.

Potem nie wiedziałem, jak się zachować. Rankin wstał, wytarł ręce w podkoszulek, który rzucił na podłogę, włożył bokserki i wyszedł bez słowa.

Kiedy zamknął drzwi, uniosłem rękę do nosa. Nadal była lepka. Czułem zapach Rankina, mieszaninę woni potu i czegoś, czego nie potrafię nazwać. Wytarłem rękę o pościel, żeby się pozbyć tego zapachu, lecz ciągle mnie otaczał.

Usiłowałem zasnąć, ale ledwie zamykałem oczy, czułem dotyk Rankina, jego oddech na szyi, jego skórę przy mojej skórze.

Dlaczego to zrobiłem? Czemu pozwoliłem mu zostać?

Nie wiem. Ale stało się, a ja czuję się potwornie. Jakbym był brudny. A najgorsze, że dziś wypada spotkanie z rodzicami. I wolę nie myśleć o tym, że zobaczę się z Rankinem. Może będziemy udawać, że do niczego między nami nie doszło. On to potrafi, nie? A może rzeczywiście nic się nie stało. Może to tylko chory sen, z którego się obudzę.

DZIEŃ 29

Słowo daję, nie wiem, jak dziś poszło z rodzicami. Pewnie dobrze. Rozmawialiśmy o tym, jak się kochamy i jak to świetnie, że za parę tygodni wrócę do domu. Nie odzywałem się często i przynajmniej ten jeden raz Kac mnie nie naciskał. Może zauważył, że jestem zmęczony. Na pewno później zacznie o to wypytywać.

Mniejsza z tym. Gorzej, że jestem trochę rozkojarzony. Z oczywistych względów starałem się unikać Rankina, ale wpadłem na niego rano w łazience. Naprawdę muszę kogoś poprosić, żeby przydzielili mi osobną. Z tą wspólną tylko same problemy.

Tak bardzo nie chciałem spotkać Rankina, że rozważałem rezygnację z prysznica. Ale jeśli tutaj się nie myjesz, to ktoś może ci zarzucić, że znowu wpadasz w depresję i podda cię torturze gównianych pytań w stylu: „Czy coś cię gnębi, Jeff?”. Komu to potrzebne? No i nie chciałem spotykać się z rodzicami, cuchnąc czyimś ptakiem.

Zatem poszedłem do łazienki. Rankin stał przed kabiną prysznica, przepasany ręcznikiem, i czekał, aż woda się nagrzeje. Tutaj trwa to latami. Daję słowo, w piwnicy chyba trzymają jakieś trzy staruszki, które grzeją wodę na ogniu. A zanim dotrze rurami na piętro, robi się letnia.

– Cześć – powiedział Rankin, jakby gdyby nigdy nic.

– Cześć – odparłem idiotycznie. Ale co właściwie miałem powiedzieć? „Dzięki za wizytę”? „Przepraszam, że nie zapewniłem czystej pościeli”? No co?

Już chciałem się odwrócić i odejść, ale Rankin zrzucił ręcznik na podłogę. Spojrzał na mnie, wskazał głową prysznic i wszedł do kabiny.

Przysięgam, nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Jakby coś przejęło kontrolę nad moim ciałem. Rankin zostawił zasłonkę uchyloną i zanim się zorientowałem, co się dzieje, poszedłem za nim i zasunąłem ją za sobą.

Przez jakiś czas tylko staliśmy pod strumieniem wody. Kabiny są nie za duże, więc byliśmy bardzo blisko siebie. Spojrzałem na jego pierś –

zauważyłem, że jest bardzo owłosiona – starając się o niczym nie myśleć. Potem Rankin mnie pocałował. Jego wargi naparły na moje. Na policzku poczułem drapanie jego zarostu.

Przyparł mnie do ściany. Kafelki były zimne, więc chciałem się odsunąć, ale był za silny. Położyłem ręce na jego piersi, żeby go odepchnąć, ale ledwie dotknąłem jego skóry, poczułem się tak, jakby ktoś nas skleił. Chwycił mnie za pośladki i mocniej przyciągnął do siebie, nie przestając całować.

Poczułem, że stwardniał. Sięgnąłem tam dłonią.

– Weź go do ust – powiedział Rankin.

Myślałem, że się przesłyszałem. Wtedy położył mi ręce na ramionach i lekko mnie popchnął, tak że opadłem na kolana. Woda spływała mi po twarzy, a ja myślałem, jak wielkie wydaje się TO z bliska.

Nie wiem, dlaczego nie wstałem i nie wyszedłem. Przecież Rankin mnie nie przykuł. Strasznie dziwnie się czułem, klęcząc pod prysznicem przed drugim facetem. I z jakiegoś powodu ciągle zadawałem sobie pytanie: „Ciekawe, jak to smakuje?”.

Otworzyłem usta i dotknąłem go wargami. Skóra miała słonawy smak i trochę się lepiła. Rankin wziął moją głowę w dłonie i wsunął się głębiej. Zakrztusiłem się. Wtedy on się cofnął. Potem spróbowałem jeszcze raz.

Niedługo później Rankin jęknął, a ja poczułem w ustach coś ciepłego i słonego. Zrozumiałem, co się stało. Poczekałem, aż się wycofa, i splunąłem.

– Robię to czasem z jednym kumplem – rzucił Rankin.

Zaczął się mydlić pod pachami.

Nie odpowiedziałem. Wstałem. Myślałem, że coś zrobi, ale on tylko rzucił:

– Idź do innej kabiny, bo mogą tu zajrzeć.

– Dobra – mruknąłem i wyszedłem.

Zadrżałem, kiedy otoczyło mnie zimne powietrze. Odkręciłem kurek w prysznicu obok. Nie czekałem nawet, aż woda się ogrzeje. Wszedłem i stanąłem tuż pod ścianą, żeby zimne krople na mnie nie pryskały, ale oczywiście pryskały. Czułem się, jakby mnie zaskoczyła letnia burza. Czasem kiedy wybierasz się na letnią przejażdżkę rowerem, nagle chlusta deszcz i musisz go przeczekać pod drzewem. Podkoszulek przemaka ci na wylot i myślisz tylko o powrocie do domu i przebraniu się w coś suchego.

Rankin nucił. Słyszałem go przez przepierzenie. Najpierw sądziłem, że to jakieś przypadkowe dźwięki. Woda powoli stawała się ciepła – a może to ja

przyzwyczajałem się do jej temperatury. Nagle coś w tych fałszach Rankina wydało mi się znajome. To była melodia London Bridge, tylko Rankin trochę ją przekręcał. Jak dziecko, które nie do końca zna piosenkę. Namydliłem się, próbując odsunąć myśli o Rankinie, ale nadal czułem jego smak. Żałowałem, że nie mam jakiegoś płynu do ust. Wypłukałem je wodą, ale bez skutku. Było tak jak z pieprzem – nieważne, co wypijesz, język i tak jest podrażniony.

Po paru minutach Rankin przestał nucić i wyszedł. Słyszałem, jak się wyciera. Opuścił łazienkę bez słowa, jakby nic się nie wydarzyło. Znowu.

Długo stałem w kabinie. Z jakiegoś powodu nie mogłem wyrzucić z głowy tej głupiej piosenki. „Most londyński wali się. Wali się. Wali się – kołatało mi w głowie. – Most londyński wali się, dobra pani".

W dzieciństwie miałem płytę z tą rymowanką. Puszczałem ją bez końca. Teraz zacząłem śpiewać dalej:

– Trzeba zamknąć go na klucz, go na klucz, go na klucz. Trzeba zamknąć go na klucz, dobra pani.

Nie wiem dlaczego, ale te słowa wycisnęły mi łzy z oczu. Osunąłem się na podłogę i siedziałem pod cholernym prysznicem, płacząc i śpiewając w kółko tę głupią piosenkę.

DZIEŃ 30

Chyba już wiem, na czym polega świr Rankina. To projekcja, czy jak to się nazywa. Tak się dzieje, kiedy ktoś przypisuje innej osobie własne uczucia. Ja osobiście nazywam to chamstwem, ale pewnie lekarze potrzebowali bardziej oficjalnego terminu.

Dziś rano poszedłem do łazienki na siku. Zwlekałem z tym, ile mogłem. No wiecie, czasem jest tak, że z jakiegoś powodu nie chce się wstać, więc leży się w nadziei, że pęcherz magicznie przestanie doskwierać. Ale cudów nie ma i w końcu trzeba się ruszyć, bo sytuacja robi się nie do zniesienia.

Wytrzymałem jakieś pół godziny. Potem miałem do wyboru wstać albo zsikać się do łóżka. Szczerze mówiąc, ta druga możliwość była kusząca, ale niestety, wybrałem pierwszą.

No i natknąłem się na Rankina. Nie wiem, jak ten człowiek to robi, ale zawsze jest w łazience, kiedy muszę z niej skorzystać. Zaczyna mnie to przerażać. Jest jak pies, który wyczuwa u ludzi nadciągający atak padaczki. Z tym że Rankin wie, kiedy zechce mi się sikać.

Golił się przy umywalce. Nie patrząc na niego, podszedłem do pisuaru. Rankin był dosłownie za moimi plecami. Przez chwilę sądziłem, że znowu się do mnie przyczepi, ale się nie ruszył.

Skończyłem i ruszyłem do umywalki umyć ręce. Doszedłem do wniosku, że powinienem coś powiedzieć, bo Rankin wyglądał na trochę wkurzonego.

– Hej, co do wczoraj… – zacząłem. – To nic takiego. Nie martw się. Nikomu o tobie nie powiem.

Myślałem, że postąpiłem wspaniałomyślnie, no bo wiecie, przecież to on się zachował jak pedał. Nie ja zacząłem, jasne?

– O mnie? – Zrobił tę swoją standardową minę, którą ma wtedy, kiedy nie potrafi czegoś pojąć. – Ale czego?

– No że… wiesz. O tym, co zrobiłeś.

Spojrzał na mnie, jakbym go nazwał mordercą szczeniaczków albo jeszcze

gorzej.

– Ja? Właśnie chciałem powiedzieć, że nikomu nie wspomnę o tobie!

No nie do wiary. Przecież to on przyszedł do mnie! To on mnie dotykał! Nie ja jego! Kiedy to mu wytknąłem, pokręcił głową.

– No co ty. Nie jestem taki. Tylko się wygłupiałem. Przecież nie ma tu dziewczyn, z którymi mógłbym to robić. Gdybyśmy tu nie trafili, nigdy by do tego nie doszło.

– Tu SĄ dziewczyny – wycedziłem.

Wściekłem się i chciałem go trochę podpuścić.

Rankin prychnął.

– Żadnej nawet kijem bym nie tknął. Wszystkie porąbane.

– A ty to nie? A ja? Jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło, wszyscy jesteśmy porąbani.

– Nie przesadzaj. Po prostu nic się nie wydarzyło, nie ma się czym podniecać, co nie?

– Właśnie – mruknąłem, myjąc ręce mniej więcej po raz szósty. – No dobrze, i tak nie zamierzałem nic mówić.

Rankin uśmiechnął się z zażenowaniem.

– No ja też nie. To co, spoko?

Skinąłem głową i zakręciłem wodę. Rankin palnął mnie w ramię, jakbyśmy właśnie strzelili gola czy coś. Potem znowu zaczął się golić, a ja ruszyłem do siebie. Odczekałem, by zyskać pewność, że wyszedł, i wróciłem się wykąpać.

Nadal nie mogę uwierzyć, że według niego to ja mam problem. No dobra, może to ja go zaspokoiłem, ale to on tego chciał. Nie ja. Zrobiłem, co zrobiłem, bo jemu zależało.

Nie chcę już o tym myśleć, za bardzo się wkurzam. Później to przetrawię. Poza tym mam co innego na głowie. Kwestię mojego wyjścia stąd.

Dziś podczas sesji Kac przypomniał mi, że minęły już dwie trzecie mojego czterdziestopięciodniowego pobytu. Z jednej strony, wydaje się, że czas mknie jak opętany. Z drugiej, mam wrażenie, że siedzę tu trzydzieści lat, nie dni.

– Wczoraj, kiedy rozmawialiśmy o tym z rodzicami, jakoś się nie cieszyłeś. Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami. Nie znalazłem odpowiedzi. Uświadomiłem sobie,

że czasami chciałbym zostać tu na zawsze. Czuję się jak w twierdzy otoczonej fosą. Jasne, jest to zamek zamieszkany przez szaleńców, ale przynajmniej nikt niepowołany nie wejdzie. Oczywiście my też nie możemy wyjść, ale właściwie czego mielibyśmy szukać na zewnątrz? Świat może nas zranić na zbyt wiele sposobów. Tutaj nie ma się czym martwić. Najwyżej tym, że zacznie cię molestować jakiś osiłek. Ale jak powiedziałem, o tym nie zamierzam myśleć.

Kac strzelił następnym pytaniem.

– Jak widzisz swoje życie po wyjściu stąd?

Zastanawiałem się przez minutę.

– Chciałbym się tak wzbogacić, żeby kupić prywatną wyspę i zamieszkać na niej zupełnie sam.

Wiecie, jak zareagował?

– A muzyka? Filmy?

– Będę je ściągać z internetu. Jedzenie też zamówię. Teraz można tak ze wszystkim. Wie pan, że w sieci da się kupić nawet czarne wdowy?

To prawda. Pewnego razu Amanda i ja zastanawialiśmy się, jak popełnić morderstwo doskonałe. Czysto hipotetycznie, ma się rozumieć. Wystarczy mi tych kłopotów, które mam, nie zamierzam zostać psychopatą. Albo socjopatą. Nieważne. Amanda wpadła na pomysł, że można kupić kilka czarnych wdów, włożyć je do pudełka i przesłać ofierze. I jak się okazuje, to wykonalne. Nawet wychodzi dość tanio, po trzy dolary sztuka.

– Można kupić nawet przyjaciół? – spytał Kac.

– Jak pan sądzi, na co poświęca się czas, siedząc w internecie? W tym cały sens sieci – można udawać kogoś innego, by ludzie cię lubili. Praktycznie wszyscy z mojej szkoły mają własne strony. I niech mi pan wierzy, prezentują się na nich o wiele ciekawiej niż w rzeczywistości. Serio, czy Jamie Kazinsky naprawdę chce komuś wmówić, że fotki, które zrobił jej kuzyn idiotenkamerą, zostały użyte w wenezuelskim wydaniu Seventeen?

– A miłość? – spytał Kac, ignorując moje pytanie.

Weszło mu to już w nawyk i trochę mnie wkurza. Osobiście uważam, że to chamstwo.

– Co z nią? – spytałem.

– Jeśli znajdziesz się zupełnie sam na wyspie, nie znajdziesz nikogo, kto cię pokocha.

– Jakoś przeżyję.

– Nie chcesz się nigdy zakochać?

Wiedziałem, dokąd zmierza. Znowu Allie. Kurczę, uparciuszek. Pewnie wydaje mu się, że kiedyś mnie podejdzie w chwili słabości i wydrze prawdę. Tylko że nie ma czego wydzierać.

– A co to właściwie jest miłość? – spytałem. – To wymysł, który próbują nam wcisnąć producenci kartek walentynkowych. Tak między nami, wolę xboksa.

Na szczęście moja sesja już dobiegła końca i uciekłem na oddział, gdzie na ogół nic mi nie grozi. Pomijając Rankina. Ale nigdzie go nie widziałem. Pewnie siedział u siebie, zajęty lekturą sportowej gazety i niebyciem gejem.

Później opowiedziałem Sadie o mojej sesji z Kacem.

– Skąd ta jego obsesja na punkcie miłości? – spytałem.

– Nie wiem. Ale chyba miłość jest naprawdę ważna.

Przez chwilę sądziłem, że ze mnie żartuje. Potem obejrzała się, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje, i szepnęła:

– Chcesz coś zobaczyć?

Nie czekała na odpowiedź. Wyjęła coś z kieszeni – złożoną kartkę. Rozprostowała ją i mi podała.

Był to wycinek z gazety. Nagłówek głosił: „Bohater ratuje dziewczynę przed śmiercią w wodnej kipieli”.

– To o tobie! – zgadłem.

Sadie pokiwała głową.

– Aha. Wycięłam go i zachowałam. W domu mam tego dużo więcej, w takim samobójczym pamiętniku. Ale ten artykuł lubię najbardziej.

Obok tekstu znajdowało się zdjęcie mężczyzny o pyzatej, wesołej twarzy i jasnoniebieskich oczach. Zaczynał łysieć i miał gęste wąsy.

– To Sam – wyjaśniła Sadie, przyglądając się mojej reakcji.

– Ten, który cię uratował?

Skinęła głową.

– Mój anioł stróż.

Myślałem, że się natrząsa, ale spojrzałem jej w oczy i zrozumiałem, że prawda jest inna. Wpatrywała się w zdjęcie Sama jak w święty obrazek. Trochę mnie to przestraszyło.

– Nie przygnębia cię ciągłe czytanie tego artykułu? – spytałem.

– Nie. – Spojrzała na mnie, jakby dziwiła się, że w ogóle pytam. – Uszczęśliwia mnie. – Podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je rękami. – Czuję się kochana. Kochał mnie na tyle, żeby mnie uratować.

Popatrzyłem jeszcze raz na Sama. Naprawdę wierzyła, że ją kochał? Nawet jej nie znał. Była dla niego kimś, kto prostu potrzebuje ratunku. A ona traktowała go jak ojca albo chłopaka.

Złożyłem kartkę i oddałem ją Sadie. Zanim schowała ją do kieszeni, pocałowała ją jak talizman.

Nadal nie mogę uwierzyć, że to przy sobie nosi. To jakieś wariactwo. Nie rozumiem, dlaczego sobie wmówiła, że ten facet – Sam – ją kocha. Po prostu postąpił, jak należy. Większość z nas próbowałaby pomóc tonącemu.

A może nie? Może niektórzy tylko by patrzyli? Pewnie dlatego Sadie uważa, że ten facet jest wyjątkowy. Ale i tak dziwne, że tak się w nim zakochała. Nie wiem, kto ma większego świra, ona czy Rankin. W tej chwili dałbym im miejsce ex aequo.

DZIEŃ 31

Gdybyś mógł w sobie zmienić jedną rzecz, co by to było? Tylko jedną. Wybierz cokolwiek – cechę fizyczną, którą chcesz zyskać albo jej się pozbyć, talent, którego pragniesz, cokolwiek. Ale tylko jedną rzecz…

O tym rozmawialiśmy dziś na sesji grupowej. Można by pomyśleć, że wszyscy wybraliśmy coś, za sprawą czego się tu znaleźliśmy – ale przeważnie nie. Juliet chciała umieć grać na wiolonczeli, żeby budzić w innych to, co sama czuje, gdy słyszy dźwięk tego instrumentu. Sadie – rozmawiać ze zmarłymi. Rankin marzył o idealnym rzucie podkręconym. A ja oznajmiłem, że chciałbym się pozbyć lęku wysokości.

Później, na sesji indywidualnej, Kac spytał, czy moja wypowiedź różniła się czymś od pozostałych. Namyślałem się długo, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Tylko ty chciałeś się czegoś pozbyć – oświecił mnie. – Inni woleli coś zyskać, ale ty postanowiłeś stracić. Dlaczego powiedziałeś o lęku wysokości?

– Nie wiem. Bo to pierwsze przyszło mi do głowy.

I w dodatku to prawda. Mam lęk wysokości. Nie lubię nawet wjeżdżać windą wyżej niż na szóste piętro.

– Dlaczego właśnie temu lękowi poświęciłbyś swoją jedyną szansę? – spytał Kac.

Musiałem się zastanowić.

– Chyba przez niego nie mogę robić tego, co chcę.

Kac spytał, czego konkretnie, a ja odparłem, że zawsze pragnąłem spróbować skoków ze spadochronem albo nawet na bungee.

– Co cię tak przeraża w wysokości?

Co za debilne pytanie. Oczywiście upadek. Boję się, że spadnę. Pewnie dlatego tyle razy mi się to śniło. Ale wyjaśniłem, że boję się, iż nagle najdzie mnie nieopanowana pokusa, by wspiąć się na balustradę mostu albo skoczyć w przepaść, zanim ktoś mnie powstrzyma.

Kac zapisał coś w notesie – co, jak już wiem, oznacza, że wyrwało mi się coś interesującego. Zapytałem więc, dlaczego uważa moją odpowiedź za godną zanotowania. Skoro on robi wiwisekcję mojego życia, ja mam prawo o tym wiedzieć.

– Dlaczego sądzisz, że mógłbyś poczuć pokusę skoczenia? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Pewnie dlatego, że czasem miło jest przestać się kontrolować – oznajmiłem po namyśle. – Czuję się, jakbym zawsze starał się panować nad swoim życiem. Czasami chciałbym po prostu poddać się i spaść.

– Nawet gdyby to znaczyło, że ucierpisz?

– Nie myślę o tym. Myślę tylko o spadaniu, bez spadochronu, siatki zabezpieczającej czy jakiejś innej asekuracji. I to mnie przeraża. Dlatego wolałbym choć raz się poddać.

– A poddać się miłości?

Co jest, miłość to temat miesiąca? Nie wytrzymał długo bez gadania o niej.

– Mam tylko piętnaście lat.

– Wiele osób zakochuje się po raz pierwszy w twoim wieku.

– Dlaczego pan pyta? Ma pan córkę na wydaniu czy jak?

Kac poprawił okulary.

– Nie.

– A gdyby pan miał? Chciałby pan, żeby umawiała się z takim gościem jak ja?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie mam córki i nie wiem, co bym czuł, gdyby się umawiała z kimkolwiek. To zagadnienie czysto hipotetyczne.

– No to tak czysto hipotetycznie: chciałby pan, żeby umawiała się z kimś takim jak ja? Z kimś, kto był w TAKIM szpitalu?

Kac nagryzmolił coś notesie.

– Boisz się, że nikt się z tobą nie umówi, ponieważ tu byłeś?

– Ja spytałem pierwszy.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Pewnie stoczyliśmy kolejną rundę gry w wariacką wytrzymałość. Tym razem to on mrugnął pierwszy.

– Chciałbym, żeby moja córka spotykała się z tym, kto ją najbardziej uszczęśliwi.

– Nawet jeśli to wariat? Ktoś taki, jak ja?

– Jeśli dobrze pamiętam, poświęciłeś sporo energii na przekonywanie mnie, że nie jesteś wariatem – przypomniał mi.

– Mówię hipotetycznie. No więc?

Kac westchnął.

– Nie wiem – przyznał.

Roześmiałem się.

– Tak sądziłem.

– A teraz odpowiedz na moje pytanie. Boisz się, że nikt nie zechce z tobą być, jeśli się dowie, że spędziłeś tu trochę czasu?

– Nie obchodzi mnie, co myślą ludzie – oświadczyłem.

– A co ty myślisz?

– Nie zastanawiałem się nad tym wiele. Wróćmy do pana.

– A Allie? Uważasz, że nadal chce się z tobą przyjaźnić?

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Allie zawsze powtarzała, że pozostaniemy przyjaciółmi, choćby nie wiadomo co. Czy to nadal prawda?

– O to trzeba spytać ją – mruknąłem.

Wypuścił mnie parę minut później i nie poruszył więcej tematu miłości, co przyjąłem z prawdziwą ulgą, bo już się nim zmęczyłem.

Wracając do pytania o to, co bym w sobie zmienił – tak naprawdę nie obchodzi mnie lęk wysokości. Przecież nie obrałem sobie za cel zostanie linoskoczkiem czy czegoś w tym stylu. Zabawne, że stary dobry Kac tak przeżywa coś, co powiedziałem na odczepnego.

Tak naprawdę chciałbym mieć ogon. Serio. Nie psi ani świński, nic z tych rzeczy. Chcę ogon małpy. Taki długi, którym można łapać przedmioty i na którym bym się huśtał. Uważam, że to by był czad!

DZIEŃ 32

– Co dziś dają w ŚwirTV? – spytałem Sadie.

Jak zwykle siedzieliśmy w pokoju wypoczynkowym. Wszyscy poszli już spać. Jeśli nie liczyć siostry Księżyc, mieliśmy całe pomieszczenie dla siebie. Allie i ja też czasem oglądamy do późna filmy. Oglądaliśmy…

Sadie skakała po kanałach.

– Mamy… mmm… coś o wampirach, dokument o wielorybach albo telezakupy.

– Zdecydowanie telezakupy – oznajmiłem.

Sadie odłożyła pilot. Prowadząca – kobieta o porażająco rudych włosach i jeszcze bardziej porażającym uśmiechu – prezentowała jakąś brzydką biżuterię. Unosiła w górę pierścień z gigantyczną cyrkonią.

– Za jedyne dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć możecie mieć to prawdziwe sztuczne gówno, na które nikt się nie nabierze.

– Tak nie można! – przerwała mi Sadie. – Masz wymyślać coś zupełnie innego.

– Ona mówi coś kompletnie innego – sprzeciwiłem się. – Chce nam wmówić, że kupując ten pierścionek, naprawimy swoje życie.

– Może i tak.

– Jasne – prychnąłem.

– Nie, naprawdę. Może ktoś przez całe życie marzył o pierścionku. A teraz dostanie go za dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Plus koszt przesyłki – uzupełniłem. – Co w ciebie wstąpiło?

– Nie wiem. Może zbliża mi się okres albo co. Po prostu smutno mi patrzeć na ten pierścionek i myśleć, że gdzieś istnieje jakaś osoba, która chciałaby go mieć. I naprawdę wolałabym, żeby zmienił jej życie na lepsze.

– Wzięłaś wszystkie lekarstwa?

Sadie wyłączyła telewizor.

– Po prostu porozmawiajmy.

– O czym?

– Nie wiem. O tobie, o mnie. O nas. O czymkolwiek.

– Wiem, co się dzieje. Kac włamał ci się do mózgu i zmienił cię w swoją niewolnicę.

– Taaa, jasne. – Sadie klepnęła mnie po nodze. – Nikt tu nie rozmawia. Wszyscy udajemy, ale tego nie robimy. – Wskazała telewizor. – Zachowujemy się jak ci ludzie. Otwieramy usta, ale tak naprawdę milczymy.

Nigdy dotąd tak się nie zachowywała i – szczerze mówiąc – trochę mnie to przestraszyło. No bo na Sadie zawsze można liczyć, że powie coś sarkastycznego i zabawnego. A teraz wydawała się bohaterką telewizyjnego talk-show.

– No, śmiało – powiedziała. – Wyznaj mi swój sekret.

– Bawimy się w tajemnice? Co dalej, mam zakręcić butelką?

– Wyznaj mi swój sekret – powtórzyła, dźgając mnie palcem w udo przy każdym słowie.

– Au! Dobrze, dobrze. Wygrałaś. Wyznam ci sekret. – I rzuciłem, nie myśląc: – Macałem się z Rankinem.

Nie do wiary, że to powiedziałem. Nie zamierzałem. NIE CHCIAŁEM. Rozważałem raczej wyjawienie jej czegoś o mnie i Allie. Ale powiedziałem akurat to. I znieruchomiałem, pragnąc zapaść się pod ziemię.

– Macałeś się z Rankinem? – spytała.

Omal nie wykręciłem się, że żartowałem. Wiedziałem, że mi uwierzy, jeśli wybuchnę śmiechem. Ale tego nie zrobiłem. Tylko pokiwałem głową. Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Przecież przyznałem się jej do najgorszej rzeczy, jaką zrobiłem w życiu.

A wiecie, co ona zrobiła? Przewróciła oczami.

– To ma być sekret?

– No tak…

– Co to znaczy, że się macaliście?

– No… – zacząłem i urwałem. – Po prostu… – Omal nie powiedziałem, że zrobiłem Rankinowi laskę. Ale nie mogłem tego wykrztusić. Więc poruszyłem ręką w górę i dół, jakbym… no, jakbym robił to, co za pierwszym razem.

– Waliliście sobie konia? – zgadła.

Przytaknąłem.

– Oooo… – szepnęła, robiąc wielkie oczy. Przez chwilę myślałem, że nią wstrząsnąłem, i zacząłem panikować. Potem parsknęła śmiechem. – Przerywamy program, żeby podać wiadomości z ostatniej chwili! Faceci marszczą freda! Wracamy po przerwie.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Myślałem, że chociaż trochę się zdziwi. Nie ruszyło jej, że przyłapałem Rankina na zabawianiu się ze sobą, ale teraz była mowa o czym innym. Kompletnie innym. Teraz wyjawiłem, że obaj zabawialiśmy się ze sobą. Ja tu odchodzę od zmysłów na myśl o tym, co nawyprawiałem, a Sadie reaguje, jakby to nie było nic takiego. Niemal zacząłem ją przepraszać, że przynudzam.

– Chodziło mi o tajemnicę, która dotyczy ciebie – wyjaśniła Sadie.

– No przecież dotyczy!

– Nie. Chodzi o coś, co według ciebie przeraziłoby innych, gdyby się dowiedzieli. Wierz mi, wszyscy tutaj robili dużo dziwniejsze rzeczy.

– Na przykład?

– Pamiętasz Alice?

Jak mógłbym zapomnieć? Skinąłem głową.

– Łapała muchy… i zjadała je. A kiedy byłam tu poprzednio, poznałam takiego Benny'ego. Lubił chować różne przedmioty w tyłku. Wierz mi, to, co zrobiłeś z Rankinem, nie zasługuje na miano sekretu.

Gapiłem się na nią oniemiały.

– Przykro mi – powiedziałem. – Nie mam nic innego.

Kłamałem, ale wolałem przystopować, póki czułem się dość dobrze. Bałem się, że jeśli wyznam Sadie wszystko, nagle to, co zaszło między mną a Rankinem, przestanie się wydawać takie „normalne".

– A co wydarzyło się między tobą i Allie?

– Jak to?

– No weź, nie udawaj. Wiem, że zrobiłeś, co zrobiłeś, bo coś się między wami wydarzyło. No to co? Ufasz mi?

– Nie mam o czym mówić – oznajmiłem.

Tak między nami – trochę wkurzyło mnie, że sprawa z Rankinem nie wydała jej się prawdziwym sekretem. Może dla niej to żadne wielkie halo i może już nie chciałem z tego powodu umrzeć ze wstydu, ale to jednak moja

tajemnica.

Sadie nie dała się oszukać.

– Owszem, jest – uparła się. – No co? Przespałeś się z nią i spanikowała? Pobiłeś się o nią z tym jej facetem? Tak?

– Mówiłem ci, to nie ma nic wspólnego z nią.

Myślałem, że jeszcze ponaciska, ale odpuściła. Tylko przyglądała mi się długo, a ja jej. Dzięki codziennemu treningowi na sesjach z doktorkiem nabrałem wprawy w pojedynkach na spojrzenia. Sekret tkwi w tym, żeby patrzeć na kogoś, tak naprawdę go nie widząc.

I w ten sposób pokonałem Sadie. Po chwili odwróciła się i włączyła telewizor, jak zwykle bez dźwięku. Siedzieliśmy i patrzyliśmy, jak prowadząca rusza ustami. Teraz zachwalała naszyjnik ze sztucznych pereł.

Sadie milczała tak długo, że się przestraszyłem, czy nie jest na mnie obrażona. Już miałem coś powiedzieć, kiedy w końcu się odezwała:

– Pamiętasz tę kreskówkę, którą puszczali w sobotnie ranki? Tę z superbohaterami? Wonder Woman, Aquamanem, Supermanem?

– *Superprzyjaciół?* Tak, i co?

Sadie znowu odwróciła się do telewizora.

– Wszyscy przed przemianą wyglądali jak normalni ludzie, zanim zyskali swoje moce, prawda? I łączyło ich to, że zmagali się z czymś, czego w sobie nie znosili. Na przykład Batman walczył z mroczną stroną swojej natury.

– Ale Wonder Woman urodziła się z supermocami. Tak jak Superman.

– No dobrze. Złe przykłady. Ale pomyśl o tych najbardziej interesujących. Większość żyła normalnie, dopóki nie zmieniła się w cudaka. Na przykład Wolverine. Powstał w wyniku eksperymentu. A gość, który potrafił się zmieniać w Hulka, nienawidził tego, bo wtedy wpadał w obłęd. No i bolało.

– Pewnie tak – przyznałem.

– W dzieciństwie lubiłam oglądać tę kreskówkę. Siedziałam w piżamie na kanapie i marzyłam, że pewnego dnia po prostu zmienię się w inną osobę. Myślałam, że to wyjaśni wszystko. No wiesz, dlaczego czuję się inna. Odkryję, że moja matka pochodzi z innej planety albo że w dzieciństwie ukąsił mnie radioaktywny pająk i wszystko skończy się dobrze, bo zacznę fruwać albo przenikać wzrokiem ściany.

Zamilkła i przez jakiś czas patrzyła tępo na ekran. Doszedłem do wniosku, że pora coś powiedzieć, ale wtedy znowu się odezwała.

– Ale nic takiego się nie zdarzyło. Pozostałam sobą i pewnego dnia dotarło do mnie, że ci superbohaterzy walczą głównie sami ze sobą, a oddychanie pod wodą albo strzelanie ogniem z palców nie rekompensuje popaprania. To tylko nagroda pocieszenia. Dostajesz piękny strój i niewidzialny odrzutowiec za to, że nic innego ci się nie udało.

Twarz miała całkiem bez wyrazu, jakby dusza opuściła jej ciało. Trochę się przestraszyłem.

– Chyba po prostu chcę w końcu dostać mój niewidzialny odrzutowiec – powiedziała.

DZIEŃ 33

Teraz wiem na pewno, że śnię, bo to, co się dziś wydarzyło, nie może być rzeczywiste. Po prostu nie.

Nawet nie wiem, od czego zacząć. Zeszłej nocy Rankin przyszedł do mojej sali. Właściwie nie w nocy, a bardzo wczesnym rankiem, pewnie gdzieś koło drugiej. Obudziłem się nagle, bo poczułem, że ktoś napiera na moje plecy. To był Rankin. Ściągnął mi bokserki. Nie do końca oprzytomniałem, więc nie od razu zrozumiałem, co się dzieje. A on mnie objął i przyciągnął do siebie. Jego oddech łaskotał mnie w ucho.

Możecie nie wierzyć, ale to jeszcze nic. Tym bym się nie przejął. Prawdopodobnie. Niestety, to dopiero początek.

Jak powiedziałem, Rankin przygarnął mnie do siebie i usiłował… nie, nie zdołam tego nawet opisać. Prawie mu się udało. Jak tylko zrozumiałem, do czego zmierza, natychmiast oprzytomniałem. Chciałem kazać mu, żeby przestał.

I wtedy rozległ się wrzask.

Początkowo myślałem, że to ja krzyczę. Ale uświadomiłem sobie, że to kobiecy głos. Rankin przycisnął mnie do siebie i zasłonił mi usta ręką. Może też sądził, że to ja wrzeszczę.

Sytuacja była bardzo dziwna. Usiłowałem odgadnąć, kto to, a jednocześnie zepchnąć z siebie Rankina. Byłem zdezorientowany, bo nie wiedziałem, co ważniejsze – uwolnienie się czy odkrycie, co zaszło.

Wtedy zapaliła się lampa pod sufitem, jakby fajerwerki eksplodowały nad naszymi głowami. Oślepiony, nic nie widziałem. Rankin stoczył się ze mnie i usiadł na skraju łóżka, zasłaniając się rękami. W drzwiach stali Carl i siostra Księżyc. Krzyk ucichł, jakby Carl go wyłączył.

– Okryj się, Jeff – nakazała pielęgniarka.

Nie krzyczała ani nic. Zachowywała się bardzo spokojnie.

Włożyłem bokserki. Rankin podniósł swoje z podłogi i też się ubrał.

Zerknąłem na siostrę Księżyc, która spuściła wzrok, żeby go nie krępować. Za to Carl patrzył wprost na nas. Gapił się i kręcił głową, jakbyśmy byli jego wnukami, którzy go bardzo rozczarowali.

– Rankin, wracaj do siebie! – rozkazała siostra Księżyc.

Wyszedł, nawet na mnie nie spojrzawszy. Nie patrzył też na pielęgniarkę ani Carla. Minął ich szybkim krokiem i zniknął. Z mocno bijącym sercem podniosłem wzrok na siostrę Księżyc.

– Co jest? – spytałem. – Kto krzyczał?

– Martha.

Przestraszyłem się na serio.

– Coś się stało? Jest ranna? – Ruszyłem do drzwi.

– Nie martw się o nią. – Siostra Księżyc zatrzymała mnie gestem. – Miała zły sen, to wszystko.

Skinąłem głową. Dobrze się znam na koszmarach, które sprawiają, że krzyczysz. Potem przypomniałem sobie, dlaczego Carl i siostra Księżyc w ogóle znaleźli się w moim pokoju.

– My tylko… – zacząłem.

– Doktor Katzrupus porozmawia z tobą rano – przerwała mi pielęgniarka. – Dobranoc.

I tyle. Samo „dobranoc”. Jakby przyszła mnie utulić do snu. Żadnych wrzasków. Żadnego: „Bardzo mnie rozczarowałeś”. Nic. I wiecie co? To było gorsze. Gdyby krzyczała albo okazała niesmak czy chociaż zdenerwowanie, poczułbym się lepiej. A ona zachowała się, jakby to jej nie obchodziło. Jakby nie miało znaczenia.

Może i tak jest. Już nic nie wiem. Może Sadie ma rację i faceci czasem tak robią. Może to rzeczywiście nic nie znaczy. Ale naprawdę wolałbym nie omawiać sprawy z Kacem. To dokładnie takie wydarzenie, które on zapisuje w tym swoim głupim notesie.

Kiedy w końcu zasnąłem, przyśniło mi się coś dziwacznego.

Najpierw trwała sesja grupowa – byli na niej wszyscy, nawet ci, którzy odeszli. Kac kazał nam chodzić w kółko i wyznawać, co budzi nasz największy strach. Alice powiedziała, że samotność. Bone – że samochody, co wydawało mi się dziwne, dopóki nie przypomniałem sobie o tej stacji benzynowej, na której miał pracować. Juliet bała się zębów, ale w jej przypadku nic mnie nie zaskoczy. Rankin oznajmił, że przeraża go przegrana. Martha milczała.

Sadie oświadczyła, że nie boi się niczego i jej uwierzyłem. Otaczało ją ochronne pole siłowe, na które my musieliśmy uważać. W pewnym momencie spojrzała na mnie i dodała:

– Kiedy zrozumiesz, że po śmierci niczego się nie boisz, przestaniesz się martwić.

Przyszła pora na mnie, a ja nie potrafiłem nic wykrztusić. Powiodłem wzrokiem po zebranych i dotarło do mnie, jacy wszyscy są porąbani. Potem zerknąłem na swoje nadgarstki. Znowu zaczęły krwawić. Naciągnąłem na nie rękawy, żeby je zasłonić, ale czułem, jak materiał nasiąka krwią. Bałem się, że wszyscy to zauważą i zaczną się ze mnie śmiać.

Obudziłem się z jakimś dziwnym przeczuciem. Nie potrafię go opisać. Miałem ściśnięty żołądek, jak przed ważnym sprawdzianem, do którego się nie przygotowałem. Potem przypomniałem sobie o Rankinie i że czeka mnie rozmowa z Kacem. Wtedy zrozumiałem, skąd ten niepokój.

DZIEŃ 34

Nigdy się nie dowiem, co Sadie pomyślałaby o moim śnie. Chciałem jej go opowiedzieć, ale…

Nie. Zaraz. Muszę zacząć od początku. W przeciwnym razie wszystko pomieszam, bo w tej chwili w głowie mi wiruje. Wyłapuję urywki wydarzeń, ale trudno mi zobaczyć pełen obraz. Nie wiem nawet, czy tego chcę. Ten widok mógłby mnie zdruzgotać.

No więc wczoraj rano po słynnej wpadce Jeffa i Rankina ubrałem się i poszedłem do pokoju wypoczynkowego. (Nie wziąłem prysznica, co jest trochę obrzydliwe, ale ostatnio to miejsce źle mi się kojarzy). Podświadomie oczekiwałem, że zobaczę wszystkich w szeregu, gotowych mi uświadomić, jaki ze mnie potwór, i odesłać do domu. Ale nikt jeszcze nie wstał. Siostra Goody siedziała przy biurku, czytając akta. Zaciekawiłem się, czy należą do mnie i czy wie, co się wydarzyło.

– Doktor Katzrupus czeka na ciebie w gabinecie – oznajmiła.

Poszedłem korytarzem i zapukałem do drzwi Kaca. Otworzył. Wszedłem bez słowa, nawet na niego nie patrząc. Usiadłem i czekałem, aż poinformuje mnie, że wylatuję.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się wydarzyło w nocy? – spytał.

– Raczej nie – mruknąłem. – Ale założę się o milion dolarów, że pan tak.

Skinął głową.

– Masz coś do powiedzenia na ten temat?

Zaprzeczyłem.

– Pozwól, że spytam: jak do tego doszło?

– Ale jak to?

– Jak do tego doszło? – powtórzył. – To chyba dość jasne pytanie.

Prychnąłem. Raczej nazwałbym je głupim. Wzruszyłem ramionami.

– Przyszedł do mojego pokoju, wpakował mi się do łóżka i usiłował wleźć w gacie.

Kac poprawił okulary.

– Na pewno?

– No jasne. Niech mi pan wierzy, jeśli jakiś facet usiłuje panu wcisnąć swojego, trudno mieć wątpliwości.

– Rozumiem przez to: czy na pewno jakoś nie zachęciłeś Rankina?

Nad tym musiałem się zastanowić. No tak, inicjatywa zawsze wychodziła od niego, ale przecież mnie nie zmuszał, a do wczoraj właściwie nie powiedziałem mu jasno, że tego nie chcę. Może gdybym to zrobił, toby mnie nie napastował. Ale nie zamierzałem się przyznawać. Wtedy wyszedłbym na ofiarę, a Kac by drążył.

– Chce pan powiedzieć, że sam się prosiłem, bo noszę takie seksowne bokserki?

– Rozmawiałem już z Rankinem. Twierdzi, że to ty go do tego namówiłeś.

– Co? Jego zdaniem ja zacząłem?

Nie mogłem uwierzyć, że Rankin skłamał. A raczej mogłem, tylko mnie to wkurzyło.

– Nie ja wpadłem na ten pomysł – powiedziałem bardziej do siebie niż do Kaca. – To on przyszedł do mojego pokoju. To on jest…

Ugryzłem się w język, ale to pomyślałem: „Pedał. To Rankin tu robi za pedała, nie ja”.

Kac znowu poprawił okulary. Omal nie wrzasnąłem, żeby przestał.

– Jeff, muszę ci powiedzieć, że to poważne pogwałcenie szpitalnych zasad. Mogę cię prosić o opuszczenie placówki.

– W końcu – wymamrotałem. – Gdybym wiedział, dawno bym to zrobił.

– Chyba że – dodał doktor – masz jakieś wyjaśnienie swojego zachowania. Coś związanego z przyczyną, z powodu której się tu znalazłeś.

Nie od razu do mnie dotarło, o co mu chodzi. Ale jak już pojąłem, to się wściekłem.

– Pięknie! – syknąłem. – Chce mnie pan zmusić do mówienia, grożąc wyrzuceniem za coś, czego nie zrobiłem. Gdzie pana tego nauczyli, w szkole psychiatrycznych tortur?

Kac pochylił się ku mnie.

– Pytam tylko, czy sytuacja z Rankinem ma jakiś związek z twoją próbą samobójczą.

– Nie – rzuciłem natychmiast. – Żadnej. Przecież z Sadie też kręciłem, a to nie znaczy…

Urwałem, bo dotarło do mnie, że popełniłem gigantyczny błąd.

– Ty i Sadie… – zaczął mówić Kac. Jego palec już powędrował do okularów.

– Nie – przerwałem mu. – Nie o to mi chodzi.

– A o co?

Zacząłem szukać jakiejś odpowiedzi, by jakoś się wykręcić z tego, co mi się wymsknęło, ale nic mi nie przyszło do głowy. Za daleko zabrnąłem.

– Dobrze, skoro chce pan wiedzieć, tak, kręciłem z Sadie. Tylko nie mogłem… – Spuściłem wzrok na ręce, które trzymałem na kolanach. Miażdżyłem sobie palce w żelaznym chwycie.

– Czego nie mogłeś?

Z wysiłkiem rozluźniłem dłonie.

– No wie pan. TEGO – wymamrotałem. – A z Rankinem tylko się wygłupiałem. Nic takiego. Nie kocham go ani nic. Nie tak jak z…

I znowu za późno ugryzłem się w język. Drugi raz w niespełna pięć minut! Jeśli nie zacznę nad sobą panować, mogę już rezerwować miejsce w najbliższym autobusie. A z jakiegoś powodu nie chciałem się w nim znaleźć.

– Z kim? – podchwycił Kac.

– Z nikim. Tak tylko mówiłem.

– Z Allie?

Czułem na sobie jego wzrok. Już otworzyłem usta, żeby potwierdzić, ale nie mogłem. Nic nie powiedziałem. Kac zaczynał wygrywać, a na to nie mogłem mu pozwolić. Nawet gdyby miał myśleć, że sprowokowałem Rankina czy coś.

I wtedy zrzucił na mnie tę bombę.

– Jeff – zaczął. – Muszę ci coś powiedzieć. O Sadie.

– Wiem, że nie powinniśmy… – zacząłem, usiłując go uprzedzić. Wystarczy, że wyrzuci mnie. Nie chciałem, by i Sadie ucierpiała. Więc gadałem i gadałem w nadziei, że odwiodę go od tego pomysłu. – Tym razem to naprawdę ja zacząłem. To ja poszedłem do jej pokoju, nie ona do mojego. I naprawdę, to nic takiego. Po prostu czułem się samotny. Może pan ją nawet spytać.

– Jeff, posłuchaj – ciągnął Kac. Miał bardzo dziwny głos i nagle zapragnąłem znaleźć się gdzieś indziej. Patrzył na mnie jak tata na Amandę, kiedy musiał jej powiedzieć, że kot wpadł pod samochód.

– Co? Już wyjechała? Wyrzucił ją pan? Bo mówię prawdę. Nie może pan…

– Jeff – przerwał mi Kac. – Sadie umarła.

Nie mógł tego powiedzieć. No bo jak to możliwe? Na pewno źle zrozumiałem. Pewnie coś mi się pomyliło. Musiało chodzić o to, że Sadie odeszła. Odeszła ze szpitala. Tak, na pewno.

– Jak to? – spytałem. – Odeszła?

– Zeszłej nocy. Słyszałeś krzyk, prawda?

– Przecież to Martha krzyczała. Siostra Księżyc powiedziała, że to Martha.

Doktor przytaknął.

– Tak, ona.

– Miała zły sen.

Kac zdjął okulary. Zrobił to po raz pierwszy i bez nich wydał mi się nagi. Nagi i zmęczony. Potem zauważyłem, że się nie ogolił. Całkiem, jakby nie spał przez całą noc. Długo tarł oczy, zanim znowu się odezwał.

– Martha poszła do sali Sadie. Pewnie naprawdę miała zły sen i chciała, żeby ktoś ją pocieszył. Znalazła Sadie.

– Gdzie znalazła? – spytałem, nadal nie rozumiejąc.

Kac pokręcił głową.

– Martwą – oznajmił. Tak po prostu. Bez emocji. – Znalazła Sadie martwą.

Prychnąłem śmiechem. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak zrobiłem.

– To chyba żart. Lepiej, żeby pan nie żartował. Bo Sadie żyje. Czeka, by zjeść ze mną śniadanie. To dzień naleśnikowy.

– Przykro mi. Wiem, że bardzo trudno ci to zrozumieć i zaakceptować, zwłaszcza w tych okolicznościach. I nie powiedziałbym ci, ale…

– W jakich okolicznościach? – spytałem. Potem znowu parsknąłem. Nie wiem dlaczego. Ten śmiech zwyczajnie się ze mnie wylewał. Rechotałem jak szalony clown. Nie sądzę, żebym wtedy o czymś myślał.

Nagle uświadomiłem sobie, że płaczę. Śmiech przeszedł we łzy. W potoki łez. Kac nagle znalazł się przy mnie. Przytulił mnie. Bez kitu. Pozwoliłem na to i dalej ryczałem. Wciąż nie uwierzyłem, że Sadie nie żyje, ale i tak płakałem. Nie wiem, czy to z powodu Rankina, Sadie czy nad sobą. Nieważne.

Po prostu chciałem płakać.

Nie wiem, jak długo tak ryczałem. Pewnie ze sto godzin. Chyba wydawało mi się, że jeśli nie przestanę, to wszystko okaże się nieprawdą. Sadie żyje. Ta sprawa z Rankinem się nie wydarzyła. A ja nie jestem wariatem.

Ale Sadie umarła. To wszystko z Rankinem stało się naprawdę. A ja jestem wariatem.

DZIEŃ 35

Jeśli chodzi o to całe moje samobójstwo, nie widzę już powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Gorzej nie będzie.

Zrobiłem to w sylwestrową noc.

Miałem bardzo dobry plan. Upić się wśród tych wszystkich ludzi na Times Square i załatwić sprawę, kiedy kula zacznie zjeżdżać. Wiecie, wynieść się tam, gdzie stary rok odchodzi, gdy się zużyje i przestajemy go potrzebować. No dobrze, może przegiąłem z metaforą, ale kurczę, doceńcie moją inwencję.

I nie, nie zrobiłem tego na Times Square. Aż tak mi nie odbiło. Załatwiłem to w domu, w moim pokoju. Oglądając telewizję.

Whiskey to dobry początek. Pożyczyłem pomysł od Dylana Thomasa. To ten poeta, co wypił dwadzieścia jeden kolejek w nowojorskiej The White Horse Tavern i zmarł z powodu zatrucia alkoholem. Zawsze chciałem usłyszeć, co ma na ten temat do powiedzenia barman. Co myślał, patrząc, jak facet zapija się na śmierć? Jak się czuł, podając mu kieliszek numer dwadzieścia jeden i widząc jego gasnące oczy i upadek ze stołka? Czy w nadziei na wielki napiwek nalał kolejkę numer dwadzieścia dwa, a potem sam musiał ją wypić?

No więc napiłem się whiskey. Nie wiem, jak Dylan Thomas mógł przełknąć dwadzieścia jeden porcji tego draństwa. Ja wmusiłem w siebie zaledwie trzy, ale wystarczyło. Alkohol jakoś dodał mi odwagi. Uznałem, że odebranie sobie życia to najlepszy pomysł, na jaki wpadłem w życiu. Nie bałem się.

Podcinając żyły, czułem się wspaniale. Było mi cudownie, gdy żyletka przecięła skórę i pojawiła się czerwona kreska – jakby z przegubu wysnuwała mi się nitka. Krew napłynęła bardzo powoli, nie trysnęła tak, jak się spodziewałem. Miałem wrażenie, że moja ręka nie należy do mnie. Zupełnie jakbym oglądał film. Pomyślałem, że to bardzo udana scena, i żałowałem, że nie kupiłem popcornu.

W telewizji ludzie na Times Square odliczali sekundy pozostałe do północy. Co za banda debili – podniecają się nadejściem nowego roku, ale muszą się

upić, żeby nie myśleć o tym, że znowu wszystko spaprają jak dotychczas. Zgromadzeni wpatrywali się w szczyt budynku, jakby objawił im się sam Jezus Chrystus, rozdający zbawienie w czekoladowej polewie. Jakby jakaś zjeżdżająca brokatowa kula miała im dać szansę na szczęście. Chciałem wyjaśnić, że nic z tego. Choćby w Nowym Jorku opadło nie wiadomo ile błyszczących kul, rok okaże się tak samo do dupy jak wszystkie inne, a ich życie – nieudane i nic niewarte.

– Tnijcie się! – krzyknąłem do telewizora. – Tnijcie się!

Ale nikt nie posłuchał. Z wyjątkiem mnie.

Potem załatwiłem drugi przegub i było jeszcze lepiej, bo już wiedziałem, czego się spodziewać. Kurczę, jakbym rozcinał wstążkę na prezencie gwiazdkowym, na który czekałem przez miesiąc. A potem nadchodzi pora i wstrzymujesz oddech, zdzierając papier w nadziei, że w środku znajdziesz to, czego pragnąłeś. I tym razem naprawdę znajdujesz.

Potem leżałem, patrząc, jak wszyscy się całują, podczas gdy ja umieram. Myślałem, jak to świetnie, że Ameryka świętuje zakończenie mojego życia, a konferansjer idiota szczerzy się fałszywie do obiektywu niczym anioł śmierci reklamujący pastę do zębów. Nie widziałem głupiego światła na końcu tunelu. Nie wzywały mnie żadne nieziemskie głosy. Otoczyły mnie mrok i cisza.

Potem ocknąłem się i zobaczyłem pochylonych nade mną rodziców. Początkowo wydawało mi się, że to sen. Mama nadal była umalowana i miała na sobie balową suknię. Po policzkach spływały jej wielkie strugi fioletowego cienia, szminka jej się rozmazała. Wyglądała jak lalka Barbie do modelowania fryzur, którą moja siostra miała jako ośmiolatka. No wiecie, taka wielka głowa, którą się maluje i czesze. Amanda i ja często się nią bawiliśmy, aż pewnego dnia nasz sąsiad Troy, starszy ode mnie chłopak, zobaczył nas i nazwał mnie pedałem. Później zakopałem tę głowę w ogródku.

Matka patrzyła na mnie, powtarzając: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego…” – raz po raz, jakby się zacięła. Ojciec nic nie mówił, tylko patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że to sen. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie umarłem i nadal leżę na podłodze swojego pokoju. Nie mogłem oderwać wzroku od poruszających się ust mojej matki. Zastanawiałem się, czy mogę ją skłonić do powiedzenia czegoś innego. Jak zabawkę edukacyjną – wskazujesz strzałką obrazek z kurą i rozlega się nagranie: „Kura robi ko, ko, ko”. Zacząłem się śmiać, bo dźwięki wydawane przez mamę przypominały

gdakanie, a z oczu płynęły jej wielkie fioletowe łzy, które rozbryzgiwały się na mojej twarzy jak krople deszczu.

Gdy znowu otworzyłem oczy, znajdowałem się w szpitalnym pokoju. W tym samym, w którym leżę teraz, gapiąc się w sufit. Patrzyłem w twarz diabła. Na dworze padał śnieg, a siostra Goody siedziała przy moim łóżku, patrząc na mnie jak na eksponat w Muzeum Historii Naturalnej. Miałem wrażenie, że szuka tabliczki z podpisem wyjaśniającym, kiedy stałem się gatunkiem wymarłym.

I tak to wygląda. Oto mój wielki sekret. Chciałem się zabić w sylwestra. Tak jak Sadie wczoraj. Ale jej się udało. Nie znam wszystkich szczegółów. Połknęła garść tabletek. Nie wiem jakich ani skąd je wzięła. Lubię myśleć, że przedawkowała Lek Na Całe Zło. Wtedy umierając, czułaby, że frunie.

DZIEŃ 36

Mama od progu chwyciła mnie w objęcia, jakby odkąd zaczęła to robić, nie mogła się powstrzymać.

– Tak nam przykro, że odszedł ktoś ci bliski – powiedziała, głaszcząc mnie po plecach.

Początkowo myślałem, że chodzi jej o Rankina, którego po tamtym incydencie odesłano do domu. Pewnie Kac uznał, że to ja mówię prawdę, bo pozwolił mi zostać. A może rzucił monetą i wygrałem. Albo przegrałem. W każdym razie Rankina już tu nie ma. I nie tęsknię.

Serce przestało mi na chwilę bić. Naprawdę nie chciałem rozmawiać ani o nim, ani o tym, co się stało. Nieważne. Kiedy uświadomiłem sobie, że mamie chodzi o Sadie, serce wróciło do pracy. Ale kiedy przestałem się bać, wpadłem w złość. Chciałem krzyknąć: „Ona nie odeszła, ona nie żyje!”. Ale wiedziałem, że mama chce mnie tylko pocieszyć, więc sobie darowałem.

W związku z tym wszystkim, co się wydarzyło, nie cieszyłem się jakoś specjalnie na naszą cotygodniową *Familiadę*. Na szczęście rodzice przywieźli Amandę. Bardzo mi ulżyło. Siostra jest zaworem bezpieczeństwa gwarantującym, że się nie wkurzę. Ale nawet ona zachowywała się dziś mało amandowato. Może myślała, że tak wypada ze względu na Sadie i w ogóle.

Na początek Kac przypomniał, że zostało mi tylko dziewięć dni pobytu w szpitalu. Jakbym nie wiedział. Pięć tygodni temu taki okres dłużyłby mi się jak tysiąc lat. Teraz wydaje się chwilą.

– Dom bardzo się zmienił, od kiedy trafiłeś do… od kiedy cię nie ma – powiedział tata. – Chciałbym ci go już pokazać. – Trzymał ręce na kolanach i ruszał kciukami – taki ma zwyczaj, kiedy nie czuje się komfortowo. Na pewno chciał się stąd wyrwać tak samo jak ja i trochę zrobiło mi się go żal. Pewnie trudno się żyje ze świadomością, że twoje dziecko chciało się zabić.

– Właśnie – powiedziała mama, nienaturalnie ożywiona, jak zawsze, kiedy udaje, że wszystko gra. – Położyliśmy w twoim pokoju nową wykładzinę. Ma piękny kolor. Jak byś go nazwała, Amando?

Amanda spojrzała na nią z politowaniem.

– Beżowy. Nazwałabym go „beżowy”.

– Nie, raczej piaskowy… Jak go określił ten sprzedawca? Piasek pustyni. W każdym razie wspaniale pasuje do ścian. Amando, jak byś nazwała ten odcień?

– Niebieski – mruknęła Amanda, przewracając oczami. – Nazwałabym go „niebieski”.

W ten sposób mama sygnalizowała, że po powrocie nie będę musiał patrzeć na plamy krwi. Miło, że się o to zatroszczyła. Ale mi to wisiało. I tak nie zapomnę.

Potem Kac oznajmił, że przedyskutował z rodzicami pomysł posłania mnie do innej szkoły, żebym mógł zacząć z czystym kontem. Spytał, co o tym sądzę.

Powiedziałem, że wolałbym się nie spieszyć z decyzją. Wizja, że miałbym pójść gdzie indziej, nawet mi się spodobała. To szansa na nowy start, mógłbym zostać, kim zechcę. Ale z drugiej strony – w tym rzecz: nie chcę być kimś innym. Chcę zostać sobą. I nie wiem, czy w nowej szkole przyjdzie mi to łatwiej.

No tak, trochę się boję plotek, które o mnie pewnie już krążą. Założę się, że ktoś już założył stronę *www.jeffchcialsiezabic.com.* Ze zdjęciami. I blogiem. I wszyscy na pewno patrzyliby mi na przeguby. No serio, jak długo można unikać noszenia podkoszulków?

Tylko czy w nowej szkole naprawdę poczułbym się lepiej? Może początkowo. Ale wcześniej czy później ktoś by się dowiedział. To nieuniknione. Znajomy znajomego okaże się mieć kumpla w mojej starej szkole i wkrótce od plotek zrobi się gęsto w powietrzu. Aż pewnego dnia przekroczę próg i usłyszę za plecami szepty.

Tak samo było, kiedy Ginny Mangerman znikła na parę miesięcy. Jej siostra powiedziała wszystkim, że Ginny spędza semestr na wymianie studenckiej w Australii. Tymczasem okazało się, że zaszła w ciążę. Wyjechała urodzić i oddać dziecko do adopcji. Kiedy wróciła, wszyscy już wiedzieli. Ktoś wpadł na świetny pomysł, żeby przykleić jej na szafce wycięte z gazet zdjęcia niemowląt. Ginny w końcu wyleciała ze szkoły i teraz pracuje w supermarkecie na kasie. Gdy na nią trafiam, staram się traktować ją bardzo miło, ale ona udaje, że nie poznaje żadnego dawnego kolegi.

Pewnie lepiej, żebym wrócił do mojej dawnej szkoły i stawił czoła sytuacji.

Amanda nadal tam chodzi i nie chcę, by przeze mnie ktoś się nad nią pastwił. Wiem, że dałaby sobie radę, ale przecież niczemu nie zawiniła. A może jednak oboje powinniśmy zmienić otoczenie. Albo przekonam rodziców, żeby się przeprowadzili do Francji. Tam nikogo nie obchodzi, czy chciałeś się zabić. Wręcz uważają, że próba samobójcza cię uszlachetnia, robi z ciebie tragiczną postać.

Myślałem o tym wszystkim, podczas gdy mama zapewniała, jaka jest szczęśliwa, że wracam. Pewnie nawet Kac dotarł do kresu wytrzymałości, bo nagle spytał Amandę:

– Co czujesz w związku z powrotem brata?

Naprawdę zaciekawiło mnie, co usłyszę.

– Nie mogę się doczekać. Mam dość, że muszę sama zmywać wszystkie talerze.

Roześmiałem się w duchu. Powiedziała to z premedytacją. Jeśli chce, rzuca komentarze bardziej sarkastyczne od moich. W dodatku miała superpoważną minę, więc nie wiedzieli, czy jej wierzyć.

– Czy chciałabyś o coś spytać Jeffa? – spróbował jeszcze raz Kac.

Użera się ze mną już tak długo, że pewnie zrozumiał, że moja siostra jest do mnie podobna. Tylko czekałem, aż i ją zacznie przeszywać wzrokiem.

Amanda nie patrzyła na niego, tylko na mnie. Widziałem, że walczy ze śmiechem, więc też zrobiłem wszystko, aby zachować powagę. Amanda odczekała chwilę, lekko zagryzając wargę, jak zawsze, kiedy się nad czymś głęboko zastanawia. I palnęła:

– Czy jeśli znowu to zrobisz, mogę wziąć twój pokój?

– Amando! – przeraziła się mama.

Ojciec przestał poruszać kciukami i spojrzał na nas z wyrzutem. Kac uniósł ołówek.

– No co? – zdziwiła się niewinnie Amanda.

– Jeffa to nie ubawiło – powiedział ojciec.

Ale prawda jest taka, że ubawiło. Widzicie, to taki nasz prywatny żart. Kiedy wprowadziliśmy się do naszego obecnego domu, Amanda i ja walczyliśmy o większy pokój. Ona twierdziła, że jako dziewczyna powinna go dostać, bo jest przy nim osobna łazienka. Ja – powołałem się na prawo starszeństwa. W końcu zamknąłem się w pokoju na klucz i nie wychodziłem prawie cały dzień, aż rodzice pozwolili mi go zatrzymać. Chciałem się napawać

zwycięstwem, ale okazało się, że Amanda mnie wyrolowała. Tak naprawdę chciała dostać nowy rower i lekcje jazdy konnej, które rodzice ufundowali jej na pocieszenie, gdy zrobiła wielką scenę rozpaczy z powodu niesprawiedliwości tego świata.

Podjąłem grę.

– W porządku – powiedziałem cichym, zbolałym tonem.

Wszyscy na mnie spojrzeli. Chyba spodziewali się usłyszeć zapewnienie, że nigdy więcej tego nie zrobię. Tymczasem zadeklarowałem, jakby z trudem dobierając słowa:

– Jeśli znowu popełnię samobójstwo, możesz spokojnie wziąć mój pokój.

– Jeff – odezwali się jednocześnie rodzice. Potem matka spojrzała na Kaca. – Widzi pan, co musimy znosić? Ta dwójka…

– Sądzę, że Amanda i Jeff doskonale się rozumieją – przerwał jej doktor.

Spojrzałem na niego. Poprawił okulary. Wydawało mi się, że lekko się uśmiechnął, ale zaraz potem wytarł usta ręką, a kiedy ją cofnął, wyglądał znowu jak stary dobry świrolog.

– Szkoda, że ja ich nie rozumiem – westchnęła matka.

Amanda znowu na mnie spojrzała i wtedy dotarło do mnie, że jej zdanie liczy się dla mnie najbardziej. Czy to nie dziwne? Nie umiem wyjaśnić dlaczego. Może nie chcę, żeby się mnie bała. Chyba zniósłbym, jeśli w szkole zaczęliby mnie unikać. Nawet z rodzicami sprawa wygląda inaczej. Ale nie z Amandą. Chcę, aby wiedziała, że może mi ufać. Pewnego dnia może naprawdę czegoś ode mnie potrzebować i nie powinna się wahać prosić mnie o pomoc.

Potem do końca sesji było już nudno. Kac gadał dużo o „transferze ze środowiska terapeutycznego do domowego” i innych głupotach. Ja przeważnie robiłem miny do Amandy, kiedy nikt nie patrzył, i usiłowałem ją rozśmieszyć. Raz mi się udało, ale zaczęła kaszleć, żeby to zatuszować.

Na koniec znowu zaczęły się uściski. Przytuliłem Amandę bardzo mocno i szepnąłem jej do ucha:

– Następnym razem zrobię to na twojej wykładzinie.

Znowu zaczęła kaszleć, żeby rodzice nie usłyszeli naszego chichotania. Chyba zrozumiała, że w ten sposób proszę, by się nie martwiła.

Kiedy wychodzili, mama powiedziała do niej:

– Chyba powinniśmy cię jutro zaprowadzić do doktora Leacha. Zdaje się, że

coś cię bierze. – Amanda odwróciła się i posłała mi wściekłe spojrzenie, a ja tylko jej pomachałem.

– Zechcesz dziś zostać trochę dłużej? – spytał Kac, kiedy ruszyłem do drzwi. – Powinniśmy porozmawiać.

Wiedziałem, co myśli: że coś przed nim ukryłem. I nagle ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. Nie rozmową z nim, ale jej unikaniem. Miałem dość wszystkich gierek i milczenia. Może podjąłem tę decyzję, bo uświadomiłem sobie, jak bardzo mi zależy na zaufaniu Amandy. Może dlatego, że Sadie się zabiła, a Rankin odszedł. Tak naprawdę nie znam powodu. Rozumiałem tylko, że dojrzałem do rozmowy.

Usiadłem.

– Dobrze – powiedziałem. – Od czego mam zacząć?

– Tak jak zaczynają się wszystkie dobre historie. Od początku.

DZIEŃ 37

Nikt cię nie uprzedza, że kiedy serce ci pęknie, naprawdę to poczujesz. Masz wrażenie, że coś w tobie eksplodowało, a do żołądka spadają odłamki. Nigdy w życiu nie zaliczyłeś boleśniejszego ciosu. Nie jesteś w stanie zaczerpnąć oddechu i przez chwilę nie pamiętasz nawet, jak to się robi. Kiedy w końcu sobie przypominasz, masz zaciśnięte gardło.

Usiłowałem się zabić z powodu Burke'a. Nie Allie i jego. Mnie i Burke'a. Tego, co zaszło podczas świątecznej przerwy.

Ale wszystko zaczęło się parę miesięcy wcześniej. Można powiedzieć, że miałem słabość do Burke'a. Właściwie to miałem do niego cholerną słabość.

Kiedy po raz pierwszy zaprosił Allie na randkę, byłem zadowolony ze względu na nią. Wiedziałem, że jej się podoba i tak się cieszyła, kiedy w końcu do niej zagadał. Umówili się do kina. Allie nawet mnie zaprosiła. Powiedziała, że się boi, czy jej nie poniesie. W jakiejś gazetce przeczytała, że dziewczyny wydają się chłopakom bardziej interesujące, jeśli udają niedostępne, a najlepiej to wychodzi na spotkaniach w większej grupie, kiedy okoliczności nie sprzyjają rzucaniu się na siebie. Stanowiłem jej zabezpieczenie.

Śmieszne, że Burke nie miał nic przeciwko temu. Poszliśmy na film we trójkę. Nawet nie pamiętam, co oglądaliśmy. Siedziałem obok niego, a Allie po drugiej stronie. Poczęstował mnie popcornem. Całkiem jakbyśmy wszyscy troje poszli na randkę, choć wtedy o tym tak nie myślałem. Uważałem tylko, że Burke zachowuje się super wobec Allie.

W połowie filmu obaj sięgnęliśmy po popcorn. Nasze palce zetknęły się na chwilę. Nie pamiętam, kto pierwszy cofnął rękę, ale do dziś nie mogę zapomnieć tego uczucia. Nawet nie potrafię go nazwać. Może to było łaskotanie – w żołądku. Włożyłem palce do ust i zlizałem z nich masło – jakbym chciał poczuć smak Burke'a. Nie tknąłem popcornu przez resztę filmu.

Potem Allie zaczęła spędzać z Burkiem więcej czasu. Początkowo niemal zawsze mnie zapraszali. Potem pewnego wieczora wyszła z nim sama. Nawet

nie uprzedziła, że się umówili, ale zadzwoniła do mnie po powrocie do domu.

– On mnie pocałował! – zawołała szczęśliwa, jakby wygrała milion dolarów.

– Naprawdę? Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Jak to „dlaczego”? – Allie parsknęła śmiechem, jakby w życiu nie słyszała głupszego pytania. – Bo chciał.

Opowiedziała mi o wszystkim. Poszli na spacer. Burke kupił lody. Wygłupiał się, maznął ją nimi po nosie, a potem je zlizał. I pocałował ją. Dokładnie pamiętam, co powiedziała:

– Miał usta miękkie jak kotek.

Pomyślałem, że to bardzo dziwne porównanie. A jednocześnie doskonale ją zrozumiałem.

Starałem się cieszyć jej szczęściem, ale choć ciągle próbowałem się przekonać, że to wspaniale, chciałem, żeby Burke zlizywał lody z mojego nosa i żeby to mnie całował ustami miękkimi jak kotek. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej się bałem. Wtedy chyba po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że to, co czuję do Burke’a, to nie koleżeńska sympatia… a coś więcej.

Zacząłem ich unikać. Przynajmniej wtedy, kiedy byli razem. Nie mogłem tego znieść. Za każdym razem, gdy widziałem Burke’a, wbrew własnej woli myślałem, jak bardzo mi się podoba. Jakie ma niesamowicie brązowe oczy i zabójczy uśmiech. Kiedy na mnie patrzył, czułem, że naprawdę mnie widzi, rozumiecie, o czym mówię? Chciałem, by patrzył tak przez cały czas.

Ale oczywiście on patrzył na Allie. A ona zawsze o nim opowiadała. Mnie. I zdecydowanie nie mogłem wyjaśnić, dlaczego nie chcę tego słuchać. Przez parę miesięcy chodziłem rozbity i kompletnie zrozpaczony. Robiłem się zazdrosny, kiedy Allie o nim mówiła albo kiedy widziałem, jak trzymają się za ręce lub całują.

Potem, tuż przed Bożym Narodzeniem, poszliśmy we trójkę na imprezę u Rebeki Miller. Jej rodzice wyjechali z miasta, więc trochę piliśmy. Ja – więcej niż trochę. Obaliłem parę piw, co naprawdę potrafi dać kopa, zwłaszcza komuś nieprzyzwyczajonemu do alkoholu.

Dziwne, jednocześnie byłem szczęśliwy i smutny. Im więcej piłem i im dłużej patrzyłem na Allie i Burke’a, tym bardziej się czułem zagubiony. Zastanawiałem się, jak by było, gdybym to ja podobał się Burke’owi. Nigdy

nie myślałem tak o innym facecie – w ogóle o nikim nie myślałem w ten sposób. Tak naprawdę nie zastanawiałem się za bardzo nad związkami, a seks mnie przerażał. Dopiero na tej imprezie zrozumiałem dlaczego.

Gdy uświadomiłem sobie to wszystko, aż mnie zemdliło, więc poszedłem do łazienki na piętrze. Ukląkłem przed sedesem. Pamiętam, że trochę mi się kręciło w głowie. Zamknąłem oczy, ale wtedy poczułem się jeszcze gorzej, więc uniosłem powieki i zacząłem gapić się w wodę. Żołądek mi się burzył.

W końcu jednak nie puściłem pawia, a po chwili zrobiło mi się odrobinę lepiej. Wstałem i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Nie spodobał mi się typ, którego zobaczyłem. Miałem ochotę dać mu w ryj za to, że jest takim zbokiem. Jakbym patrzył na dopiero poznaną osobę, której nie chcę nigdy więcej widzieć.

Wtedy drzwi się otworzyły. Zapomniałem je zamknąć na klucz. Zanim zdołałem się odezwać, wszedł Burke. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szerokim, pijackim uśmiechem.

– No cześć – powiedział. – Skończyłeś?

Nie mogłem wykrztusić ani słowa, więc pokiwałem głową.

– Super. Strasznie mnie goni.

Nie czekał, aż wyjdę. Podszedł do toalety, rozpiął spodnie i wyjął ptaka z rozporka. Nie chciałem patrzeć, ale nie mogłem się powstrzymać. Nie obchodziło mnie, czy on to zauważy. Kiedy skończył, odwrócił się i spojrzał na mnie, zapinając suwak.

– Nieźle się nawaliłeś, bracie – mruknął.

Stał tuż przede mną. Nawet pijany był piękny.

– Megaimpreza, nie? – powiedział. Jego oddech cuchnął piwem, ale to mi nie przeszkadzało.

– Mega – zgodziłem się. Chciałem wyjść, ale nie mogłem. Nogi mnie nie słuchały.

– Hej, chcę cię o coś spytać – rzucił Burke.

Serce mi dziwnie zakołatało. Przez chwilę, ułamek sekundy, mignęła mi nadzieja, że Burke się ze mną umówi. Nie wiem dlaczego, wyobraziłem sobie, że zaproponuje mi wyjście do kina albo coś w tym stylu. I w tamtej chwili bardzo tego pragnąłem. Przypomniałem sobie tamten popcorn i dotyk jego palców. Znowu obudziło się we mnie tamto uczucie.

– Co? – wykrztusiłem z trudem.

Burke bardzo spoważniał.

– Chodzi o Allie. – Wydawał się spięty, całkiem jak nie on. Nigdy nie widziałem, żeby tak się zachowywał. Zawsze był wyluzowany. Wtedy ja też się zdenerwowałem. Przerażało mnie to, co mogę usłyszeć.

Burke spojrzał mi prosto w oczy. Czas stanął w miejscu. Czekałem na jego słowa. A on spytał:

– Co mam jej kupić na Gwiazdkę?

Przez parę sekund nie docierało do mnie, co powiedział. Nie mogłem okazać, jak bardzo jestem rozczarowany. Musiałem szybko coś wymyślić.

– Eeee… lubi ciuchy – wymamrotałem.

Burke pokręcił głową.

– Ja się na tym gównie nie znam.

– Mogę pójść z tobą – palnąłem bez namysłu. – Razem coś wybierzemy.

Zaraz potem poczułem się jak debil. Jaki facet proponuje innemu wspólne zakupy? Ale wtedy miałem w głowie tylko jedno pragnienie: tak bardzo chciałem zrobić coś z Burkiem. Cokolwiek. Nawet kupować prezent dla jego dziewczyny. Tak myślałem o Allie. Jako o jego dziewczynie, nie mojej przyjaciółce.

Burke parsknął śmiechem.

– Super – rzucił, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Super. – I poklepał mnie po ramieniu. – Jesteś w porządku.

Serce mi tak łomotało, jakbym miał za chwilę dostać zawału.

I wtedy to zrobiłem. Nie mogłem się powstrzymać. Burke dotykał mojego ramienia, chwilę wcześniej umówiliśmy się na coś w rodzaju randki i nagle poczułem się szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Pocałowałem go w usta. Pamiętam, jak przemknęło mi przez myśl, że Allie miała rację. Wargi Burke’a naprawdę były miękkie jak u kotka.

Odepchnął mnie, ale nie brutalnie.

– E, czekaj – rzucił dobrodusznym tonem. – Nie rób ze mnie pedała. To nie randka ani nic. – Znowu się roześmiał.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jeszcze nigdy się tak nie bałem. Nie tego, jak on zareaguje, ale tego, co właśnie zrobiłem. Usiłowałem jakoś wybrnąć, rzucić tekst, który wszystko naprawi, wyjaśni. Wiedziałem jednak, że nic nie wymaże ostatnich kilku minut.

Burke po chwili zauważył, że się z nim nie śmieję. Zamilkł i uniósł brwi, jakby uświadomił sobie, że padł ofiarą podstępu.

– Co jest? – spytał. Przez parę chwil patrzył mi w oczy. – Czekaj – dodał, cofając się i przyglądając mi się, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. – Jesteś ciotą?

Już mnie tak nazywano. Chłopaki czasami mówią do ciebie „ty cioto", jak po sobie jeżdżą. Burke jednak się nie przekomarzał, pytał naprawdę. Nagle to słowo stało się najbardziej złowieszcze w całym słowniku.

Usiłowałem znaleźć jakąś odpowiedź.

– Ja… ja cię bardzo lubię – wymamrotałem.

Burke cofnął się o kolejny krok.

– Ożeż w mordę – powiedział. Wyraz jego twarzy mnie zmroził. – Ożeż w mordę…

– Burke… – Wyciągnąłem do niego rękę. – Burke, nie…

Zatrzymał mnie gestem i pokręcił głową.

– JESTEŚ ciotą – powiedział.

Minął mnie i wyszedł z łazienki. Po paru sekundach cała zawartość żołądka podjechała mi do gardła. Zarzygałem całą podłogę i sam się uświniłem. Miałem wrażenie, że wyrzyguję z siebie serce. Ryczałem, nie mogłem oddychać i chciałem umrzeć.

Wytarłem podłogę ręcznikami, ale ubranie nadal miałem brudne. Chciałem już tylko uciekać. W tym celu musiałem zejść po schodach i znaleźć się między ludźmi. Przerażało mnie, że spotkam Allie, której Burke już o wszystkim powiedział. Poznała prawdę o mnie. Nie mogłem jej spojrzeć w oczy.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wyjść przez okno, ale nadal kręciło mi się w głowie. Gdybym spadł, narobiłbym sobie większych kłopotów. W końcu wyszedłem na korytarz. Stanąłem na szczycie schodów, słuchając śmiechów. Miałem wrażenie, że wszyscy natrząsają się ze mnie – z tego, że pocałowałem Burke'a i jestem ciotą. Że to najśmieszniejsza sprawa na świecie. I każdy skorzysta z okazji, by wyszydzić pedała.

Nie pozostało mi nic innego. Zbiegłem po tych schodach najszybciej jak umiałem i ruszyłem prosto do drzwi. Nie patrzyłem na nikogo i modliłem się, żeby nikt mnie nie zatrzymał. Udało się. Jedyny plus tego wieczora. Dopadłem do wyjścia, pobiegłem do siebie i zaszyłem się w swoim pokoju.

Od tego czasu nie widziałem się z Allie. Ale próbowałem z nią pogadać. Kiedy nie dawała znaku życia przez trzy dni, zrozumiałem, że Burke jej na pewno powiedział. W Wigilię nie mogłem już dłużej wytrzymać. Zadzwoniłem. Odebrała, a ja wyjąkałem:

– Chciałem ci tylko życzyć wesołych świąt.

Milczała chwilę. Słyszałem szmer jej oddechu. Potem spytała:

– Dlaczego nie powiedziałeś, że jesteś gejem?

– Nie jestem. Musisz mi uwierzyć.

– Myślałam, że się przyjaźnimy – oznajmiła i odłożyła słuchawkę. Więcej się do mnie nie odezwała.

I teraz już wiecie, skąd ta dramatyczna scena w sylwestra i czemu się tu znalazłem. Jestem gejem. Wiem, że to brzmi głupio. Dla wielu ludzi to nic wielkiego. Ale naprawdę miałem nadzieję, że się pomyliłem i mi przejdzie. Po tej sprawie z Rankinem i tym, co zaszło – a raczej nie zaszło – między mną a Sadie, zrozumiałem, że tak się nie stanie.

Kiedyś słyszałem, że jeden na trzech nastolatków o skłonnościach homoseksualnych usiłuje się zabić. Podobno dlatego, że świat nie toleruje inności. I dopóki ludzie nas nie zrozumieją i facet nie będzie mógł bez strachu kochać innego faceta, niewielkie są szanse, że to się zmieni. Pewnie to prawda. Ale w żadnym ze światów nie można z czystym sumieniem zakochać się w chłopaku przyjaciółki.

DZIEŃ 38

Ustaliliśmy, że nie tylko usiłowałem się zabić, ale w dodatku jestem gejem. To jak dwie wisienki na torcie z gówna. Albo dodatkowa gałka lodów.

A teraz oczywiście Kac chce gadać tylko o tym. Dziś poprosił, żebym mu opowiedział, co robiłem z Rankinem. Strasznie się wstydziłem o tym mówić. Potem spytał, jak podobał mi się seks. Przyznałem, że bardzo. Najbardziej cieszyło mnie, że Rankin chciał to ze mną zrobić. Właściwie nie uprawialiśmy seksu. Mogłem się sam tak zaspokoić, prawda? Ale liczy się, że ktoś chce takich doznań z tobą. To dowód, że mu się podobasz. Przynajmniej tak powinno być.

Ciągle się zastanawiam nad zachowaniem Rankina. Czy ktoś tak samo postępował z nim? Czy naprawdę kręcą go faceci? Czy w ogóle mnie lubił? Pewnie nigdy nie poznam odpowiedzi. Pytałem doktora, a on oznajmił, że kiedy ktoś nas zrani, najlepiej nie wnikać dlaczego, tylko powtarzać sobie, że to nie nasza wina.

Czyli albo nie wie, co kombinował Rankin, albo wie, ale nie powie.

Nieważne. Może to jednak częściowo moja wina. Nie powstrzymałem przecież Rankina. I nie mogę twierdzić, że mi się nie podobało to, co robił. Albo że tego nie chciałem. Chciałem, przynajmniej w jakimś stopniu.

Aby zmienić temat, spytałem, czy Martha wyzdrowieje. Nie odezwała się od tamtej nocy – nie wykrztusiła nawet jednego „freks”. Martwi mnie, że to regres. Nauczyłem się tego terminu od Kaca. Oznacza, że przez to, co spotkało Sadie, stan Marthy mógł się znów pogorszyć. Niesamowite, lekarze mają osobne słowa na wszystko.

Kac odparł, że nie wie, choć coś w jego tonie zdradziło, że nie ma wielkiej nadziei. Chciałem go bardziej przycisnąć, bo podejrzewałem, że to się wiąże z przyczyną pobytu Marthy w szpitalu. Wiedziałem jednak, że nie może mówić o sprawach innych pacjentów, więc tylko poprosiłem w duchu, by jej się polepszyło.

Później się dowiedziałem, w czym rzecz. Spytałem Franka. Jak już

wspominałem, potrafi się zachować jak złamas. Ale przy tym wiele wie, więc kiedy go spotkałem, zacząłem jęczeć, jaka okropna była ta sprawa z Sadie.

– Martha bardzo się przestraszyła – dodałem, licząc, że to go sprowokuje do gadania.

– Nic dziwnego – odpowiedział. – Pewnie myślała, że znowu ją to spotyka.

– Co?

Frank parsknął śmiechem.

– A, prawda. Nie pozwalają wam tu słuchać wiadomości. Ojciec zastrzelił jej matkę.

– Ojciec Marthy?

– Rozwalił ją na strzępy. Z karabinka. Potem zabił siebie. A mała wszystko widziała. Znaleźli ją siedzącą między trupami na podłodze w kuchni. Tuliła do siebie tego cholernego królika. Spędziła tak dwa albo trzy dni. Jakaś ciotka w końcu przyszła, bo nie mogła się do nich dodzwonić.

– Bez jaj – wykrztusiłem.

– Pisali o tym we wszystkich gazetach. A, zapomniałem, wam dają tylko jakieś bajki dla potłuczonych – zarechotał. – Dla potłuczonych, rozumiesz?

Olałem go i poszedłem w swoją stronę. Mogłem myśleć tylko o Marcie, siedzącej w tej kuchni. Nic dziwnego, że jej odbiło na widok Sadie. Biedne dziecko. A wydawało mi się, że to ja mam problemy. Gdybyśmy przyznawali tu punkty, Martha wszystkich by nas pobiła.

DZIEŃ 39

Siedziałem dziś w gabinecie Kaca i spytałem znienacka:

– Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę jestem gejem?

Jakoś samo mi się to wyrwało, ale naprawdę byłem ciekawy odpowiedzi.

Kac odchylił się z krzesłem i popatrzył na mnie w milczeniu.

– Jaki kolor lubisz najbardziej?

Powiedziałem, że niebieski. Spytał dlaczego.

– Co dlaczego?

– Dlaczego niebieski lubisz najbardziej?

Głupie pytanie, nie? No bo dlaczego się coś lubi? Wyjaśniłem, że lubię niebieski, bo kiedy na niego patrzę, zwykle robi mi się miło.

– W porządku – on na to. – A twoja ulubiona piosenka?

Oznajmiłem, że *Snow Cold Sunday* Lolly Dreamboksu. Przynajmniej w tej chwili. W przyszłym tygodniu na pewno zmienię zdanie. Tak to jest, jak się ma piętnaście lat.

Znowu spytał, dlaczego lubię ją najbardziej. No to wymyśliłem, że kiedy ją słyszę, chce mi się śpiewać. Wyobrażam sobie siebie na scenie z mikrofonem i fajnie się z tym czuję.

– Dobrze. Co wspólnego mają twój ulubiony kolor i piosenka?

Odpowiedź brzmiała, że dzięki nim czuję się dobrze.

A potem Kac palnął:

– Jak się czujesz, myśląc o dziewczętach?

W tym pytaniu zwęszyłem podstęp. Można na nie odpowiedzieć na wiele różnych sposobów, więc poprosiłem, żeby to skonkretyzował. Zagadnął więc, co czuję, kiedy myślę o randkach z dziewczynami.

Powiedziałem, że nie mam na ten temat zdania. Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

– To coś jak lody waniliowe – dodałem.

Wtedy spytał, czy to samo czuję odnośnie do facetów. Trochę się zmieszałem, bo jeszcze nigdy z nikim nie rozmawiałem o uczuciach, które budzą we mnie chłopaki. W końcu wykrztusiłem, że najróżniejsze rzeczy. Podniecenie i przerażenie jednocześnie.

– Czasami nie wiemy, dlaczego coś lubimy – oznajmił doktor. – A przynajmniej nie potrafimy tego ująć w słowa. Po prostu lubimy i już. I tak jest z preferencjami seksualnymi. Po prostu ktoś, dziewczyna albo chłopak, nam się podoba, bo budzi w nas takie a nie inne uczucia.

To nie było odpowiedź na moje pytanie i nie ukrywałem rozczarowania. Spytałem, skąd mam wiedzieć na pewno, że wolę chłopaków.

– Może to tylko chwilowe? – dodałem.

Kac nadal nie miał do powiedzenia nic rozstrzygającego.

– Musisz słuchać własnych uczuć – oznajmił. – Jeśli będziesz ze sobą szczery, zrozumiesz, czego pragniesz.

Daję słowo, czasem gada jak jakiś nawiedzony staruszek z filmu o sztukach walki, co pojawia się i rzuca przepowiednię, którą bohater musi rozszyfrować, żeby znaleźć miecz, uratować dziewczynę czy skopać tyłek czarnemu charakterowi. Wiecie, coś w rodzaju: „Znajdź gwiżdżącą sosnę i poproś ją o klucz”.

Ale chyba wiem, o co o mu chodzi.

Jak tamtej nocy z Sadie, kiedy zrozumiałem, że nie zdołam się z nią kochać. Po prostu czułem, że to nie to. Owszem, może z inną dziewczyną potoczyłoby się inaczej, chociaż nie sądzę. Z Rankinem WIEDZIAŁEM. Chciałem seksu z nim, choć nie był mi szczególnie bliski. Wszystko, co zrobiliśmy, napełniało mnie przerażeniem, ale wiedziałem, że tego pragnę. Może nie z Rankinem i z całą pewnością nie tutaj. Pewnego dnia, z kimś innym. Z kimś, kogo polubię.

Potem Kac wpadł na pomysł, żeby powiedzieć moim rodzicom. Nie potrafiłem zdecydować, czy się na to zdobędę.

– Więc nigdy z nimi o tym nie rozmawiałeś? – zdziwił się.

– W naszej rodzinie nie rozmawiamy. Z góry zakładamy.

– Co to znaczy?

– Uważają, że Amanda i ja w razie potrzeby się do nich zwrócimy. Jeśli do nich nie przychodzimy, zakładają, że wszystko jest w porządku. I nie zaczynają rozmowy.

– A ty z nimi czasem zaczynasz?

Rzuciłem mu ciężkie spojrzenie.

– Poznał ich pan. Jak się panu wydaje?

Teraz, kiedy o tym myślę, nie przypominam sobie, żeby moi rodzice znali jakichś gejów. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Więc właściwie nie znam ich zdania na ten temat. Poza tym inaczej sprawy się mają, kiedy dotyczą twojego dziecka. Wiem, że moja mama bardzo by chciała mieć kiedyś wnuki, a tata żartuje, że będzie poddawać ostrej selekcji wszystkich, których przyprowadzimy do domu, gdy zaczniemy chodzić na randki. Jakoś nie potrafię go sobie wyobrazić, jak siedzi z moim chłopakiem i pyta go o ulubioną drużynę futbolową.

Spytałem Kaca, czy na moim miejscu przyznałby się rodzicom, i oczywiście oznajmił, że nie może podjąć za mnie tej decyzji. No to chciałem wiedzieć, czy ma jakąś metodę na określenie, czy to zrobić, czy nie.

– Możesz przećwiczyć powiedzenie im tego – zaproponował.

– W wyobraźni?

– Nie, ze mną.

– Nie wygląda pan jak moja mama – mruknąłem. – Nawet bez bródki.

Kac uśmiechnął się pod nosem.

– W takim razie zagram twojego tatę.

– No nie wiem. To jakieś dziwne.

– Zastanów się nad tym.

I teraz się zastanawiam. Wyobrażam sobie, że siedzę z rodzicami i naprawdę mówię: „Jestem gejem”. I wiecie co? Zaczynam się wkurzać. Heterycy nie muszą wzywać rodziców na rozmowę i oświadczać, że lubią dziewczyny. Wszyscy to po prostu uważają za naturalne. Ale w przypadku geja robi się megaafera. Należałoby zorganizować konferencję prasową i zamieścić ogłoszenie w gazecie. Dlaczego? Bo tak nie postępuje większość? To niesprawiedliwe.

Dlaczego rodzice powinni się dowiedzieć? Żeby przywykli do myśli, że nie mają co liczyć na synową? I się oswoili, że zacznę chodzić po ulicach z innymi facetami? Nie rozumiem. Dlaczego trzeba ostrzegać ludzi przed tym, kim się jest? Dlaczego nie można po prostu być sobą?

Wiem dlaczego. Piszę to wszystko tylko po to, żeby się wygadać. Powiedzieć komuś coś takiego to ciężka przeprawa. To tak jakby to była kwestia decyzji. „Mamo, tato, wiele o tym rozmyślałem i postanowiłem zostać

gejem”. Jak przed większym zakupem, kiedy porównuje się ceny i czyta katalogi. Albo kiedy wybiera się uczelnię. Z tą różnicą, że w wypadku pomyłki nie dostaniesz zwrotu pieniędzy ani nie zmienisz szkoły. Może mógłbyś, ale wtedy okazałoby się, że rozpętałeś piekło na darmo.

DZIEŃ 40

Śmieszne, Rankina nie ma już prawie tydzień, a nikt nie spytał, gdzie się podział ani co się z nim stało. Dziś o to zagadnąłem, ale dowiedziałem się tylko, że Rankina przeniesiono gdzie indziej. Jakby dostał nową pracę albo coś.

Kac przeczytał mi też pożegnalny list Sadie. Nawet nie wiedziałem, że go zostawiła. Doktor przyznał, że zwlekał z powiedzeniem mi o liście, bo chciał, abym trochę ochłonął. Wyraziłem mu moją ogromną wdzięczność.

No i przeczytał. Zamiast jego głosu słyszałem Sadie.

– Cześć wszystkim – pisała. – Pewnie już wiecie, że już mnie tu nie ma. Może niektórzy za mną zatęsknią, a inni nie. Ja będę tęsknić za wszystkimi. Dobrze się bawiłam, ale pora na mnie. Tym razem nikt mnie nie uratuje. Nawet Sam. Do zobaczenia po tamtej stronie – chyba. Kocham was, Sadie.

I to wszystko. Żadnego wyjaśnienia. Nic o tym, co się działo w jej głowie. Nic o… o mnie.

– Co to za list, do cholery?! – rzuciłem. – Nic nie wyjaśniła. To po prostu głupie!

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Za kogo ona się ma?! – wrzasnąłem. – Zabija się i ma mi do powiedzenia tylko: „Do zobaczenia po drugiej stronie”? Co to za szajs?

– Może tylko tyle mogła powiedzieć. Może tak naprawdę nie rozumiała, dlaczego to robi.

– Jak można tego nie rozumieć?

– A ty jak myślisz, co ją do tego pchnęło? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Znowu ta tandetna sztuczka!

Rzecz w tym, że nie miałem pojęcia. Choć bałem się, że jednak znam powód – i to ja nim jestem. Bałem się, że poczuła się odrzucona, tak jak ja po tej sprawie z Burkiem. I z Allie. Jeśli tak, wiedziałem, dlaczego chciała się zabić. Doskonale ją rozumiałem.

– O czym teraz myślisz? – spytał Kac.

Nie mogłem mu powiedzieć. Po prostu nie mogłem. Gdybym powiedział, podejrzenie zmieniłoby się w prawdę. Dopóki milczałem, dopóki to pozostawało w tajemnicy, nie mogło się urzeczywistnić.

– Boisz się, że to twoja wina?

Cholera, nie wiem, jak on to robi. Zawsze udaje mu się zadać pytanie, które jest mi naprawdę nie na rękę.

Przytaknąłem, ale nadal nie umiałem tego wykrztusić. Po prostu nie mogłem. W końcu, gdy już nie potrafiłem dłużej wytrzymać, spytałem:

– A pan?

Pokręcił głową, a ja omal nie zwymiotowałem.

– Nie – oznajmił. – Nie myślę tak.

– To po co pan, kurwa, pyta?! – ryknąłem. Mówię „kurwa” tylko wtedy, gdy wpadam w prawdziwą furię. Inaczej nie ma efektu. Ale teraz się naprawdę wkurzyłem. Wręcz wkurwiłem.

– Bo mam wrażenie, że możesz się czuć winny – powiedział.

Mało go nie zabiłem wzrokiem.

– Straszny z pana złamas. Wie pan o tym?

Zbył to milczeniem.

– To nie wszystko – dodał. – Zostawiła wiersz.

– Wiersz? – powtórzyłem głupio. To mi jakoś nie pasowało do Sadie.

Kac podał mi kartkę. Na dole, pod tekstem listu, Sadie napisała:

Raz siedmioro małych świrków drwa w drewutni porąbało;
jeden z taty zrobił grzankę i sześcioro ich zostało.
Raz sześcioro małych świrków wokół ula się bawiło;
jeden się zatatuował i pięcioro się zrobiło.
Raz pięcioro małych świrków do piwnicy szło z podwórka;
aż jednemu odwaliło i została tylko czwórka.
Potem czworo małych świrków na głębinie się kąpało,
jeden bardzo długo milczał i tak troje ich zostało.
Troje małych świrków poszło, żeby w zoo odwiedzić wujka,
jeden ciągle walił konia i została tylko dwójka.

Potem dwoje małych świrków opalało się na słońcu,

jeden objadł się tabletek i pozostał jeden w końcu.

Ten ostatni mały świrek poszedł sobie własną drogą.

Potem podciął sobie żyły i nie było już nikogo.

– Więc tak nas widziała? Jako listę problemów? – spytałem.

– Nie sądzę – powiedział Kac. – Raczej chciała wierzyć, że macie coś wspólnego.

– Świra?

Kac przytaknął.

– Pewnie wtedy lepiej oceniała siebie.

Może i tak, ale moje samopoczucie się nie poprawiło. Szczerze mówiąc, wściekłem się jeszcze bardziej. Jestem wściekły, bo Sadie mnie oszukała. Chciała wmówić mi i pozostałym, że nic jej nie rusza, że jest wyluzowana. Chciała, żebyśmy uwierzyli, że wszystko ogarnia. I uwierzyliśmy. W każdym razie ja na pewno.

Ale nie była ogarnięta. Ani wyluzowana, silna i mądrzejsza od wszystkich. Bała się. Bała się, że pewnego dnia wszyscy zobaczymy jej prawdziwe ja i nie zachwycimy się nim. Mnie się to nie spodobało. Nie podoba mi się, że mnie okłamała i udawała kogoś innego. Nie podoba mi się, że grała kogoś, kto ma wszystko poukładane, choć tak naprawdę uciekała. Nie podoba mi się, że jej śmierć powinna budzić mój smutek, ale to już niemożliwe, bo za bardzo się wściekłem.

Najpierw Allie, potem ona. Obie mnie zostawiły. Zastanawiam się mimo woli, czy Sadie się nie zabiła, bo jestem gejem. Allie nie mogła tego znieść. Może ona też.

Czyli teraz zostaliśmy tylko ja, Juliet i Martha. Ostatnie trzy żołnierzyki. Pewnie tłum, który czeka za aksamitnymi sznurami, postanowił stanąć w kolejce pod innym klubem albo co. Dziś po kolacji siedziałem z Juliet w pokoju wypoczynkowym. Nie wiem, dlaczego spytałem:

– Lubiłaś Sadie?

Juliet odłożyła książkę.

– Lubiłam ją tak, jak się lubi rannego psa.

– Jak to?

– Litujesz się nad nim i chcesz mu pomóc, choć nie wiesz, czy cię nie ugryzie, kiedy odwrócisz wzrok.

Teraz już wiem, że choć Juliet mówi dziwne rzeczy, zdarza jej się trafić w dziesiątkę, jakby szaleństwo dawało jej dar prześwietlania człowieka na wylot. Zrozumiałem, o co jej chodzi. Sadie stwarzała wrażenie, że cię lubi, ale nie wiem, czy kogokolwiek z nas lubiła bardziej od siebie.

– A Rankina? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nigdy za nim nie przepadałam. A ty?

Chyba nie ma pojęcia, co się wydarzyło między nim a mną. O tym wiedzą tylko siostra Księżyc, Goody i Carl, a oni chyba nie plotkowali. Pewnie widzieli tyle dziwactw, że o nowych zapominają niemal natychmiast. A przynajmniej bardzo dobrze udają, że to robią.

Wzruszyłem ramionami.

– Myślałem, że się przyjaźnimy – powiedziałem. – Ale chyba go nie lubiłem. Nie tak naprawdę.

– Po co się przyjaźnić z kimś, kogo się nie lubi? – spytała. Przez chwilę skojarzyła mi się z Kacem i prawie zobaczyłem ją z notesem i ołówkiem.

– Czasami nie wie się, że się kogoś nie lubi, dopóki nie spędzi się z nim więcej czasu.

– Ja wiem – oznajmiła Juliet. – Zawsze potrafię poznać.

Spytałem jak.

– Skóra mnie swędzi. Chyba mam alergię na niebezpiecznych ludzi. Przy Rankinie miałam ochotę ciągle się drapać.

Można by pomyśleć, że jej całkiem odbiło, ale jej słowa mnie nawet przekonały. No bo skąd wiedzieć, czy ludzie potraktują nas dobrze, czy źle? Przecież nie mają certyfikatów „zatwierdzony do użytku zewnętrznego”.

Wtedy znowu pomyślałem o Allie i o tym, czy mogę się nadal uważać za jej przyjaciela. To przecież nie była nasza pierwsza kłótnia. Po prostu miała poważniejsze konsekwencje niż poprzednie. A jeśli Allie zadzwoni i przeprosi, że mnie tak potraktowała? Czy jej wybaczę?

Kurde, trudne pytanie. Przecież nie poprztykaliśmy się o to, jaki film obejrzymy. Odwróciła się ode mnie, bo Burke powiedział, że go pocałowałem. Nawet nie próbowała ustalić, czy to prawda.

Ale to prawda. W tym rzecz. Gdyby spytała mnie wtedy, pewnie bym się nie przyznał albo usiłował jej wmówić, że tylko się wygłupiałem. W życiu nie powiedziałbym, że jestem gejem. Przecież nie potrafiłem tego przyznać sam przed sobą. Więc w pewnym sensie miała rację – że się rozgniewała, ale nie miała racji, zrywając naszą przyjaźń. Nawet nie wiem, czy bardziej wściekła się o moją orientację, czy o to, że pocałowałem jej chłopaka. Nie dała mi szansy spytać.

Dobrze ją znam i nie sądzę, żeby mnie znielubiła za bycie gejem. Gdybym jej powiedział, sytuacja mogłaby wyglądać inaczej. Teraz nie wiem, czy znajdę okazję, żeby wszystko naprawić.

DZIEŃ 41

– Prawie na pewno jestem gejem i chciałbym lepiej zrozumieć, co to znaczy.

Tata długo milczał.

– W tym wieku nie możesz o tym wyrokować – odezwał się w końcu.

Tylko że to nie był tata, a odgrywający go Kac. Dziś odbyłem z nim próbę generalną rozmowy z rodzicami. Zeszłego wieczora się zdecydowałem. Bo jeśli czeka mnie ta cała awantura z życiem geja i tak dalej, w zasadzie powinienem uprzedzić rodzinę.

Kac zaproponował, że odegra oboje rodziców, ale myśl o mamie z bródką jakoś mi się nie spodobała, więc oświadczyłem, że ograniczę się do taty. Poza tym sądzę, że z tatą pójdzie mi trudniej. Tak to już jest z ojcami.

No więc Kac usiadł na krześle naprzeciwko mnie, a ja usiłowałem jakoś zacząć. Ale nie potrafiłem wymyślić nic, co by nie brzmiało idiotycznie. „Muszę ci coś wyznać” – straszne, jak kwestia z telenoweli. „Musisz coś o mnie wiedzieć” – jeszcze gorsze, jakbym chciał obwieścić, że choruję na białaczkę, pracuję dla obcego wywiadu albo coś w tym stylu. Naprawdę wszystko zajeżdża melodramatem.

W końcu powiedziałem:

– Chcę z tobą porozmawiać o tym, dlaczego zrobiłem sobie krzywdę.

I opowiedziałem o Allie i Burke’u, o tym, jak się przestraszyłem tego, co czuję do Burke’a, i jak Allie zerwała naszą przyjaźń.

Wtedy „tata” oznajmił, że w tym wieku jeszcze nie wiem, czego chcę. Aż drgnąłem, tak wrogi miał ton. Potem przypomniałem sobie, że Kac gra. Nie mógł wiedzieć, jak naprawdę zareaguje mój ojciec, więc wybierał różne warianty, żeby sprawdzić, jak się zachowam.

– Wiem, że jestem młody – powiedziałem. – Ale wiem także, jak mocne są te uczucia, i muszę sprawdzić, co właściwie znaczą. – Wcale nie zachowywałem się jak ja, lecz mówiłem, co myślałem. A rodzice lubią, kiedy

się w ten sposób tłumaczy swoje zachowanie. Dzięki temu wydajesz się dorosły. Choć teraz mam wrażenie, że to by ich tylko jeszcze bardziej wystraszyło.

– Musisz iść na terapię – oznajmił Kac tata. – Wyleczą cię z tego.

Miałem ochotę się roześmiać, ale doktor był stuprocentowo poważny. Usiłowałem sobie wyobrazić, że tata by to naprawdę powiedział. Nie sądzę, żeby to zrobił. Sama myśl normalnie mnie przeraziła.

– Przecież chodziłem na terapię. Między innymi dzięki niej sobie wszystko poukładałem. Chciałbym ją kontynuować, jeśli się zgodzisz, ale nie sądzę, żebym potrzebował leczenia. Po prostu muszę z kimś porozmawiać.

– Co powiem twojej babci? – spytał Kac. – Co powiem innym?

Odetchnąłem głęboko i spojrzałem mu w oczy.

– Prawdę. Nie wstydzę się tego. Jeśli ty tak, to jest mi przykro. Nie powinieneś się wstydzić.

Kac skinął głową.

– Nieźle. Wypróbujemy inną reakcję?

Przerobiliśmy parę innych możliwych scenariuszy. Czasami tata przyjmował wiadomości dobrze, innym razem się wściekał. Po sesji byłem kompletnie wykończony. Nie wiem, jak aktorzy mogą powtarzać to samo ujęcie w nieskończoność. To strasznie dużo człowieka kosztuje.

Kac spytał, jak się czułem podczas odgrywania różnych wariantów sytuacji. Powiedziałem, że oczywiście najlepiej wtedy, kiedy tata się nie gniewał. Potem miałem wskazać, jaki przebieg wypadków wydaje mi się najbardziej prawdopodobny.

Żebym ja to wiedział. Bardzo bym chciał. Ale tak nie jest. Można by pomyśleć, że powinienem przewidzieć reakcję ludzi, z którymi żyłem piętnaście lat. W tej chwili jednak mam wrażenie, że zupełnie nie znam rodziców. Teraz muszę ich uważać za ludzi, którzy mają własne uczucia. Co za męka.

Zabawne, że pewnie oni myślą teraz tak samo. Założę się, że siedzą w domu, kombinując, jak gadać z chłopakiem, który wygląda jak ich syn, ale zachowuje się jak ktoś zupełnie obcy. W pewnym sensie to mi poprawia humor. Może wszyscy wreszcie się naprawdę poznamy. Ale i tak czuję lęk. Nadal się martwię, że fatalnie to przyjmą i mnie wydziedziczą.

Zobaczymy w niedzielę.

DZIEŃ 42

Dziś pojawił się ktoś nowy, więc najwyraźniej nasze wariatkowo nadal jest najmodniejszym klubem w mieście. Gość twierdzi, że nazywa się Wiewiór. O dziwo, ta ksywka do niego pasuje. Chłopak jest bardzo chudy i ma rozbiegane oczy, jakby bał się, że jeśli spojrzy wprost na ciebie, wybuchniesz.

Dziś poznaliśmy go na sesji grupowej. Kiedy się przedstawiałem, myślałem o moim pierwszym dniu. Czy byłem tak spanikowany jak Wiewiór? Pewnie tak. No ale ja poznałem wtedy Bone'a, Alice i Sadie. Przeraziliby wszystkich. Wiewiór spotkał mnie, Juliet i Marthę. Nie sądzę, żebyśmy aż tak porażali. No może Juliet, ale dopiero po bliższym poznaniu. A nawet wtedy da się ją znieść.

Nie wiem, jaki problem ma ten chłopak. Nie powiedział. Gdybym miał zgadywać, stawiałabym, że pewnie zebrało się kilka rzeczy. Może prochy. Albo depresja. Albo jedno i drugie. Człowiek zaczyna wyłapywać przyczyny, kiedy spędzi tu trochę czasu. Jakby każda miała inny zapach. Wiewiór pachnie popiołem papierosowym i watą cukrową. Kiepskie połączenie.

Zastanawiam się, czy wszyscy się zorientowali, że chciałem się zabić. Miałem obandażowane nadgarstki, więc niemal pewne, że coś podejrzewali. Ale nie wiedzieli o mojej orientacji. Nikt tego nie przewidział.

Nikt z wyjątkiem Rankina. Może on wiedział. Bo dlaczego zrobił to, co zrobił? Jasne, nie miał pod ręką innych facetów. Czy startowałby do Bone'a? Pewnie tak, gdyby miał szansę. Nie wmawiam sobie, że mnie kochał czy coś. Po prostu tak się zachował i już. Dla niego to nie miało znaczenia. Ale on też nic dla mnie nie znaczył, więc jest remis.

Śmieszne, zabawiałem się z facetem, który mnie nie obchodzi, a chłopak, na którym mi zależy, nawet by mnie nie tknął. Czasami się zastanawiam, czy Burke o mnie myśli. Pewnie rozmawiał z Allie o tym, co się wydarzyło. Czy ciekawi go, jak by między nami było, gdyby do czegoś doszło? Bo ja się zastanawiałem, co bym czuł z Allie, choć to dziewczyna. Burke przecież wie, że mi się podoba. Czy to nie naturalne, aby mu to przemknęło przez głowę?

A może sama myśl jest dla niego tak odrażająca, że ją zagłusza?

Zastanawiam się, czy Allie kiedyś zadawała sobie pytanie, jaki byłby seks ze mną. Znam ją. Ona wiecznie roztrząsa różne sprawy. „Luz” to koncepcja kompletnie jej obca. Trzy lata temu Meg Crenshaw pozwoliła sobie na uwagę, że Allie w swoim swetrze wygląda jak nauczycielka ze szkółki niedzielnej. Allie nadal jej tego nie zapomniała.

Słowo daję, nie wiem, jak się z tym uporam. Nie ze swetrem. Z uczuciami Allie. Nie mam wielkiego wpływu na to, jak będzie mnie traktować. To zależy także od niej. I od Burke’a. Właściwie przestaje mieć dla mnie znaczenie, jak do sprawy podchodzi Burke. Allie liczy się dla mnie bardziej od niego. A czy ja jestem dla niej ważniejszy niż Burke? Chyba nie powinienem mieć pretensji, jeśli wybierze swojego chłopaka. Choć wścieknę się jak cholera.

No więc wracając do Wiewióra… trochę z nim dzisiaj pogadałem. Nadal jedzie na Leku Na Całe Zło, więc nie sądzę, by do niego dotarło, że wylądował wśród szajbusów. Coś mnie korciło, żeby mu powiedzieć. Ale przypomniałem sobie, jak fajnie mi się fruwało w przestrzeni pachnącej czystym powietrzem i zlitowałem się nad nim.

Za to zagraliśmy w monopol. Wiem, to najnudniejsza gra w historii świata. Za to zabija czas i nie wymaga myślenia. Julia i Martha też grały. Juliet dostała jako pionek cylinder, Martha – małego pieska, ja – but, a Wiewiór – wyścigówkę.

Wygrała Martha. Wykupiła wszystkie czerwone działki i postawiła na nich hotele, a to nas wykończyło. Jak na kogoś, kto się nie odzywa, ta mała ma żelazną rękę. Kiedy nie mogłem jej zapłacić czynszu za Indiana Avenue, zmusiła mnie do oddania Marvin Gardens i Reading Railroad. To miniaturowy Donald Trump, tylko ma lepszą fryzurę.

Potem siedzieliśmy we czwórkę, patrząc na padający za oknem śnieg. Policzyłem dni i uświadomiłem sobie, że wychodzę stąd w walentynki. Ironia losu, nie sądzicie? W końcu wylądowałem tu z powodu złamanego serca. A teraz wychodzę w najbardziej romantycznym dniu w roku.

Może powinienem wysłać Burke’owi walentynkę. Żartuję, już o nim zapomniałem. No pewnie, jest przystojny. I miły. I zabawny. No dobra, może nie całkiem zapomniałem. Ale jest hetero. To trochę krzyżuje moje plany życia z nim długo i szczęśliwie.

Poza tym nie sądzę, żebym tak naprawdę chciał akurat jego. Zakochałem się w wyobrażeniu osoby. Wiem, że dawał Allie szczęście. Daje. Zakładam, że

nadal są razem.

Może pewnego dnia spotkam chłopaka, któremu wyślę walentynkę. Na myśl o tym robi mi się trochę niedobrze. No bo nie przepadam za romantyzmem, wiecie? Słyszeliście, że obchody Dnia Świętego Walentego zapoczątkowała decyzja jednego cesarza, który tak z milion lat temu zdelegalizował małżeństwa, bo uważał, że ta instytucja niekorzystnie wpływa na żołnierzy? Pewien ksiądz – Walenty – dawał ludziom potajemne śluby i w końcu z tego powodu go ścięli. Czyli pierwszą walentynką była męska głowa. Darmowa lekcja historii.

Właściwie jeśli się zastanowić, to świetne podsumowanie. Czy kiedy się zakochujemy, nie tracimy głowy?

DZIEŃ 43

Jeśli kiedykolwiek będziecie musieli powiedzieć rodzicom o swojej homoseksualnej orientacji, mogę wam obiecać jedno: zachowają się inaczej, niż się spodziewacie.

Usiłowałem nie myśleć, jak będzie, ale przez to „niemyślenie” nie mogłem spać prawie całą noc. Ciągle przypominałem sobie różne scenariusze, które poprzedniego dnia ćwiczyłem z Kacem.

Tego, co się wydarzyło, nie przewidzieliśmy. Chociaż może w sumie tak. Bo w reakcji rodziców było coś z każdej scenki.

Zaczęło się kiepsko, bo się spóźnili. Nie wiem dlaczego. Już po drodze się kłócili. Poszło o to, że mama długo się zbierała albo że tata musiał zatankować. Nieważne. Po prostu od razu mieli kiepski humor. I przywieźli Amandę, co mnie w sumie ucieszyło, bo chciałem, żeby także usłyszała to, co mam do powiedzenia.

No więc trochę na siebie warczeli. Amanda przewracała oczami, jak zawsze, gdy wstydzi się za rodzinę. A ja starałem się nie zwymiotować.

Kac zaczął od przypomnienia, że niedługo wrócę do domu. Konkretnie za dwa dni. Wtedy rodzice trochę oprzytomnieli. Mama zaczęła się uśmiechać, a ojciec kiwać głową, jakby ktoś zadał mu pytanie, a on potwierdzał. Amanda skuliła się na krześle, gryząc pasmo włosów i usiłując zniknąć. Chyba nie ma już cierpliwości do rodziców. Dobrze, że wrócę. Będą mogli się skupić na mnie.

Kac zaczął mówić, że zrobiłem duże postępy i że świetnie sobie radzę. Takie tam gadanie. Wiedziałem, że chce, żebym wydał im się wyleczony i przy zdrowych zmysłach, zanim zrzucę tę bombę. Słusznie, bo moi rodzice wierzą w całe to lekarskie gadanie. Kac mógłby im oznajmić, że ich głowy zrobiono z niebieskiego sera, i też by uwierzyli.

Kiedy już ustaliliśmy, że nie zafunduję im powtórki z Amityville i nie pozabijam ich pierwszej nocy po powrocie, Kac spytał, czy chciałbym im coś powiedzieć. To był dla mnie sygnał, żeby jechać z koksem. Ale nie mogłem

sobie przypomnieć własnego imienia. Tak jakby mi coś wyczyściło mózg. Odwróciłem się do taty i zacząłem kiwać głową, jakbym się zgadzał z każdym jego słowem. Wyglądałem jak samochodowy piesek kiwaczek. Siedziałem i przytakiwałem, przytakiwałem, przytakiwałem.

Ponieważ milczałem, mama zaczęła mówić. Opowiedziała o nowych zasłonach w moim pokoju i że pies za mną tęskni, i że babcia piecze dla mnie ciastka – z kawałkami czekolady – które przyniesie, gdy wrócę do domu. Przyglądałem się jej poruszającym się wargom, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby mówić w tym tempie i nadal oddychać.

Potem ojciec także się odezwał:

– Marjorie, Jeffa nie interesują zasłony! – Po czym zwrócił się do mnie: – Może chciałbyś w przyszły weekend pojechać na narty?

Mówili jedno przez drugie. Kac starał się im przerwać, ale nie zwracali na niego uwagi. Oprócz mnie milczała tylko Amanda, więc spojrzałem na nią i spytałem:

– Co byś pomyślała, gdybyś miała brata geja?

Wtedy dopiero wszyscy się zamknęli i spojrzeli na mnie. Amanda przestała gryźć włosy i się wyprostowała.

– Nie przeszkadzałoby mi to – powiedziała. – A co?

– Bo masz – oznajmiłem.

Mama tak jakby się zachłysnęła. Amanda otworzyła usta. A ojciec powiedział:

– Słodki Jezu Chryste na biszkopcie.

Przysięgam na Boga, tak powiedział. „Słodki Jezu Chryste na biszkopcie”.

– Jesteś GEJEM? – spytała Amanda, przeciągając to ostatnie słowo tak, że brzmiało jak najdłuższy wyraz świata. – Ale że… gejem?

– Aha. Prawie na pewno.

Ojciec znowu zaczął to o biszkopcie, a mama syknęła do niego „Eric!” jak do pięciolatka. Potem pokręciła głową.

– Nie rozumiem. Co to znaczy „gejem”?

Przez sekundę rozważałem wyjaśnienie jej koncepcji orientacji homoseksualnej. Potem dotarło do mnie, że według niej pewnie żartuję, pogubiłem się albo w ogóle nie wiem, co znaczy słowo „gej”.

– Jestem gejem – powtórzyłem, nie wiedząc, jak inaczej to wyrazić.

– Masz piętnaście lat! Nie możesz być gejem.

– Pewnie, że może – odezwała się Amanda, strasznie przejęta, chciała pochwalić się czymś, czego mama nie wie. – Brat Katriny, mojej koleżanki z zajęć tańca, jest gejem i ma piętnaście lat. – Spojrzała na mnie. – Hej, może was umówię? Evan jest super.

– Jeff… – zaczęła mama takim tonem, jak zawsze gdy mi coś wyjaśniała. – Za wcześnie wyrokować o twojej orientacji.

– Nie jest ci wszystko jedno? – przerwałem.

– Oczywiście, że nie! To znaczy tak, ale nie jeśli chodzi o twoje uczucia. Jeśli naprawdę jesteś gejem, to przyjmę to do wiadomości.

– No więc jestem. I mam nadzieję, że naprawdę się z tym pogodzisz i że nie mówisz tego, żeby ładnie zabrzmiało.

Ojciec nadal milczał. Miał taką minę, jakby usiłował zrozumieć skomplikowany dowcip.

– Tato… – odezwałem się. – W porządku?

– Co? – Tata potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć. – A, to. Czy to dlatego… no wiesz…? – Zamachał rękami w powietrzu, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– Nie całkiem – powiedziałem. – Częściowo, ale nie tylko dlatego.

– Czeka nas długa rozmowa – oznajmił Kac, przychodząc mi z pomocą. – Wiem, że pewnie wszyscy chcecie o coś spytać Jeffa, a on pragnie wam wyjaśnić wiele rzeczy. Dlatego po prostu zacznijmy od początku, a potem się zobaczy.

I tak zrobiliśmy. Gadaliśmy jakieś cztery godziny. Nawet nie pamiętam wszystkiego. Było trochę krzyków, trochę łez i w końcu zbiorowy rodzinny uścisk, co uznaję za cud. Zdaje się, że rodzice przyjęli do wiadomości, że to nie jakaś faza, przez którą przechodzę, ani żadna zemsta. Chociaż do tej pory nie zrozumieli wszystkiego. No ale ja także nie.

DZIEŃ 44

Wczoraj przyśniła mi się Sadie. Szedłem z nią po plaży, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Dobrze się bawiliśmy. Nagle wbiegła do morza. Myślałem, że to zabawa, więc poszedłem za nią. Sadie śmiała się i oglądała za siebie, sprawdzając, czy nie zostaję w tyle.

Popłynęła, więc ja także. Po jakimś czasie zacząłem się bać, że wypuściliśmy się za daleko. Ciągle wołałem, żeby zwolniła, ale mnie nie słuchała.

Nie mogłem za nią nadążyć, więc zrobiłem sobie przerwę i patrzyłem, jak się oddala. W końcu przestała płynąć i się odwróciła. Zawołała, żebym do niej dołączył, a ja posłuchałem. Kiedy znalazłem się obok, powiedziała:

– Złap mnie! – I zanurkowała.

Pod powierzchnią dostrzegłem jej sylwetkę. Wyraźnie widziałem nogi i całe ciało opadające w głębinę, gdzie woda nabiera granatowego odcienia. Włosy unosiły się za nią, z ust płynęły srebrne bąbelki. Wziąłem głęboki wdech i zanurkowałem, by ją dopędzić.

Odwróciła się i pomachała, gestem nawołując, żebym zszedł niżej. Płuca zaczęły mnie palić, bo kończyło mi się powietrze, więc wskazałem powierzchnię morza, dając do zrozumienia, że powinniśmy się wynurzyć. A ona pokręciła głową. Usłyszałem jej śmiech. Miliony bąbelków wyprysnęły jej z ust i otoczyły mnie jak sieć. Nic nie widziałem. Nagle poczułem, że jakaś dłoń chwyta mnie za stopę i ściąga na dno.

Usiłowałem się wynurzyć, ale ta ręka trzymała mnie mocno. Należała do Sadie, która – widziałem to przez bąbelki – zaczęła mnie wlec w mroczną wodę. Zaśmiewała się bez końca. Zrozumiałem, że chce nurkować coraz głębiej i zabrać mnie ze sobą.

Wierzgnąłem ze wszystkich sił, starając się wyzwolić. Kopałem i machałem rękami. W końcu się uwolniłem i śmignąłem jak strzała w górę. W końcu zobaczyłem światło i wyciągnąłem do niego dłonie.

Zerknąłem w dół. Sadie patrzyła za mną. Jej twarz stawała się coraz

mniejsza. Już się nie uśmiechała. Tylko patrzyła. Patrzyła, jak zostawiam ją pod wodą.

Obudziłem się w chwili, gdy wynurzyłem się na powierzchnię. Dyszałem i płuca naprawdę mnie paliły. Rozejrzałem się po pokoju, niemal spodziewając się, że zobaczę plażę i że ociekam wodą.

Nie wiem, co znaczy ten sen. Nie wiem, dlaczego Sadie chciała mnie utopić. Nie wiem, czemu się tak ze mnie śmiała. Po prostu się cieszę, że jej uciekłem.

DZIEŃ 45

Kiedyś widziałem podkoszulek z jednym z fajniejszych tekstów świata. „Kiedyś byłem szczęśliwy, ale już mi lepiej”.

Dziś wróciłem do domu. Większość osób powiedziałaby, że są z tego powodu „szczęśliwi”. I ja chyba też. To znaczy na pewno.

Pożegnałem się z Marthą i Juliet. Martha zostaje jeszcze parę tygodni. Potem zamieszka z ciotką. Nadal nie odzywa się zbyt wiele. Chyba ciągle dają jej Lek Na Całe Zło. Biedne dziecko. Ma parszywy niefart w życiu.

Juliet wychodzi w następnym tygodniu. Okazuje się, że ma niezwykle religijnych rodziców. Powiedziała, że według nich opętały ją demony. Serio. Oni wierzą w takie sprawy. Chcą, żeby współwierzący odprawili nad nią jakiś leczniczy rytuał. Ona przyznaje, że się nad tym zastanawia. To dziwne, ale kiedyś wydawała mi się najbardziej świrnięta z nas wszystkich. Teraz uważam ją za dość zwyczajną. Nie wiem, czy to ona znormalniała, czy ja oszalałem. Pewnie i to, i to.

A, tak, no i Wiewiór. Ciągle nie wiem, co to za jeden. Juliet obiecała, że go wybada i da mi znać. Ale nie zrobi tego. Zapomni o mnie w chwili, gdy stąd wyjdzie. Może nawet w chwili, gdy straci mnie z oczu. Nie zechce pamiętać i wcale jej się nie dziwię. Pewnie wmówi sobie, że jej się przyśniliśmy albo że pochodzimy ze świata duchów.

Ciekawe, ile z nas błąka się po całym świecie, ile nas jest i w jak wielu szpitalach. Ile Alice i Bone’ów, Juliet i Rankinów. Ile Sadie, Mart i Wiewiórów. Ilu Jeffów. I zastanawiam się, ilu z nas wychodzi. Ilu znajduje „szczęście”.

Dziś rano odbyłem ostatnią sesję z Kacem – to znaczy doktorem Katzrupusem. Ale okazuje się, że nie ostatnią. Mamy się spotykać raz w tygodniu. Przynajmniej przez jakiś czas. Mnie to pasuje.

Doktor powiedział, że muszę pamiętać, że choć się tu bardzo zmieniłem, wracam do świata, który pozostał taki sam. To chyba najtrudniejsze – zobaczyć tych wszystkich ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w moim życiu. Nie wiedzą, co mnie spotkało. Spodziewają się zobaczyć dawnego Jeffa. Ale to już

niemożliwe. Mam nadzieję, że do tego dojrzeją. Mam nadzieję, że sam do tego dojrzałem.

Ciągle jestem trochę nieogarnięty. Jak chyba wszyscy. Nikt nie panuje nad całym swoim życiem. To chyba niemożliwe. Gdyby się komuś to udało, pewnie by wybuchnął albo co. To takie prawo natury. Jeśli uda ci się osiągnąć doskonałość, musisz natychmiast umrzeć, zanim wszystko wszystkim zepsujesz.

Czuję się trochę jak podczas zielonej nocy. Przez parę lat spędzałem lato na obozie Mikigwani. Przez dwa tygodnie nie mogłem znieść niczego – pływania, śpiewów przy ognisku, głupich zajęć, innych dzieci. Wszystkiego. Ale w przeddzień przyjazdu rodziców zaczynałem żałować, że nie zostanę tu jeszcze przez dwa tygodnie. Pewnego lata spytałem ich nawet, czyby mi nie pozwolili. Zgodzili się i przez jakieś trzy sekundy byłem naprawdę szczęśliwy. I ledwie odjechali, znowu znielubiłem to miejsce i do końca pobytu nie odzyskałem humoru.

Chciałbym zostać tu, gdzie ludzie mnie mniej więcej rozumieją. Ale wiem, że muszę wyjechać. Wakacje się skończyły i pora na kolejny turnus.

Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię w sprawie Allie. Może do niej zadzwonię. A może wyślę ją tutaj, żeby przez czterdzieści pięć dni rozmawiała z doktorem Katzrupusem. Chybaby tyle nie wytrzymała. Na pewno odesłaliby ją po dwóch tygodniach. Nie potrafi dochować tajemnicy.

Nie żebym miał jakieś sekrety. Chyba już wszystkie wyjawiłem. No, większość. Najważniejsze. Coś trzeba zachować dla siebie.

Prawie zapomniałem. To Dzień Świętego Walentego. Z tej okazji Allie i ja dawaliśmy sobie śmieszne kartki, głównie po to, żeby się pocieszyć, że tak naprawdę nie mamy nimi kogo obdarować. Ale także ponieważ jesteśmy sobie bliscy. Byliśmy? Jesteśmy? Nie wiem.

W tym roku po raz pierwszy nie dopełniliśmy tradycji. A może jednak wysłać jej walentynkę? Co w niej napisać? Może coś takiego:

Przepraszam, że nie potrafiłem z Tobą rozmawiać. Przepraszam, że sprawiłem Ci ból. Nie chciałem. Jesteś moją przyjaciółką i chcę Cię odzyskać.

Wiem, że się trochę zmieniłem, ale mam nadzieję, że dasz mi szansę. Mam Ci wiele do opowiedzenia.

Z wyrazami miłości,
Jeff

Nigdy bym tego nie wysłał. Obciach. Gorszy niż przytulanie. Ale Allie na coś takiego leci. Może by się udało. A może podarłaby moją kartkę. Już naprawdę nic nie wiem.

Ciekawe, czy rodzice by się zdziwili, gdybym poprosił, żeby w drodze do domu zatrzymali się przy sklepie z pocztówkami.

Dane kontaktowe organizacji i stowarzyszeń, w których można szukać wsparcia

Antydepresyjny Telefon Zaufania ITAKI: 22 654-40-41

Bezpłatny ogólnopolski telefon zaufania dla dzieci i młodzieży: 116 111
www.116111.pl

Kampania Przeciw Homofobii:
www.kph.org.pl

Poradnia telefoniczna dla osób w kryzysie emocjonalnym: 116 123

Tytuł oryginału angielskiego Suicide Notes

Copyright © 2008 by Michael Thomas Ford. Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

The moral rights of the author have been asserted.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012

© Copyright for the translation by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017

Projekt okładki Anna Damasiewicz

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek, Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Katarzyna Nowak*
Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13236-9

Plik wyprodukowany na podstawie *Notatki samobójcy*, Warszawa 2017

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl